

Italo Calvino

**Jeśli
zimową
nocą
podróżny**

Przełożyła Anna Wasilewska

Danielowi Ponchioli

I

Zabierasz się do czytania nowej powieści Italo Calvina *Jeśli zimową nocą podróżny*. Rozluźnij się. Wytęż uwagę. Oddal od siebie każdą inną myśl. Pozwól, aby świat, który cię otacza, rozplynął się w nieokreślonej mgle. Drzwi lepiej zamknąć: tam zawsze gra telewizor. Powiedz im to od razu: „Nie, nie chcę oglądać telewizji!” Podnieś głos, inaczej cię nie usłyszą: „Czytam! Nie chcę, aby mi przeszkadzano!” Może cię nie usłyszeli przy całym tym hałasie, powiedz głośniejszym głosem, krzyknij: „Zaczynam czytać nową powieść Italo Calvina!” A jeśli nie chcesz, nic nie mów, miejmy nadzieję, że zostawią cię w spokoju.

Przybierz najwygodniejszą pozycję: usiądź, wyciągnij nogi, połóż się, zwiń się w kłębek. Połóż się na plecach, na boku, na brzuchu. Usiądź na krześle, na kanapie, w fotelu na biegunach, na leżaku, na pufie. Na hamaku, jeśli masz hamak. Połóż się, oczywiście, na łóżku albo do łóżka. Możesz nawet stanąć na głowie, w pozycji jogi. Z książką do góry nogami, rzecz jasna.

To nie ulega wątpliwości, nie jest łatwo dobrać pozycję do czytania. Niegdyś czytano na stojąco, przed pulpitem. Pozycja stojąca była czymś zwyczajnym. Odpoczywano w ten sposób po zmęczeniu jazdą konną. Nikomu nie przyszło nigdy do głowy czytać siedząc na koniu, a jednak teraz myśl, by czytać w siodle z książką rozłożoną na końskiej grzywie lub też zawieszoną przy pomocy specjalnej uprząży na końskich uszach, wydaje ci się pociągająca. Czytanie ze stopami w strzemionach powinno być bardzo wygodne. Uniesione nogi to pierwszy warunek do czerpania przyjemności z lektury.

Dobrze zatem, na co czekasz? Wyciągnij nogi, stopy ułóż na poduszce albo na dwóch poduszkach, na poręczy kanapy, na oparciu fotela, na stoliku do herbaty, na biurku, na fortepianie, na globusie. Przedtem zdejmij buty. Oczywiście jeśli zechcesz unieść nogi, bo jeśli nie zechcesz, włóż je z powrotem. Nie siedź tak z butami w jednej ręce, a z książką w drugiej.

Ustaw światło tak, by nie męczyło oczu. Zrób to teraz, bo zaledwie pogrążysz się w lekturze, nie sposób cię będzie od niej oderwać. Postaraj się, aby strona nie pozostawała w cieniu, to skupisko czarnych liter na szarym tle przypomina monotonią stado myszy. Uważaj jednak, żeby na kartkę nie padało zbyt mocne światło, aby nie odbijało się od okrutnej bieli papieru, podgryzając cienie czcionek niczym pełne południowe słońce. Postaraj się już teraz przewidzieć wszystko, co mogłoby przerwać ci lekturę. Papierosy połóż w zasięgu ręki, jeśli palisz, a także popielniczkę. Co jeszcze? Może chcesz zrobić siusiu? Dobrze, sam będziesz wiedział.

Nie chodzi o to, abyś spodziewał się czegoś szczególnego po tej szczególnej książce. Jesteś jednym z tych, którzy z zasady nie spodziewają się niczego od czegokolwiek. Wiele młodszych od ciebie osób, lub

mniej młodych, żyje w oczekiwaniu niezwykłych doznań czerpanych z książek, innych ludzi, z podróży, wydarzeń, z tego, co kryje w sobie dzień jutrzejszy. Natomiast ty nie. Ty wiesz, że najlepszym, czego można oczekiwać, jest uniknięcie najgorszego. Oto wniosek, do jakiego doszedłeś, zarówno w życiu osobistym, jak i w sprawach ogólnych, wręcz dotyczących porządku świata. A co z książkami? Ponieważ wykluczyłeś to uczucie z każdej innej dziedziny, sądzisz, że możesz sobie jeszcze pozwolić na tę młodzieńczą radość oczekiwania w sferze tak wyodrębnionej, jaką jest świat książek, gdzie może ci pójść dobrze albo źle, lecz gdzie ryzyko rozczarowania nie będzie niczym dotkliwym.

A zatem przeczytałeś w gazecie, że ukazała się powieść *Jeśli zimową nocą podróżny*, nowa książka Italo Calvina, pisarza, który od wielu lat niczego nie opublikował. Zaszedłeś do księgarni i kupiłeś egzemplarz. Postąpiłeś słusznie.

Jeszcze w oknie wystawy dostrzegłeś okładkę z poszukiwanym tytułem. Podążając tym widocznym tropem, utorowałeś sobie drogę poprzez zwarte zasieki Książek Nigdy Nie Przeczytanych, które spoglądały na ciebie ponuro z księgarskich stołów i półek, usiłując cię onieśmielić. Lecz ty wiesz, że nie powinienes dać się zbić z tropu, że pośród nich rozciągają się całe hektary Książek Których Równie Dobrze Możesz Nie Czytać, Książek Przeznaczonych Do Innych Celów Niż Lektura, Książek Przeczytanych Jeszcze Zanim Je Otwarto Gdyż Należą Do Kategorii Tych Co Zostały Przeczytane Jeszcze Przed Napisaniem. Pokonujesz pierwszy obwód przedmurza i oto rusza na ciebie piechota Książek Które Z Pewnością Byś Przeczytał Gdybyś Miał Przed Sobą Więcej Niż Jedno Życie Ale Niestety Dni Ci Przeznaczonych Jest Tyle Ile Jest. Jednym susem przeskakujesz przez nie i kierujesz się pomiędzy zastępy Książek Które Masz zamiar Przeczytać Chociaż Przedtem Powinienes Przeczytać Inne, te Nazbyt Drogie Które Będziesz Mógł Kiedys Kupić Za Pół Ceny. Książek Idem Jak Powyżej Gdy Ukażą Się W Wydaniu Kieszonkowym, Książek Które Przeczytali Już Wszyscy A Zatem Jest Tak Jakbyś Ty Przeczytał Je Także. Udaremniając te ataki, zmierzasz pod wieże fortyfikacji, gdzie stawiają opór

Książki Które Od Dawna Zamierzasz Przeczytać,
Książki Których Od Lat Poszukujesz Bez Powodzenia,
Książki Które Dotyczą Tego Czym Właśnie Się Zajmujesz,
Książki Które Chcesz Mieć Pod Ręką Na Wszelki Wypadek.
Książki Które Mógłbyś Odłożyć Na Wakacyjną Lekturę,
Książki Którymi Mógłbyś Zappełnić Wolne Miejsce W Twojej Bibliotece,
Książki Które Rozbudzają W Tobie Ciekawość Niespodziewaną Gwałtowną I Niezbyt Wyraźnie Usprawiedliwioną.

Tak oto zdołałeś ograniczyć siły zbrojne do zbioru z pewnością nadal pokaźnego, lecz dającego

się sprowadzić do skończonej liczby, chociaż to uczucie względnej ulgi nadal nęka ją podjazdy Książek Dawno Temu Przeczytanych Które Należałoby Przeczytać Ponownie, a także podjazdy Książek Pozornie Przez Ciebie Przeczytanych Które Najwyższy Czas Byłoby Przeczytać Naprawdę.

Uwalniasz się biegnąc zygzakiem i jednym skokiem wpadasz do twierdzy Nowości Których Autor Bądź Tematyka Wzbudzają Twoją Ciekawość. W samej warowni również możesz zrobić wyłom wśród oddziałów obrońców, dzieląc je na Nowości Których Autor Bądź Tematyka Nowymi Nie Są (dla ciebie lub w ogóle) oraz na Nowości Których Autorzy Bądź Tematyka Są Zupełnie Nieznani (przynajmniej tobie), możesz także zbadać przyczyny swojego zainteresowania, określić, w jakim stopniu rozbudzają je twoje potrzeby i oczekiwania wobec tego, co jest nowe, i wobec tego, co nowe nie jest (wobec nowości, której poszukujesz w tym, co nie jest nowe, i wobec tego, co nie jest nowe, a czego poszukujesz w nowości).

Wszystko po to, aby powiedzieć, że kiedy już przebiegłeś wzrokiem tytuły książek wystawionych w księgarni, skierowałeś swoje kroki do sterty świeżych od farby tomów *Jeśli zimową nocą podróżny*, porwałeś jeden egzemplarz i zaniósłeś go do kasy, aby przypieczętować swoje prawo własności.

Rzuciłeś jeszcze jedno zagubione spojrzenie na leżące wokół książki (albo lepiej: to książki spoglądały na ciebie z wyrazem zagubienia, niczym psy, co wyglądają z klatek miejskiej psiarni, i widzą, jak ich były współtowarzysz oddala się na smyczy swego pana, który przyszedł go wykupić), po czym wyszedłeś.

Świeżo wydana książka sprawia ci szczególną przyjemność, unosisz ze sobą nie tylko książkę, lecz także jej nowość, choć mogłoby ci chodzić jedynie o nowość rzeczy świeżo wyprodukowanej, o urodę pierwszej młodości, którą błyszczą także i książki dopóty, dopóki we wczesnej jesieni bibliotek nie pożółknie okładka, nie załamią się rogi, u góry nie osiadzie warstwa kurzu. Lecz ty ciągle masz nadzieję, że natrafisz na prawdziwą nowość, taką, która nigdy nie utraci swej pierwotnej świeżości. Lektura dopiero co wydanej książki już od pierwszej chwili pozwoli ci zawładnąć tą nowością, uniknąć późniejszej za nią pogoni, późniejszego tropienia. Czy tym razem dopisze szczęście? Nigdy nie wiadomo. Zobaczmy, jak się zaczyna.

Być może jeszcze w księgarni zacząłeś kartkować książkę. Czy też nie zdołałeś tego zrobić, bo owinięta była w celofan? Teraz stoisz w autobusie, pomiędzy ludźmi, jedną ręką trzymasz się uchwyty, a drugą, wolną, zaczynasz rozwijać pakunek, nieco małpimi ruchami zwierzęcia, które zamierza obrać banana, a jednocześnie nie chce puścić gałęzi. - Uważaj, potrącasz łokciem sąsiadów, przeproś przynajmniej.

Albo też sprzedawca nie zapakował tomu, może wręczył ci go w torebce. To upraszcza sprawę.

Siedzisz za kierownicą samochodu, przed światłami, wyjmujesz książkę z torebki, zrywasz przezroczystą powłokę, czytasz pierwsze linijki. Spada na ciebie burza klaksonów, jest zielone, tarasujesz ruch uliczny.

Siedzisz przy biurku w pracy, z książką niby przypadkiem leżącą wśród urzędowych papierów, w pewnej chwili odsuwasz jakieś dossier i masz oto książkę przed oczami, otwierasz ją w roztargnieniu, opierasz łokcie na stole, skronie opierasz na zaciśniętych w pięść dłoniach, wydaje się, że badasz w skupieniu jakieś akta, a ty tymczasem studiujesz pierwsze strony powieści. Powoli osuwasz plecy na oparcie, podnosisz książkę na wysokość nosa, odchylasz krzesło utrzymując je w równowadze na tylnych nogach, otwierasz boczną szufladę biurka, aby oprzeć stopy, pozycja stóp podczas lektury jest rzeczą najwyższej wagi, prostujesz nogi na stole, na nie tkniętych aktach.

Lecz czy nie wydaje ci się to brakiem szacunku? Szacunku, rzecz jasna, nie dla twojej pracy (nikt nie rości sobie prawa do osądzania twojej zawodowej wydajności, założmy, że zakres twoich obowiązków wyznaczają przepisy sektora działalności nieprodukcyjnej, które pochłaniają znaczną część gospodarki narodowej i światowej), lecz brakiem szacunku dla książki. Tym gorzej, jeśli należysz, z konieczności bądź z upodobania, do grupy tych, którzy pracę traktują poważnie i wypełniają, umyślnie lub mimochodem, czynności potrzebne, czy przynajmniej nie bezużyteczne, zarówno dla innych, jak dla siebie samych; wówczas książka, którą zabrałeś do pracy w charakterze amuletu czy talizmanu, wystawia cię co pewien czas na pokusę, co chwilę odrywasz uwagę od głównego obiektu swego zainteresowania, czy będzie to elektroniczna dziurkarka, czy kuchenne piecyki, dzwignie rozruchowe buldożerów czy pacjent leżący na stole operacyjnym z rozplatanym brzuchem.

Jednym słowem, lepiej będzie, jeśli pohamujesz własną niecierpliwość i otworzysz książkę dopiero wtedy, gdy znajdziesz się w domu. Teraz tak. Jesteś w swoim pokoju, odprężasz się, otwierasz książkę na pierwszej stronie, nie, na ostatniej, przede wszystkim chcesz sprawdzić, czy jest długa. Nie jest zbyt długa, na szczęście. Długie powieści, jakie się teraz pisze, zawierają, być może, pewną wewnętrzną sprzeczność: wymiar czasu uległ rozbiciu, nie możemy żyć ani myśleć inaczej niż odłamkami czasu, z których każdy podąża własnym torem i natychmiast zanika. Ciągłość czasu odnaleźć można tylko w powieściach tej epoki, kiedy wydawało się, że czas wytracony już został z bezruchu, a jeszcze nie uległ rozszczępieniu, epoki, która trwała mniej więcej sto lat, i na tym koniec.

Obracasz książkę w rękach, przebiegasz oczami zdania z czwartej strony okładki, ze „skrzydełek”, zdania ogólnikowe, niewiele mówiące. Tym lepiej, nie ma słów, które nietaktownie chciałyby wybić się na pierwsze miejsce, przed słowa bezpośrednio skierowane do czytelnika, przed to, co sam będziesz musiał z lektury wycisnąć, nieważne, czy będzie to mało, czy dużo. Zapewne, owo krążenie wokół książki, czytanie o niej, zanim zacznie czytać się ją samą, należy do przyjemności

rozpoczynania nowej powieści, chociaż jak wszystkie wstępne rozkosze ma ona swój optymalny czas trwania, jeśli ma służyć pobudzeniu przyjemności bardziej treściwej, jaką jest odbycie aktu, to znaczy lektura książki.

Tak oto gotów jesteś zabrać się do pierwszych linijek pierwszej strony. Szykujesz się do rozpoznania niepowtarzalnego stylu tego pisarza. Nie. Zupełnie go nie rozpoznajesz. Ale, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, kto powiedział, że ten pisarz ma niepowtarzalny styl? Przeciwnie, wiadomo, że to pisarz, którego każda następna książka różni się od poprzedniej. I właśnie ta zmienność pozwala go rozpoznać. Tym razem jednak wydaje się, że nie ma to nic wspólnego z tym, co dotychczas napisał, przynajmniej o ile dobrze sobie przypominasz. Czy ogarnia cię rozczarowanie? Zastanówmy się. Może początkowo czujesz się nieco zbity z tropu, jak w chwili gdy ktoś przedstawia ci osobę, której imię utożsamiałeś z pewną twarzą, usiłujesz dopasować rysy twarzy, które widzisz, do tych, które pamiętasz, i nic z tego nie wychodzi. Ale powracasz do lektury i spostrzegasz, że książkę daje się czytać, niezależnie od tego, czego spodziewałeś się po autorze, zaciekawia cię sama powieść, a nawet, jeśli się dobrze zastanowić, wolisz mieć przed sobą coś, czego nie potrafisz jeszcze dokładnie określić.

Jeśli zimową nocą podróżny

Powieść rozpoczyna się na stacji kolejowej, gdzieś sapie lokomotywa, para napędzająca tłoki zasnuwa tytuł rozdziału, obłok dymu częściowo przesłania pierwszy akapit. Powietrze stacji przenika woń dworcowego bufetu. Jakiś człowiek patrzy przez zamgloną szybę, otwiera przeszkłone drzwi baru, wszystko jest przyćmione, także wewnątrz, jakby oglądane oczami krótkowidza lub oczami podrażnionymi pyłkami węgla. Stronice książki są zamglone jak okna starego pociągu, na zdania kładzie się obłok dymu. Jest deszczowy wieczór, mężczyzna wchodzi do baru, rozpiną wilgotny płaszcz. Spowija go obłok pary. Wzdłuż torów, jak okiem sięgnąć lśniących od deszczu, przelatuje gwizd.

Rozlega się gwizd podobny do gwizdu lokomotywy, to kłęb pary bucha z ekspresu do kawy, który stary barman nastawia pod ciśnieniem, jakby dawał jakiś sygnał, przynajmniej takie wrażenie sprawiają kolejne zdania drugiego akapitu, w którym gracze przy stolikach chowają przy piersi wachlarze kart i obracają się w stronę nowo przybyłego z potrójnym skrętem szyi, ramion i krzeseł, przy barze klienci podnoszą filiżanki i przymknąwszy oczy i usta dmuchają na kawę czy też pociągają łyk piwa z przepelnionych kufli i z przesadną troską starają się nie rozlać płynu. Kot pręży grzbiet, kasjerka zamyka kasę, która wydaje przy tym dźwięk dliin. Wszystkie te znaki składają się na informację, że chodzi o stację, gdzie każdy przybysz zostaje natychmiast zauważony.

Wszystkie stacje są do siebie podobne. Nie szkodzi, że światło nie przenika poza własny mętny krąg, to miejsce znasz na pamięć, i ten zapach pociągu, który pozostaje nawet wówczas, gdy wszystkie pociągi już odjechały, ten szczególnie zapach stacji utrzymujący się także po odjeździe ostatniego pociągu. Wydaje się, że światła stacji i zdania, które czytasz, mają raczej skrywać niż wydobyć przedmioty wynurzające się z osłony mroku i mgły. Dzisiejszego wieczoru wysiadłem na tej stacji po raz pierwszy, a już odnoszę wrażenie, że spędziłem tu całe życie, wchodząc i wychodząc z baru, gdzie zapach osłoniętego peronu i zapach wilgotnych klozetowych trocin stapia się w zapach jedyny w swoim rodzaju, w zapach oczekiwania, w zapach kabin telefonicznych, kiedy już nie pozostaje nic innego jak odzyskać żetony, bo wykrcany numer nie daje znaku życia.

Jestem tym mężczyzną, który krąży pomiędzy barem a kabiną telefoniczną. To znaczy, człowiek ten nazywa się „ja” i nic ponadto o nim nie wiesz, podobnie ta stacja nazywa się tylko „stacją” i na zewnątrz nie istnieje nic poza nieustającym sygnałem telefonu, który dzwoni gdzieś w ciemnym pokoju dalekiego miasta. Odwieszam słuchawkę, czekam na brzęk żelaza w metalowym gardle, po raz kolejny popycham oszklone drzwi, zmierzam w stronę stosu filiżanek, schnących w obłokach pary.

Ekspresy do kawy w dworcowych barach popisują się pokrewieństwem z lokomotywami, stare i nowe ekspresy przypominają stare i nowe parowozy i elektrowozy. Daremnie chodzę tam i z powrotem, krążę i zawracam: wpadłem w pułapkę, w tę beczasową pułapkę, którą niezawodnie zastawiają kolejowe stacje. W dworcowym powietrzu, choć już wiele lat temu zelektryfikowano wszystkie linie, unosi się pyłek węgla, powieść zaś, która opowiada o pociągach i dworcach, nie może nie przekazać zapachu dymu. Przeczytałeś już dwie strony i pora powiedzieć ci jasno, czy stacja, na której wysiadłem z opóźnionego pociągu, jest stacją dawną czy dzisiejszą, tymczasem zdania roztopiają się w nieokreśloności, w szarości, w czymś w rodzaju ziemi niczyjej doświadczenia sprowadzonego do nikłego wspólnego mianownika. Uważaj: to zapewne sposób, aby wciągnąć cię w akcję, usidlić cię tak, abyś nie zdawał sobie z tego sprawy — to pułapka. A może sam autor nie zdecydował się jeszcze, zresztą ty także, czytelniku, nie jesteś całkiem pewien, co sprawiłoby ci większą przyjemność: czy przybycie na dawną stację, co dałoby ci poczucie podróży wstecz, pozwoliłoby ci ponownie zawładnąć straconym czasem i przestrzenią, czy też wolałbyś wibrację świateł i dźwięków, co z kolei da ci poczucie, że żyjesz dzisiaj, i to zgodnie z dzisiejszym wyobrażeniem o przyjemnościach życia. Ten bar (czy dworcowy bufet, jak go również nazwano) mógł wydać się zamazany i zamglony moim podrażnionym oczom krótkowidza, podczas gdy nie można wykluczyć, że ów bar zalewa światło wysyłane ze srebrzystych tub, światło, co odbite w lustrach, wdziera się we wszystkie przedsionki i zakamarki, pozbawioną zaś cienia przestrzeń wypełnia muzyka, nastawiona na cały regulator, która wybucha z wibrującego urządzenia do zabijania ciszy; obok działa bilard i inne gry elektroniczne, symulujące wyścigi konne i polowanie na człowieka. Kolorowe cienie tańczą na przezroczystym ekranie telewizora i na tafli akwarium tropikalnych ryb, rozweselanych pionowym strumieniem pęcherzyków powietrza. A moja ręka nie trzyma pękatej, nieco zniszczonej staromodnej torby, lecz popycha kwadratową walizę ze sztywnej plastikowej materii, na małych kółkach, do czego służy składany pręt z chromowanego metalu.

Sądziłeś, czytelniku, że tam, pod daszkiem peronu, mój wzrok przyciągnęły, przekłute niczym halabardy, wskazówki okrągłego zegara z dawnej stacji, że w daremnym wysiłku starałem się odwrócić ich bieg, skłonić je, aby w odwrotnym kierunku przemierzyły cmentarz minionych godzin, ległych bez czucia w swym kolistym panteonie. Lecz kto ci powiedział, że cyfry zegara nie wychyła się ze swych prostokątnych okienek i nie ujrzę, jak każda minuta spada na mnie znienacka niczym ostrze gilotyny? Zresztą nawet wówczas, gdybym posuwał się naprzód w płynnym i wygładzonym świecie, niewiele by to zmieniło: moja ręka ściskająca lekki ster walizki na kółkach wyrażałaby wewnętrzny opór, zupełnie jakby ten poręczny bagaż był dla mnie przykrym i męczącym ciężarem.

Musiało mnie spotkać jakieś niepowodzenie: pomyłka w rozkładzie jazdy, opóźnienie pociągu,

stracone połączenie, być może po przybyciu miałem nawiązać z kimś kontakt, prawdopodobnie ma to związek z walizką, która wydaje się zaprzętać moją uwagę, nie wiadomo tylko, czy lękam się ją zgubić, czy też nie mogę się doczekać, aby się jej pozbyć. Jedno nie ulega wątpliwości, to nie jest byle jaki bagaż, który można oddać na przechowanie czy też zostawić niby przypadkiem, przez roztargnienie, w poczekalni. Daremnie spoglądam na zegarek, nawet jeśli ktoś mnie oczekiwał, odszedł jakiś czas temu. Daremnie prześladowuje mnie myśl, aby zawrócić bieg zegarów i kalendarzy w nadziei, że powrócę do chwili, w której wydarzyło się coś, co nie powinno się było wydarzyć. Jeśli byłem na tej stacji umówiony z kimś, kto być może nie miał tu nic do roboty, miał tylko wysiąść z wagonu i odjechać następnym pociągiem, podobnie jak ja powinienem był to zrobić, i jeden z nas miał przekazać coś temu drugiemu, założmy, że ja miałem powierzyć mu walizkę na kółkach, która została jednak przy mnie i teraz parzy mi dłonie, to pozostaje mi tylko próbować odnaleźć utracony kontakt.

Już dwa razy przemierzałem bar i stawałem w drzwiach, które wychodzą na niewidoczny plac, za każdym razem mur ciemności odrzucał mnie z powrotem na ten oświetlony skrawek, zawieszony pomiędzy dwiema mrocznymi otchłaniami, wstęgą torów i zamglonym miastem. Chciałbym wyjść – ale dokąd? To miasto tam, na zewnątrz, nie ma jeszcze imienia, nie wiemy, czy pozostanie poza światem powieści, czy też wchłonie ów świat w swoją atramentową czerń. Wiem tylko, że ten pierwszy rozdział zwleka z oderwaniem się od stacji i od baru. Nie postąpiłbym przezornie, gdybym się stąd oddalił, bo mogliby jeszcze po mnie przyjść, nie powinienem też rzucać się nikomu w oczy z tak wielką walizką. Nieustannie zatem karmię żetonami publiczny telefon, który mi je za każdym razem wypluwa, wrzucam dużo żetonów, tak jak na rozmowę międzymiastową, kto wie, gdzie oni się teraz znajdują, ci, od których mam otrzymać instrukcje czy, powiedzmy raczej, mam przyjąć rozkazy, bo to jasne, że jestem uzależniony od innych, nie wyglądam na takiego, co podróżuje we własnych prywatnych sprawach czy też samodzielnie prowadzi interesy; sprawiam raczej wrażenie wykonawcy, pionka w skomplikowanej grze, małego kółka w zębatej maszynie, tak małego, że wręcz nie powinno się go dostrzegać, i faktycznie zostało ustalone, że mam przemknąć się tędy nie pozostawiając śladów, tymczasem każdej spędzonej tutaj minuty zostawiam ślady; zostawię ślady, jeśli z nikim nie będę rozmawiał, gdyż określe się jako ten, kto nie chce otworzyć ust, a jeśli się odezwę, też zostawię ślady, bo każde wypowiedziane słowo jest słowem, które pozostanie i może potem wypłynąć, w cudzysłowie czy bez cudzysłowu. Może dlatego autor gromadzi przypuszczenia, jedno za drugim, tworząc długie akapity pozbawione dialogów, złożone gęstym i nieprzejrzystym drukiem, gdzie mógłbym przejść nie zauważony, gdzie mógłbym zniknąć.

Jestem osobą, która zupełnie nie rzuca się w oczy, anonimową obecnością na jeszcze bardziej anonimowym tle, a jeśli ty, czytelniku, mogłeś mnie dostrzec pośród ludzi wysiadających z pociągu i

śledziłeś moją wędrówkę pomiędzy barem a telefonem, to tylko dlatego, że nazywam się „ja”, i jest to jedyna rzecz, jaką o mnie wiesz, ale to wystarcza, abys poczuł się skłonny utożsamić cząstkę samego siebie z tym nieznanym „ja”. Podobnie postępuje pisarz, który nie mając zamiaru mówić o sobie, postanawia obdarzyć bohatera zaimkiem „ja”, niemal po to, aby usunąć go z pola widzenia, uniknąć obowiązku nadania mu imienia czy opisanie go, ponieważ każde imię i każda przydawka ograniczyłyby go bardziej niż ten nagi zaimek. Otóż ten autor, tylko z tego powodu, że napisał „ja”, czuje się niejako zobowiązany udzielić temu „ja” cząstki samego siebie, tego, co czuje lub wyobraża sobie, że czuje. Nie ma nic łatwiejszego ponad chęć utożsamienia się ze mną, jak dotąd moje zewnętrzne zachowanie jest zachowaniem człowieka, który stracił połączenie kolejowe, podobnej sytuacji każdy doświadczył, lecz sytuacja wytworzona na początku powieści odsyła zawsze do tego, co już się wydarzyło lub co ma się wydarzyć, i to właśnie wprowadza pewne ryzyko w chęć utożsamienia się ze mną, ryzyko dla ciebie jako czytelnika i dla niego jako autora; toteż im bardziej szary, banalny, nieokreślony i byle jaki jest początek tej powieści, tym bardziej ty sam i autor czujecie, że cień niebezpieczeństwa pada na tę cząstkę waszego „ja”, tak nierozważnie utożsamionego z „ja” bohatera, bo przecież nie znacie historii, jaką on za sobą wlecze, podobnie jak wlecze tę walizkę, od której tak bardzo chciałby się uwolnić.

Powinienem był pozbyć się walizki, spełnić pierwszy warunek, aby wskrzesić pierwotny stan rzeczy, chwilę, zanim wydarzyło się wszystko to, co w następstwie się wydarzyło. Właśnie to mam na myśli, gdy mówię, że chciałbym popłynąć pod prąd czasu: chciałbym wymazać skutki pewnych wydarzeń i przywrócić sytuację wyjściową. Lecz każda chwila mojego życia niesie z sobą nagromadzenie nowych faktów, a każdy z tych faktów niesie własne następstwa, im bardziej zatem staram się cofnąć do punktu zerowego, z którego wyruszyłem, tym bardziej się od niego oddalam, nawet jeśli wszystkie moje poczynania zmierzają do tego, aby wymazać skutki poprzednich poczynań, w czym udaje mi się nawet osiągnąć pewne wyniki, tak że budzi się we mnie nadzieja na doznanie natychmiastowej ulgi, muszę jednak liczyć się z tym, że każdy mój ruch, obliczony na wymazanie poprzednich wydarzeń, wywołuje lawinę nowych, które jeszcze bardziej komplikują sytuację, a które będę z kolei usiłował wymazać. Muszę zatem poddawać rozwadze każdy mój ruch, aby dążyć do uzyskania maksimum faktów wymazanych przy minimum dalszych komplikacji.

Nieznajomy mężczyzna miał skontaktować się ze mną zaraz po wyjściu z pociągu, gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Mężczyzna z walizką na kółkach, taką samą jak moja, pustą. Obie walizki zderzyłyby się niby przypadkiem przy stałym ruchu podróżnych na peronie, między jednym a drugim pociągiem. Drobne, na pozór przypadkowe zajście, nie do odróżnienia od tego, co dzieje się przypadkiem, ale z ust mężczyzny miało paść hasło, komentarz do tytułu gazety wystającej z

mojej kieszeni, komentarz dotyczyłby wyniku gonitwy koni. „No tak, zwyciężył Zenon z Elei!”, a tymczasem rozłączylibyśmy nasze walizki, manewrując metalowymi prętami, może nawet wymienilibyśmy parę uwag o koniach, jakieś prognozy, zakłady, potem skierowalibyśmy się do rozbieżnych pociągów, każdy popychałby swoją walizkę. Nikt by tego nie zauważył, ale ja zostałbym z walizką tamtego, a on zabrałby moją.

Plan doskonały, tak doskonały, że wystarczyła drobna komplikacja, aby go udaremnić. Teraz znajduję się tutaj, nie wiem, co dalej robić, jestem ostatnim podróżnym na stacji, przed jutrzejszym rankiem nie odjedzie stąd ani nie przybędzie tu żaden pociąg. To godzina, kiedy małe prowincjonalne miasto zamyka się we własnej skorupie. W dworcowym barze pozostali tylko miejscowi, sami znajomi, osoby, które nie mają tu nic do roboty, lecz schodzą się przemierzając ciemny plac, bo w pobliżu nie ma żadnego otwartego lokalu, a może sprawia to działanie magnetycznej siły prowincjonalnego dworca, owa szczypta nowości, której można spodziewać się po kolejowej stacji, a może sprawia to tylko wspomnienie czasów, kiedy dworzec był jedynym miejscem łączności ze światem.

Na próżno powtarzam sobie, że nie ma już prowincjonalnych miast, a może nawet nigdy ich nie było; wszystkie miejsca błyskawicznie komunikują się ze sobą, poczucia osamotnienia doświadczą się tylko podczas przejazdu z jednego miejsca na drugie, to znaczy wtedy, gdy nie jest się w żadnym miejscu. Ja właśnie znajduję się tutaj, nie będąc ani tu, ani gdziekolwiek indziej, jestem rozpoznawalny jako obcy przez nieobcych, w takim samym stopniu, w jakim ja rozpoznaję nieobcych i im zazdroszczę. Tak, zazdroszczę. Przypatruję się z zewnątrz przeciętnemu wieczornemu życiu przeciętnego małego miasta i zdaję sobie sprawę, że będę pozbawiony takich przeciętnych wieczorów jeszcze kto wie jak długo, i rozmyślam o tysiącach podobnych miast, o setkach tysięcy oświetlonych lokali, gdzie o tej porze ludzie czekają, aż zapadnie zmierzch, a w ich głowach nie powstaje ani jedna z myśli, które mnie opadają, być może zaprzatają ich inne myśli, również wcale nie do zazdroszczenia, lecz w tej chwili byłbym skłonny zamienić się z każdym z nich. Choćby z którymkolwiek z tych młodzieńców, którzy krążą wśród sklepikarzy i zbierają podpisy pod petycją do władz miejskich w sprawie podatków od reklam świetlnych, a teraz odczytują pismo barmanowi.

Tutaj powieść przytacza fragmenty rozmowy, które, jak się zdaje, spełniają wyłącznie funkcję opisu codziennego życia w prowincjonalnym mieście.

— A czy ty, Armido, już podpisałaś? — pytają kobietę, którą widzę tylko od tyłu: przekrzywiona patka długiego płaszcza, obrębitego futrem, o szerokim kołnierzu, pomiędzy palców zaciśniętych wokół nóżki kieliszka unosi się smuga dymu.

— A kto wam powiedział, że chcę założyć neon nad sklepem? — odpowiada. — Jeśli władze

miejskie zamierzają oszczędzać w ten sposób na lampach, to ja na pewno nie będę oświetlać ulic na własny rachunek! Zresztą wszyscy wiedzą, gdzie znajdują się artykuły skórzane Armidy. Kiedy opuszczam żaluzje, ulica staje się ciemna i tyle.

— Właśnie dlatego powinnaś podpisać — mówią. Zwracają się do niej po imieniu. Tutaj wszyscy zwracają się do siebie po imieniu, rozmawiają częściowo w dialekcie, ci ludzie mają zwyczaj widywać się codziennie kto wie od ilu już lat, każda ich rozmowa jest dalszym ciągiem poprzednich rozmów. Sypią się żarty, także dosyć niewybredne: — Powiedz prawdę, ciemność jest ci na rękę, bo nikt nie widzi, kto cię odwiedza? Kogo wpuszczasz na zaplecze, kiedy opadają żaluzje?

Ich głosy giną w ogólnej wrzawie, z której można by wyłowić pojedyncze słowo czy zdanie zapowiadające to, co wydarzy się później. Musisz wczytać się w tekst, wyodrębnić efekt działania wrzawy, a również efekt działania ukrytych zamysłów, których jeszcze (podobnie jak ja) nie potrafisz zrozumieć. Czytając, musisz być zarazem roztargniony i uważny, zupełnie tak jak ja: w skupieniu nadstawiam uszu, z łokciem na kontuarze baru, z policzkiem na zaciśniętej dłoni. Teraz powieść zaczyna wyzwalać się ze swej mglistej nieokreśloności, podaje pewne szczegóły o wyglądzie postaci, chce ci przekazać wrażenie twarzy widzianych po raz pierwszy, chociaż zdawać się może, że są to twarze widziane tysiące razy. Na ulicach tego miasta spotykają się zawsze te same osoby, widoczne na ich twarzach brzemie przyzwyczajenia jest czytelne nawet dla kogoś, kto jak ja pojmuję, chociaż nigdy przedtem tu nie był, że są to wciąż te same twarze, które w odbiciu bufetowego lustra grubiały i więdły, z każdym wieczorem stając się coraz bardziej obrzmiałe i obwisłe. Może ta kobieta była kiedyś miejscowa pięknoscia, jeszcze teraz, a widzę ją po raz pierwszy, wydaje mi się atrakcyjna, lecz jeśli spojrzę na nią oczami bywalców baru, dostrzegę jakby osad zmęczenia, chociaż może to kładzie się cień ich własnego zmęczenia (może także zmęczenia mojego czy twojego). Oni znają ją z czasów, kiedy była młodą dziewczyną, wiedzą o niej wszystko, może któryś z nich miał z nią romans, stare dzieje, zapomniane, jednym słowem inne spojrzenia nakładają się na jej obraz, pozbawiają go wyrazistości, brzemie ich wspomnień nie pozwala mi patrzeć na nią tak, jak się patrzy na osobę widzianą po raz pierwszy, cudze wspomnienia gęstnieją jak dym pod lampą.

Ulubioną rozrywką tych bywalców baru są, jak się zdaje, zakłady, zakłady dotyczące najbliższych zdarzeń codziennego życia. Na przykład jeden z nich mówi:

— Załóżmy się o to, kto przyjdzie tu dzisiaj pierwszy, doktor Marne czy komisarz Gorin. — Na to drugi odpowiada: — A co zrobi doktor Marne, kiedy przyjdzie, żeby uniknąć spotkania ze swoją byłą żoną? Czy zacznie grać w automatyczny bilard, czy też zacznie się zakładać?

Egzystencja, którą prowadzę, wyklucza podobne rachuby, nigdy nie wiem, co może mi się

przydarzyć w ciągu następnych trzydziestu minut, nie potrafię wyobrazić sobie życia złożonego z drobnych, ściśle wyznaczonych alternatyw: będzie tak albo tak.

— Nie wiem — mówię półgłosem.

— Czego pan nie wie? — pyta.

Tę myśl, jak mi się wydaje, mogę wypowiedzieć na głos, nie muszę zatrzymywać jej dla siebie, jak wszystkie inne moje myśli, mogę wyjawić ją owej kobiecie stojącej obok mnie, przy barze, tej ze sklepu ze skórzaną galanterią, bo od dłuższej chwili mam ochotę nawiązać z nią rozmowę.

— Tak to u was wygląda?

— Nie, to nieprawda — odpowiada, a ja wiedziałem, że właśnie tak mi odpowie. Twierdzi, że nic nie da się przewidzieć, ani tu, ani gdzie indziej; tak, każdego wieczoru o tej porze doktor Marne zamyka przychodnię, a komisarz Gorin kończy służbę w komisariacie policji i zawsze tutaj przychodzą, raz jeden zjawia się pierwszy, raz drugi, ale co z tego?

— W każdym razie nikt nie zdaje się wątpić, że doktor Marne postara się uniknąć spotkania z byłą panią Marne — mówię.

— To ja jestem byłą panią Marne — odpowiada. Niech pan nie wierzy w te ich opowieści.

Twoja uwaga, czytelniku, skupia się teraz całkowicie na tej kobiecie, już od paru stron krążysz wokół niej podobnie jak ja, nie, raczej jak autor, który krąży wokół tej kobiecej obecności, i już od paru stron spodziewasz się, że ta urojona kobieca postać przybierze określone kształty w taki sposób, w jaki zazwyczaj urojone kobiece postaci przybierają określone kształty na zapisanej stronie, twoje czytelnicze oczekiwanie popycha autora w jej kierunku, i nawet ja, chociaż mam co innego w głowie, pozwalam sobie do niej przemówić, nawiązać z nią rozmowę, którą powinienem jak najszybciej uciąć, aby móc się oddalić, aby zniknąć. Ty z pewnością chciałbyś się dowiedzieć o niej czegoś więcej, a tymczasem z zapisanej strony wyłania się zaledwie parę szczegółów, jej twarz przesłaniają włosy i dym, z gorzkiego grymasu jej ust należałoby wyczytać to, co gorzkim grymasem ust nie jest.

— A co oni mówią? — pytam. — Ja o niczym nie wiem. Wiem tylko, że ma pani sklep bez świetlnej reklamy. Ale nawet nie wiem gdzie.

To sklep z wyrobami skórzanymi, wyjaśnia, walizki i artykuły podróżne. Nie mieści się na placu przed dworcem, lecz w bocznej ulicy, tuż przy przejeździe towarowym.

— Ale dlaczego to pana interesuje?

— Żałuję, że nie zjawiłem się tutaj wcześniej. Byłbym przeszedł się ciemną ulicą, dostrzegłbym pani oświetlony sklep, wszedłbym do środka, powiedziałbym: Jeśli pani chce, pomogę pani opuścić żaluzje.

Odpowiada, że już opuściła żaluzje, ale i tak musi jeszcze wrócić do sklepu na spis towarów i zostanie tam do późna.

Ludzie w barze wymieniają żarciki, poklepują się po plecach. Jeden zakład został właśnie rozstrzygnięty: doktor wchodzi do lokalu.

— Komisarz się spóźnia, ciekawe dlaczego?

Doktor wchodzi, kłania się wszystkim dokoła, nie zatrzymuje wzroku na żonie, ale z pewnością dostrzega, że ona rozmawia z jakimś mężczyzną. Idzie dalej, w głąb lokalu, odwrócony plecami do baru, wrzuca monetę do elektrycznego bilardu. Tak oto mnie — a miałem pozostać nie zauważony — obrzucono badawczym spojrzeniem, sfotografowano oczami, nie mogę się łudzić, że im się wymknąłem, te oczy nie zapominają nikogo ani niczego, co odnosi się do przedmiotu ich zazdrości i cierpienia. Widok tych pochmurnych i wodnistych oczu wystarcza, abym zrozumiał, że dramat, który się pomiędzy tymi dwojgiem rozegrał, jeszcze się nie zakończył, on codziennie wieczorem przychodzi do baru, aby ją ujrzyć, rozdrapać sobie stare rany, może po to, aby zobaczyć, kto tym razem odprowadza ją do domu; ona każdego wieczoru przychodzi do baru może właśnie po to, by zadać mu cierpienie, a może w nadziei, że nawyk cierpienia stanie się dla niego takim samym przyzwyczajeniem jak każde inne, że nabierze posmaku pustki, która już od lat żłobi jej usta i jej życie.

— Tym, czego pragnąłbym najbardziej na świecie — mówię, aby podtrzymać rozmowę — jest odwrócenie biegu zegarów.

Kobieta daje mi byle jaką odpowiedź, coś w rodzaju: — Wystarczy cofnąć wskazówki — a ja na to: — Nie, chciałbym to zrobić siłą woli, skoncentrować się tak bardzo, aby odzyskać utracony czas — mówię, a właściwie nie jest jasne, czy naprawdę tak mówię, czy też chciałbym to powiedzieć, a może autor podobnie interpretuje wybąkiwane przeze mnie zwroty. — Kiedy pojawiłem się tutaj, oładnęła mną myśl, że może dzięki wysiłkowi mojego umysłu czas zatoczył pełne koło, i teraz oto znajduję się na stacji, skąd wyruszyłem po raz pierwszy, wszystko jest takie jak wtedy, nic się nie zmieniło. Wszystkie warianty życia, które mogło się stać moim udziałem, stąd biorą swój początek, jest nawet dziewczyna, która mogła zostać moją dziewczyną, ale nią nie została, ma te same oczy, te same włosy... Ona rozgląda się dokoła, jakby sobie ze mnie żartowała, daję jej znak wysuwając podbródek, ona unosi kąciki ust, jakby w uśmiechu, potem nieruchomieje: może zmieniła zamiar, a może tak się właśnie uśmiecha. Kto wiem, czy to komplement, w każdym razie ja biorę to za komplement. A co teraz?

— A teraz jestem tutaj, ja dzisiejszy, z tą walizką. Po raz pierwszy wspominam o walizce, chociaż ani na chwilę nie przestaję o niej myśleć.

Na to ona: — To widocznie jest wieczór pod znakiem kwadratowych walizek na kółkach.

Zachowuję spokój, pozostaję niewzruszony. Pytam: — Co chce pani przez to powiedzieć?

— Właśnie sprzedałam dzisiaj jedną z takich walizek.

— Komu?

— Jakiemuś przejezdnemu. Takiemu jak pan. Szedł na dworzec, miał odjechać z pustą walizką, dopiero kupioną. Taką jak pańska.

— Czy jest w tym coś dziwnego? Czyż pani nie sprzedaje walizek?

— Takich walizek jak ta, od kiedy mam je w sklepie nikt tutaj nie kupuje. Nie podobają się. Albo nie są potrzebne. Albo nie są znane. A przecież muszą być wygodne.

— Nie dla mnie. Bo jeśli na przykład pomyślę, że mógłbym spędzić dzisiaj udany wieczór, przypomina mi się, że muszę zabrać ze sobą tę walizkę, i nie potrafię myśleć już o niczym innym.

— Dlaczego jej pan gdzieś nie zostawi?

— Na przykład w sklepie z walizkami — mówię.

— Dlaczego nie? Jedna więcej, jedna mniej. Wstaje ze stołka, poprawia sobie w lustrze kołnierz płaszcza, poprawia także pasek.

— Jeśli pojawię się tam później i zastukam w żaluzję to usłyszysz mnie pani?

— Proszę spróbować. Z nikim się nie żegna. Jest już za drzwiami, na placu. Doktor Marne porzuca bilard, rusza w stronę baru.

Chce spojrzeć mi w twarz, może chce także złowić czyjąś głośną aluzję czy tylko czyjś szyderczy uśmiech. Ale tamci rozprawiają o zakładach, o zakładach stawianych na niego, nie bacząc, czy on to słyszy. Wokół doktora Marne panuje ogólna wesołość, atmosfera zażyłości, poklepywania po plecach, chociaż w tej hałaśliwej zabawie nie zostaje przekroczona pewna granica poszanowania, nie tylko dlatego, że Marne jest lekarzem, przedstawicielem służby zdrowia czy kimś w tym rodzaju, ale doktor jest także przyjacielem, czy raczej jest człowiekiem nieszczęśliwym, nie może uwolnić się od swojego cierpienia, a mimo to pozostaje przyjacielem.

— Komisarz Gorin zjawia się dzisiaj tak późno, że wszystkie zakłady zawiodły — mówi ktoś, bo właśnie w tej chwili komisarz wchodzi do baru.

Wchodzi. — Dzień dobry wszystkim! — Zbliża się do mnie, spuszcza wzrok na walizkę, na gazetę, szepcze przez zaciśnięte zęby: — Zenon z Elei — potem podchodzi do automatu z papierosami.

Czyżby wydali mnie w ręce policji? Czy to może policjant, który pracuje dla naszej organizacji? Podchodzę do automatu, jakbym też zamierzał kupić papierosy.

Mówi: — Zamordowali Jana. Odejdź stąd.

— A co z walizką? — pytam.

- Zabierz ją z powrotem. Teraz nie chcemy o tym słyszeć. Wsiądź do ekspresu o jedenastej.
- Ale ekspres nie zatrzymuje się tutaj.
- Zatrzyma się. Idź na peron szósty. Przy rampie towarowej. Masz trzy minuty.
- Ale...
- Zmykaj albo będę musiał cię aresztować.

Organizacja jest potężna. Wydaje rozkazy policji, także pracownikom kolei. Prowadzę walizkę po przejściach przez tory, aż do peronu numer sześć. Idę wzdłuż peronu. Rampa towarowa jest tam w głębi, przejazd ginie w mroku i we mgle. Komisarz stoi w drzwiach dworcowego baru, nie spuszcza ze mnie oka. Ekspres nadjeżdża z całą szybkością, zwalnia, zatrzymuje się, wymazuje mnie z pola widzenia komisarza, odjeżdża.

II

Przeczytałeś już około trzydziestu stron i dałeś się porwać akcji. W pewnej chwili mówisz sobie: „To zdanie wydaje mi się znajome. A nawet wydaje mi się, że już czytałem cały ten fragment.” To jasne, powracają pewne motywy, w tekst zostały wplecione powtórzenia, które mają wyrazić chwiejny ruch czasu. Jesteś czytelnikiem uwrażliwionym na te subtelności, gotowym wyłować intencje autora, nic nie umknie twojej uwadze. Chociaż jednocześnie doznajesz uczucia pewnego rozczarowania: właśnie teraz, kiedy naprawdę zaczynałeś się wciągać w lekturę, autor czuje się oto w obowiązku popisać się jedną z pokazowych umiejętności współczesnej prozy, i powtarza cały akapit. Akapit, mówisz? Ależ to cała strona, możesz porównać. Nie różnią się nawet przecinkiem. A co dzieje się dalej? Nic, powtarza się ta sama opowieść, którą już czytałeś!

Chwileczkę, spójrz na numer strony. A niech to! Ze strony 32 wróciłeś na stronę 17! To, co wzięłeś za wyrafinowanie autora, jest tylko błędem drukarskim: powtórzyli dwa razy tę samą stronę. Błąd popełniono przy oprawianiu tomu; każda książka składa się z arkuszy, każdy arkusz jest dużą kartką papieru, drukuje się na niej szesnaście stron, a następnie składa się ją na osiem części, przy zszywaniu arkuszy może się tak zdarzyć, że w jednym egzemplarzu książki znajdują się dwa takie same arkusze. To się od czasu do czasu zdarza. Przewracasz niecierpliwie kolejne kartki, aby wytropić stronę 33, jeśli taka istnieje, podwójny arkusz wydaje się drobną przeszkodą stratą nie do powetowania byłoby zniknięcie właściwego arkusza, który być może trafił do innego egzemplarza gdzie został zszyty podwójnie, w miejsce obecnego. Jakkolwiek rzeczy się mają, ty chcesz podjąć przerwany wątek, nic innego cię nie obchodzi, doszedłeś do punktu w którym nie można przeskoczyć nawet jednej strony.

Oto ponownie strona 31, 32... A potem, co dzieje się potem? Znowu pojawia się strona 17, po raz trzeci! Co za książkę ci sprzedano? Zszyto razem wiele egzemplarzy tego samego arkusza, w całej książce nie ma dalej ani jednej właściwej strony.

Ciskasz książkę o podłogę, wyrzuciłbyś ją przez okno, choćby przez zamknięte, niech ostrza żaluzji zmielą te nedorzeczne zeszyty, niech wytrysną z nich zdania, słowa, morfemy i fonemy, tak aby nie mogły ułożyć się z powrotem w zapis. Szpyrgnąłbyś książkę przez szybę, tym lepiej, jeśli szyba jest nietłukąca, książkę rozłożoną na fotony, na wibracje fal, na spolaryzowane widma: przez ścianę, niech rozdrobni się na molekuly i atomy, przebiję się przez atomy żelazobetonu, rozpadnie się na elektrony, neutrony, neutryny, na coraz drobniejsze cząsteczki elementarne, cisnąłbyś ją przez druty telefoniczne, niech rozłoży się na elektroniczne impulsy, na strumień informacji, zakłócany redundancją i szumami,

niech zapadnie się w otchłań entropii. Chciałbyś wyrzucić ją z mieszkania, z bloku, z dzielnicy, z konglomeracji miejskiej, z województwa, z administracji okręgu., ze wspólnoty narodowej, ze wspólnego rynku, ze strefy kultury zachodniej, z powierzchni kontynentu, z atmosfery, z biosfery, ze stratosfery, z pola grawitacji, z systemu słonecznego, z galaktyki, z gromady galaktyk, chciałbyś cisnąć ją poza punkt ekspansji galaktyk, tam gdzie ani czas, ani przestrzeń nie dotarły, gdzie przyjąłby ją niebyt, to, czego nie było ani czego nie będzie, gdzie zagubiłaby się w pustce absolutnej, bezspornej, niezaprzeczalnej. Właśnie tak, jak na to zasługuje, ni mniej, ni więcej.

A tymczasem przeciwnie: podnosisz książkę, otrzepujesz z kurzu; musisz ją odnieść księgarzowi do wymiany. Wiemy, że jesteś porywczy, ale nauczyłeś się nad sobą panować. Najbardziej irytują cię sytuacje, kiedy zdany jest na łaskę przypadku, prawdopodobieństwa, niepewności rzeczy, ludzkich działań, irytuje cię roztargnienie, powierzchowność, niedbalstwo twoje lub innych.

W takich przypadkach poddajesz się uczuciu niecierpliwości od razu chciałbyś przekreślić ujemne skutki owej samowoli czy roztargnienia, chciałbyś przywrócić właściwy bieg wydarzeń. Nie możesz doczekać się chwili, kiedy weźmiesz do ręki nie uszkodzony egzemplarz książki, którą zacząłeś czytać. Natychmiast popędziłbyś do księgarni, gdyby sklepy były o tej porze otwarte. Musisz poczekać do jutra.

Spędzasz niespokojną noc, sen płynie przerywanym, niemiaryowym strumieniem, podobnie jak lektura powieści, sny wydają ci się powtórzeniem wciąż tego samego snu, walczysz z nimi, jak walczyłbyś z życiem pozbawionym sensu i formy, poszukujesz jakiejś myśli, jakiejś drogi, która przecież musi istnieć, podobnie jak dzieje się to przy rozpoczynaniu jakiejś książki, kiedy jeszcze nie wiesz, dokąd zaprowadzi cię lektura. Chciałbyś, aby czas i przestrzeń rozwarły się przed tobą, abstrakcyjne i absolutne, a ty mógłbyś się poruszać wytyczonym, szerokim torem, lecz kiedy mniemasz, że ci się to udało, spostrzeżasz, że tkwisz w miejscu, unieruchomiony, zmuszony rozpoczynać wszystko od nowa.

Nazajutrz w pierwszej wolnej chwili biegniesz do księgarni, wchodzisz wyciągając rękę z rozłożoną książką i wskazujesz palcem na otwartą stronę, jakby była wystarczającym świadectwem powszechnego nieładu. — Czy pan wie, co mi pan sprzedał?... Proszę tu spojrzeć... właśnie w najciekawszym miejscu...

Księgarz nie okazuje zakłopotania. — Ach tak, to pan też? Miałem już sporo reklamacji. I właśnie dzisiaj rano otrzymałem okólnik z wydawnictwa. Widzi pan? „W dostawie ostatnich naszych nowości część nakładu pozycji *Jeśli zimową nocą podróżny* okazała się uszkodzona i musi zostać wycofana ze sprzedaży. Wskutek wadliwej oprawy introligatorskiej arkusze drukarskie rzeczonożemu tomu zmieszano z arkuszami innej nowości. *Poza osada Malbork*, powieści polskiego pisarza. Tazia Bazakbala. Przepraszając

za przykrą pomyłkę, wydawnictwo zobowiązuje się do jak najszybszej wymiany uszkodzonych egzemplarzy,” i tak dalej. Niech mi pan powie, czy biedny księgarz powinien mieć jakiegokolwiek przykrości z powodu czyjegoś niedbalstwa? Przez cały dzień już wariujemy. Przejrzeliśmy Calvina jednego po drugim. Na szczęście, jest wśród nich pewna liczba tomów dobrze oprawionych i natychmiast możemy wymienić panu wadliwy egzemplarz *Podróżnego* na egzemplarz bez usterek, nowiuteńki. Chwileczkę. Skup się. Uporządkuj w myślach ten nieoczekiwany strumień informacji. Polska powieść. A zatem książka, którą zacząłeś czytać z takim przejęciem, okazała się inną pozycją, niż sądziłeś, okazała się powieścią polskiego autora. I właśnie tę książkę pilno ci teraz zdobyć. Nie daj się wyprowadzić w pole. Powiedz otwarcie, jak się rzeczy mają. — Nie, widzi pan, zupełnie już mi nie zależy na tym Calvinie. Zacząłem czytać polską powieść i chcę przeczytać ją do końca. Czy ma pan tego Bazakbala?

— Jak pan woli. Przed chwilą przysłała jakaś klientka w tej samej sprawie i ona także chciała wymienić Calvina na tę polską książkę. O, tam na stole leży stos Bazakbala, widzi pan? tuż pod nosem. Proszę się obsłużyć.

— Ale czy to będzie dobry egzemplarz?

— Wie pan, głowy za to nie dam. Jeżeli najpoważniejsze wydawnictwa pozwalają sobie na takie rzeczy, to niczemu nie można już ufać. Powtarzam panu to, co już powiedziałem tej pani. Jeśli znajdzie się jeszcze powód do reklamacji, otrzymacie państwo zwrot pieniędzy. Nic więcej nie mogę zrobić.

Pani, powiedział: pani. Jest tam, pomiędzy księgarskimi półkami, przegląda serię Penguin Modern Classics, delikatnym i śmiałym palcem przesuwając po grzbietach koloru bladych bakłażanów. Oczy duże i bystre, cera o zdrowym wyglądzie i kolorystyce, włosy falujące, bujne i puszyste.

Tak oto Czytelniczka wkracza szczęśliwie w twoje pole widzenia, Czytelniku, a raczej w zasięg twojej uwagi, czy też przeciwnie, to ty dostałeś się w zasięg pola magnetycznego, nie możesz się oprzeć jego sile przyciągania. Nie trać więc czasu, masz dobry pretekst do nawiązania rozmowy, wspólny grunt, pomyśl tylko, możesz popisać się swoimi rozległymi i różnorodnymi lekturami, dalej, naprzód, na co czekasz.

Więc pani też, ha, ha, wzięła tę polską książkę — mówisz jednym tchem — ale ta powieść, co tak się urywa, co za oszustwo, bo powiedziano mi, że pani też, tak samo jak ja. Jak ryzyko, to ryzyko, zrezygnowałem z tamtej i wzięłem tę, ale co za zbieg okoliczności, pani i ja.

No, mogłeś wprawdzie ująć to nieco składniej, ale zasygnalizowałeś podstawowe wątki. Teraz na nią kolej.

Uśmiecha się. Ma dołączki. Podoba ci się coraz bardziej.

Mówi: — Ach, naprawdę, taką miałam ochotę przeczytać jakąś dobrą książkę. Ta wprawdzie nie

od razu, ale potem zaczęła mi się podobać... Ale byłam zła, kiedy odkryłam, że tak się urywa. Poza tym autor okazał się nie ten. A miałam takie wrażenie, że różni się od poprzednich swoich książek. Istotnie, bo to był Bazakbal. Chociaż niezły jest ten Bazakbal. Nigdy nie czytałam żadnej jego książki.

— Ja też nie — możesz powiedzieć, sam uspokojony, uspokajającym tonem.

— Trochę niejasny sposób prowadzenia narracji, jak na moje gusty. Nie powiem, żeby mi się zupełnie nie podobało takie poczucie zagubienia, które stwarza początek powieści, ale jeśli pierwsze wrażenie jest mgliste, to obawiam się, że skoro tylko mgła się podniesie, lektura straci dla mnie smak.

Kiwasz głową, zamyślony. — To prawda, takie ryzyko istnieje.

— Wolę powieści — dodaje — które natychmiast wprowadzają mnie w świat, gdzie każda rzecz jest określona, konkretna, odrębna. Odczuwam szczególną przyjemność, kiedy się okazuje, że wszystko jest takie, a nie inne, nawet to, co nie ma wielkiego znaczenia, co w życiu wydaje się obojętne.

Zgadzasz się z tym? No to jej powiedz: — Ach tak, właśnie takie książki warto czytać.

Ona: — Chociaż ta powieść jest interesująca, nie przeczę.

Dalej, nie pozwól umrzeć konwersacji. Powiedz cokolwiek, wystarczy, że będziesz mówił. — Czyta pani dużo powieści? Tak? Ja też, czasami, chociaż wolę eseistykę... - To wszystko, co potrafisz? A potem? Milczysz? No to cześć! Nie umiesz nawet zapytać: „A to pani czytała? A tamto? Którą pani woli?” Tak, teraz macie o czym rozmawiać przez pół godziny.

Kłopot w tym, że ona czytała dużo więcej powieści niż ty, zwłaszcza obcych, i ma dobrą pamięć, nawiązuje do konkretnych fragmentów, pyta: — A przypomina pan sobie, co mówi ciotka Henry'ego, kiedy... — rzuciłeś ten tytuł, bo znasz tytuł i basta, a chciałeś dać jej do zrozumienia, że czytałeś książkę, i teraz musisz lawirować wśród ogólników, wypowiadasz mało ryzykowne opinie, w rodzaju: — Książka wydaje mi się zbyt rozwlekła — albo: — Podoba mi się, bo jest w niej pewna ironia — na co ona: — Naprawdę, tak pan uważa? Tego bym nie powiedziała — a ty czujesz się nieswojo. Zaczynasz mówić o jakimś sławnym pisarzu, bo czytałeś jego jedną książkę, najwyżej dwie, a ona bez wahania, jednym tchem zaczyna omawiać pozostałe tytuły z *opera omnia*, mogłoby się zdawać, że zna je doskonale, a jeśli miewa jakieś wątpliwości, to tym gorzej dla ciebie, bo wtedy pyta: — A ta słynna scena z pociętą fotografią jest w tej czy w innej książce? Zawsze się myślę... — Usiłujesz odgadnąć, skoro ona się pomyliła. Ona na to: Ależ co pan opowiada? Nie, niemożliwe... — No, powiedzmy, oboje się pomyliliście.

Lepiej będzie, jeśli się wycofasz na pozycje twojej wczorajszej lektury, tomu, który oboje ściskacie teraz w rękach; powinien wam wynagrodzić niedawne rozczarowanie. — Mam nadzieję — mówisz — że tym razem i wziąłem dobry egzemplarz, z dobrą paginacją, i lektura nie urwie się w najciekawszym miejscu, jak to się zdarza... — (Kiedy się zdarza? Co chcesz powiedzieć?) — Jednym słowem, mam

nadzieję, że dobrniemy szczęśliwie do końca.

— Och, tak — odpowiada Styszałeś? Powiedziała: „Och, tak. „ Teraz twoja kolej, spróbuj przejść do ofensywy.

Spodziewam się, że jeszcze panią spotkam, skoro jest pani tutejszą klientką, będziemy mogli wymienić wrażenia z lektury. — A ona odpowiada: — Chętnie.

Ty wiesz, dokąd zmierzasz, rozciągasz cieniutką sieć. — To dopiero byłoby zabawne, wtedy sądziliśmy, że czytamy Italo Calvina, a był to Bazakbal, kiedy natomiast teraz chcemy czytać Bazakbala. otwieramy książkę i znajdujemy Italo Calvina.

— O nie! W takim wypadku wniesiemy skargę do wydawcy!

— A właściwie dlaczego nic mielibyśmy wymienić naszych numerów telefonów. (Oto dokąd zmierzasz, o Czytelniku, oplątując się wokół niej jak grzechotnik.) — W ten sposób, jeśli jedno z nas odkryje, że w jego egzemplarzu jest coś nie w porządku, może zwrócić się do drugiego... Oboje mamy większe szanse na skompletowanie pełnej wersji powieści.

Rzekłeś. Cóż bardziej naturalnego, że pomiędzy Czytelniczką i Czytelnikiem nawiąże się za pośrednictwem książki nic solidarności, współdziałania, sympatii?

Możesz wyjść z księgarni z poczuciem zadowolenia, ty, który uznałeś, że epoka, kiedy można oczekiwać czegoś od życia, bezpowrotnie minęła. Unosisz ze sobą dwa różne oczekiwania, obydwie zapowiadają dni ożywione nadzieją: oczekiwanie zawarte w książce pozwoli ci podjąć przerwana lekturę, oczekiwanie zawarte w tym numerze telefonu ponownie pozwoli ci usłyszeć zarazem wysokie i przytłumione wibracje jej głosu, kiedy ona odpowie na twój pierwszy telefon, już niedługo, choćby jutro, gdy zadzwonisz pod wątłym pretekstem wspólnej lektury, żeby zapytać, jak jej się podoba, powiedzieć, ile stron sam przeczytałeś, zaproponować ponowne spotkanie...

Kim jesteś, Czytelniku, ile masz lat, jaki jest twój stan cywilny, zawód, dochody — podobne pytania byłyby niedyskrecją. To twoje sprawy, sam je ocenisz. Tym, co się liczy, jest teraz twój stan ducha, kiedy w zaciszu domowym starasz się odzyskać spokój, aby pogрузić się w lekturze, wyciągasz nogi, cofasz je, ponownie wyciągasz. Lecz od wczoraj coś się zmieniło. Nie jesteś już samotny w swojej lekturze, myślisz o Czytelniczce, która w tej samej chwili także otwiera książkę, i oto na powieść-do-przeczytania nakłada się powieść-do-przeżycia, dalszy ciąg waszej historii, albo lepiej: początek waszej ewentualnej historii. Oto jaka zmiana zaszła w tobie od wczoraj, chociaż twierdziłeś, że przedkładasz książkę - bo rzecz to pewna, namacalna, ściśle określona, można rozkoszować się nią bez żadnego ryzyka nad rzeczywiste przeżycie, wciąż ulotne, nieciągle, wątpliwe. Czy oznacza to, że książka stała się narzędziem, kanałem komunikacji, miejscem spotkania? Lektura nic na tym nie straci, przeciwnie, zyska jakąś

dodatkową moc.

Tom ma nie rozcięte kartki, to pierwsza przeszkoda, którą napotyka twoje niecierpliwe oczekiwanie. Uzbrojony w dobry nóż do rozcinalania papieru, zabierasz się do przeniknięcia tajemnic książki. Zdecydowanym ruchem torujesz sobie drogę pomiędzy kartą tytułową a początkiem pierwszego rozdziału. I oto...

Oto od pierwszej strony pojmujesz, że powieść, która trzymasz w ręku, nie ma nic wspólnego z powieścią, która czytałeś wczoraj.

Poza osadą Malbork

Zapach smażeniny unosi się nad początkiem stronicy czy raczej zapach zrumienionej cebuli, trochę przypalonej, bo cebula ma żyłki, które stają się fioletowe, a potem brunatne, zwłaszcza krajuszek, margines każdej cząsteczki robi się od razu czarny, zamiast nabrać złocistej barwy, to zwęgla się sok z cebuli, przechodząc przez gamę odcieni węchowych i chromatycznych, nasyconych zapachem oleju, który ledwie się smaży. Chodzi o olej rzepakowy, uściśla tekst, i dokładnie wyszczególnia rzeczy, ich nazwy i wrażenia, które te rzeczy wywołują, wyszczególnia wszystkie potrawy stojące na kuchennym piecu, każdą w innym pojemniku, precyzyjnie nazwanym: są tu rondle, tortownice, kociołki, tekst nazywa także czynności, jakich wymaga przyrządzenie każdej potrawy, mówi o tym, jak ubijać jajka, kroić ogórki w cienkie plasterki, jak przed upieczeniem nadziewać kurczaka kawałkami słoniny. Wszystko jest bardzo konkretne, namacalne, określone z niezawodną fachowością, chociaż są tu potrawy, których nie znasz, tłumacz sądził, że dobrze będzie, pozostawić ich nazwy w języku oryginału, na przykład schuehlinsjia, lecz ty czytając schuehlinsjia, możesz przysiąc, że schuehlinsjia istnieje, wyraźnie czujesz jej zapach, jakkolwiek w tekście nie jest powiedziane, jaki to zapach, czujesz kwaskowaty zapach, po trosze dlatego, że słowo sugeruje swym brzmieniem czy tylko wrażeniem wzrokowym zapach kwaskowaty, a po trosze dlatego, iż w symfonii zapachów, smaków i słów odczuwasz brak kwaskowatej nuty.

Przy zagniataniu mielonego mięsa z mąką zmieszaną z jajkiem czerwone i silne ręce Brigd, nakrapiane złocistymi piegami, pokrywa biały pył z przylepionymi drobinami surowego mięsa. Każdy ruch tułowia Brigd nad marmurowym stołem unosi jej z tyłu spódnicę o parę centymetrów, odsłaniając wgłębienie pomiędzy łydką a dwugłowym mięśnieniem uda, tam gdzie skóra jest bielsza, przecięta bruzdą cienkiej błękitnej żyłki. Postacie przybierają realne kształty, w miarę jak tekst przytacza najdrobniejsze szczegóły, precyzyjnie oddane gesty, a także wypowiedziane słowa, strzępki rozmów, w rodzaju tego, co mówi stary Hunder: „W tym roku już tak nie podskakuję jak przy tej zeszłorocznej”, a po paru linijkach orientujesz się, że chodzi o czerwoną paprykę, ciotka Ugurd zaś mówi: „Bo ty z każdym rokiem coraz mniej podskakujesz”, i kosztuje coś drewnianą łyżką, dosypując do garnka garść cynamonu.

Z każdą chwilą odkrywasz jakąś nową postać, nie wiadomo, ile osób znajduje się w tej naszej ogromnej kuchni, nawet nie warto liczyć, w Kudgiwie zawsze było nas dużo, kręcimy się tam i z powrotem, rachunek nigdy się nie zgadza, bo różne imiona mogą odnosić się do tej samej postaci, raz nazywanej imieniem chrzestnym, to znowu przydomkiem, nazwiskiem lub imieniem patronimicznym,

nie brakuje także określeń w rodzaju: „wdowa po Janie” albo „chłopak ze składu z kukurydzą”. Powieść wydobywa przede wszystkim osobliwość wyglądu: obgryzione paznokcie Bronka, meszek na policzkach Brigd, wydobywa także gesty, nazywa przyrządy, obsługiwane raz przez tę, raz przez inną osobę. Oto tłuczek do mięsa, maszynka do siekania rzeżuchy, radełko do masła, każdą postać charakteryzuje dany gest lub przymiot, podsycza w czytającym ciekawość, tak jakby radełko określało właściwości i losy tego, kto w pierwszym rozdziale pojawia się z radełkiem w dłoni, i jakbyś ty. Czytelniku, za każdym ponownym pojawieniem się tej postaci, miał wykrzykiwać: „Ach, to ten od radełka”. zobowiązując w ten sposób autora, aby przypisał postaci czyny i przypadki, które nawiążą do wyżej wspomnianego radełka.

Nasza kuchnia w Kudgiwie była jakby stworzona do tego, aby o każdej porze zbierali się tu domownicy. Każdy coś dla siebie gotował, jeden łuskał groch, drugi przyrządzał lina w zalewie octowej, wszyscy coś przyprawiali, gotowali albo jedli, jedni wychodzili, drudzy napływali, od świtu do późnej nocy. Tego ranka zszedłem na dół wczesną porą, ale w kuchni pracowano już na pełnych obrotach, bo ten dzień różnił się od innych: poprzedniego wieczoru przybył do nas pan Kauderer w towarzystwie swego syna i miał odjechać dzisiaj rano, zabierając mnie zamiast niego. Po raz pierwszy opuszczałem dom. Cały sezon miałem spędzić w majątku pana Kauderera, w prowincji Petkwo, aż do zbiorów żyta, i nauczyć się obsługiwanie nowych suszarni sprowadzonych z Belgii, a w tym samym czasie Ponko, najmłodszy z Kaudererów, miał pozostać u nas, by poznać techniki przeszczepiania jarzębiny.

Tego ranka codzienne zapachy i odgłosy domu napierały na mnie jakby na pożegnanie: wszystko to, co dotychczas znałem, miałem utracić na czas tak długi, że — jak mi się zdawało — po moim powrocie nic nie wydałoby mi się takie jak przedtem ani ja nie pozostałbym tym samym „ja”. Dlatego żegnałem się tak, jakbym żegnał się na zawsze z kuchnią, z domem, z knedlami ciotki Ugurd, dlatego też owo zamięłowanie do konkretności, które wyłowileś już z pierwszych linijek tekstu, niesie z sobą także przecucie utraty, oszołomienie nadciągającym rozpadem, uświadamiasz sobie, że i to dostrzegłeś, jak na uważnego czytelnika przystało, już od pierwszej strony, kiedy pomimo satysfakcji czerpanej z precyzji opisu miałeś poczucie, że wszystko wymyka ci się z rąk, być może także z winy przekładu — powiedziałeś sobie — bo przekład, jakkolwiek wierny, na pewno nie oddaje rzeczywistej treści, jaką te nazwy posiadają w języku oryginału, niezależnie od tego, jaki to język. Każde zatem zdanie ma cię przekonać o moim przywiązaniu do domu w Kudgiwie i o żalu po jego utracie, a ponadto — chociaż może jeszcze tego nie dostrzegłeś, ale jak się zastanowisz, to przyznasz, że tak właśnie jest — ma ci uświadomić drzemającą we mnie pokusę, aby wszystko porzucić, wybiec naprzeciw temu, co nieznanne, odwrócić stronicę, rozpocząć nowy rozdział, nowe przygody, które zapowiadają długie zachody słońca, niedzielne popołudnia w Petkwo, zabawy w Dworku pod Jabłeczniakiem.

Z kuferka Ponka wypadł na chwilę portret dziewczyny o krótkich czarnych włosach i podłużnej twarzy, portret, który on natychmiast schował pod nieprzemakalną bluzę. W pokoju pod gołębnikiem, który był dotychczas moim pokojem, a odtąd miał należeć do niego, Ponko wyjmował swoje rzeczy i układał je w szufladach dopiero przeze mnie opróżnionych. Patrzyłem na niego w milczeniu, siedząc na moim zamkniętym już kuferku, odruchowo wbijając wystające nieco okucia. Nie odzywaliśmy się do siebie, jeśli nie liczyć wymruczanego przez zęby pozdrowienia, śledziłem każdy jego ruch, starałem się zrozumieć to, co się działo: oto jakiś nieznajomy zajmuje moje miejsce, staje się mną, moja klatka ze szpakami staje się jego klatką, a także stereoskop i prawdziwe łańskie czako zawieszony na gwoździu, wszystkie te rzeczy, których nie mogłem zabrać, zostawały dla niego, to znaczy więź istniejąca pomiędzy mną a rzeczami, miejscami i osobami miała stać się jego więzią, podobnie jak ja miałem stać się nim, zająć jego miejsce pośród rzeczy i osób z jego życia.

Ta dziewczyna... — Kim jest ta dziewczyna? — spytałem i nierozważnym gestem wyciągnąłem rękę, aby odsłonić i pochwycić fotografię w rzeźbionych, drewnianych ramkach. Ta dziewczyna nie była taka jak tutejsze dziewczyny, które mają okrągłe twarze i warkocze koloru pszenicy. Dopiero wtedy pomyślałem o Brigd, w jednej chwili ujrzałem Ponka i Brigd tańczących razem w dniu świętego Tadeusza, Brigd naprawi wełniane rękawiczki Ponka, Ponko podaruje Brigd kurę złapaną w moje sidła. — Zostaw ten portret! — wrzasnął Ponko i żelaznym uściskiem palców chwycił mnie za ramiona. — Zostaw to! No już!

„Abyś o mnie nie zapomniał. Zwida Ozkart”. zdążyłem przeczytać i już dostałem pięścią w twarz, i już rzuciłem się z zacisniętymi pięściami na Ponka, tarzaliśmy się po kamiennej posadzce, usiłując wykręcić sobie ręce, ugodzić się kolanami, zgnieść sobie żebra.

Ponko był grubokościsty, ręce i nogi siekły celnie. Włosy, za które starałem się go pochwycić, by potem powalić na ziemię, przypominały szczotkę równie twardą jak sierść psa. Kiedy trwaliliśmy spleceni w uścisku, doznawałem wrażenia, że podczas tej walki zachodzi przemiana, że kiedy się podniesiemy, on stanie się mną, a ja nim, ale może myślę tak dopiero teraz, a może to ty. Czytelniku, tak myślisz, nie ja, bo we mnie, w tamtej chwili, walka z nim budziła poczucie nierozzerwalnej więzi z samym sobą, więzi z własną przeszłością, budziła lęk, by ta przeszłość nie wpadła w jego ręce, choćby za cenę jej zniszczenia, chciałem zniszczyć Brigd, aby nie wpadła w ręce Ponka, choć nigdy nie sądziłem, że jestem w niej zakochany, a nawet teraz tak nie myślę, lecz raz, jeden jedyny raz potoczyliśmy się z Brigd, jedno na drugim, tak jak teraz z Ponkiem, kłusując się, na kopę torfu za piecem, i teraz wiem, że już wtedy broniłem jej przed Ponkiem, który miał się wkrótce pojawić, broniłem przed nim Brigd i Zwidę zarazem, już wtedy starałem się wydrzeć z przeszłości tego nieznanego mi „ja” jakiś sekret, który mógłbym przeszczepić w

moją przeszłość lub w moją przyszłość.

Stronica, którą czytasz, powinna przekazać gwałtowność tego starcia, owych głuchych i bolesnych ciosów, bezlitosnych i straszliwych razów, namacalność oddziaływania jednego ciała na drugie, rozkładania ciężaru własnych sił, nieomylną czujność, wszystko jak w lustrzanym obrazie, który przeciwnik odbija niczym zwierciadło. Jeśli doznania wywołane lekturą pozostają ubogie w zestawieniu z jakimkolwiek przeżytym doznaniem, to dzieje się tak dlatego, że to, czego doświadczam w chwili, gdy własną pierś miażdżę pierś Ponka lub gdy próbuję oswobodzić wykręconą rękę, nie jest doznaniem, którego bym potrzebował, aby wyrazić to, co chcę wyrazić, a chcę wyrazić miłosne posiadanie Brigd, posiadanie jędrnej pulchności jej dziewczęcego ciała, tak odmiennego od kościstej spoistości Ponka, a także wyrazić miłosne posiadanie Zwidy, jej uległej miękkości, którą u niej przeczuwam, chcę zatem wyrazić posiadanie Brigd, a ją uważam już za straconą, i zarazem posiadanie Zwidy, a ona posiada tylko bezcielesne kształty fotografii za szkłem. Daremnie staram się ujarzmić w splocie męskich członków, zwartych ze sobą i jakże podobnych, owe kobiece zjawy, które znikają w swojej nieosiągalnej odmienności: staram się zarazem ugodzić samego siebie, a może ugodzić to moje drugie „ja”, które ma zająć mojej miejsce w domu, czy też ugodzić tę prawdziwą część mnie samego, którą chciałbym wykraść temu drugiemu, lecz czuję, że tym, co stawia mi opór, jest tylko odrębność tego drugiego, tak jakby on zajął już moje miejsce, jakbyś zajął każde inne miejsce, a ja zostałbym wymazany z powierzchni świata.

Świat wydał mi się obcy, kiedy wreszcie gwałtownym pchnięciem oderwałem się od przeciwnika i wstałem podpierając się na kamiennej posadzce. Obcy był mój pokój, obcy kuferek z moimi rzeczami, obcy widok z niewielkiego okna. Obawiałem się, że nie potrafię już stworzyć więzi z nikim ani z niczym. Chciałem odszukać Brigd, lecz nie wiedziałem, co mógłbym jej powiedzieć ani jak z nią postąpić, nie wiedziałem, co ona mogłaby dla mnie zrobić ani co mi powiedzieć. Szedłem do Brigd myśląc o Zwidzie, szukałem postaci o dwóch twarzach, jakiejś jednej Brigd-Zwidy. sam też miałem dwie twarze, kiedy tak oddalałem się od Ponka, usiłując bezskutecznie zetrzeć śliną plamę krwi ze sztruksowego ubrania — krwi mojej lub jego, z moich zębów albo z nosa Ponka.

Nie tracąc żadnej z moich obu twarzy nadstawiłem uszu i przez drzwi prowadzące do dużej komnaty ujrzałem pana Kauderera, który stojąc zakreślał ręką szeroki gest i mówił: — I wtedy zobaczyłem, że Kauni i Pittó, dwadzieścia dwa i dwadzieścia cztery lata, leżą przede mną, każdy z pierśią rozoraną śrutem na wilki.

— Ale kiedy to się stało? — spytał mój dziadek. — Nic nie wiedzieliśmy.

— Przed odjazdem uczestniczyliśmy w obrzędzie ósmego dnia.

— Sądziliśmy, że wy i Ozkartowie już dawno załagodziliście wasze spory. Że po tylu latach położyliście krzyż na tych waszych przeklętych starych porachunkach.

Oczy pana Kauderera, pozbawione rzęs wpatrywały się nieruchomo w pustkę, nic nie drgnęło w jego twarzy ulepionej jakby z żółtej gutaperki. — Pomiędzy Ozkartami i Kaudererami pokój trwa od jednego pogrzebu do drugiego. A krzyż stawiamy tylko na grobie, z napisem: „To uczynili nam Ozkartowie.”

— I co wy na to? — spytał Bronko, który miał zwyczaj mówienia bez ogródek.

— Także Ozkartowie piszą na swoich grobach: „To uczynili nam Kaudererowie.” — Potem, gładząc palcem wąsy, dodał: — Tutaj Ponko będzie wreszcie bezpieczny.

Wówczas moja matka złożyła dłonie i spytała:

— Matko Przenajświętsza, czy naszemu Gritzvi nic nie grozi? Czy nie wezmą się za niego?

Pan Kauderer potrząsnął głową, lecz nie spojrział jej w twarz: — On nie jest z Kaudererów. Jedynie nam coś grozi, po wszystkie czasy!

Otworzyły się drzwi. Na podwórzu, znad ciepłej końskiej uryny, w lodowatym powietrzu, unosił się obłok pary. Chłopak stajenny wsunął do środka zsiniałą twarz i oznajmił: — Powóz gotowy!

— Gritzvi! Gdzie jesteś? Pośpiesz się! — krzyknął dziadek.

Zrobiłem krok do przodu, w stronę pana Kauderera, który zapinał guziki barchanowej opończy.

III

Przyjemności, jakich dostarcza nóż do rozcinania papieru, są przyjemnościami dotyku, słuchu, wzroku, a przede wszystkim umysłu. Lekturę poprzedza gest, który podkreśla materialną trwałość książki i otwiera ci dostęp do jej bezcielesnej substancji. Ostrze przenika od dołu pomiędzy obie kartki i jednym szybkim pociągnięciem otwiera pionowe przejście, płynne cięcia dosięgają i rozpruwają kolejne włókna, uległy papier z radosnym i przyjaznym szelestem przyjmuje pierwszego gościa, który zapowiada przyszły nie kończący się szelest kartek muśniętych wiatrem lub spojrzeniem. Większy opór stawia poziome zgięcie, zwłaszcza to podwójne, tu potrzebne jest niezręczne, poprzeczne cięcie — teraz dźwięk rozdieranego papieru wydaje się stłumiony, o niższych tonach. Rozplatane krawędzie kartek ujawniają włóknistą tkanę, odpadają od nich wąziutkie strużynki, zwane wiórkami, miłe dla oka niczym piana fali wyrzucanej na brzeg. Ostrzem szpady otwierasz sobie przejście w murze kartek, myślisz przy tym, co zawierają i co kryją w sobie słowa; torujesz sobie drogę lektury, jak torowałbyś drogę w gęstym lesie.

Powieść, którą czytasz, chciałaby wprowadzić cię w świat cielesny, gęsty, szczegółowy. Pograżony w lekturze, odruchowo przesuwasz nożykiem pomiędzy warstwami tomu: w lekturze nie doszedłeś jeszcze do końca pierwszego rozdziału, ale w rozcinaniu posunąłeś się znacznie dalej. I oto w chwili najbardziej napiętej uwagi odwracasz kartkę w połowie decydującego zdania i znajdujesz przed sobą dwie białe strony.

Siedzisz osłupiały, wpatrując się w tę okrutną bieli niczym w otwartą ranę, masz niemal nadzieję, że to może złudzenie optyczne wywołało tę plamę światła i już za chwilę pomału wyłoni się z niej żebrowaty prostokąt drukowanych liter. Ale nie, na dwóch przeciwległych stronicach naprawdę króluje śnieżna biel. Przewracasz jeszcze jedną kartkę i widzisz dwie prawidłowo zadrukowane strony. Kartkujesz dalej książkę: po dwóch białych stronach następują dwie zadrukowane. Białe, zadrukowane, białe, zadrukowane, i tak jest aż do końca. Arkusze drukarskie odbito tylko z jednej strony, a potem złożono je i zszyto, jakby były kompletne.

Tę powieść, tak gęsto utkaną z emocji, niespodziewanie rozdierają bezdenne otchłanie, jakby sama próba oddania pełni życia ujawniała drzemiacą pod spodem pustkę. Próbujesz przeskoczyć tę lukę, podjąć przerwana opowieść, ucześcić się następnego skrawka prozy, postrzępionej jak krawędzie kartek rozciętych nożem. Nie potrafisz już się odnaleźć, zmienia się otoczenie, pojawiają się nowe postacie, nie rozumiesz, o czym rozmawiają, znajdujesz imiona osób, o których nic nie wiesz: Hela, Kazimierz, zaczynasz podejrzewać, że chodzi o inną książkę, może o tę prawdziwą polską powieść *Poza osadą*

Malbork, natomiast początek, który przeczytałeś, mógłby pochodzić z jeszcze innej książki, kto wie jakiej.

Od razu odniosłeś wrażenie, że imiona nie mają wyraźnie polskiego brzmienia: Brigd, Gritzvi. Masz dobry atlas, bardzo szczegółowy, sięgasz do indeksu, Petkwo to pewnie jakiś ważny ośrodek miejski, Aagd zaś to rzeka lub jezioro. Odnajdujesz je na starej Północnej Nizinie, którą poszczególne wojny i traktaty przyznawały kolejno różnym państwom. Może także i Polsce? Sprawdzasz w encyklopedii, w atlasie historycznym, nie, Polska nie ma z tym nic wspólnego, w okresie międzywojennym obszar ten należał do niezależnego państwa, była to Kimeria: stolica Órkko, język narodowy kimeryjski z grupy języków botnicko-ugryjskich. W encyklopedii hasło „Kimeria” kończą zdania niezbyt pocieszające: „Podczas kolejnych podziałów terytorialnych pomiędzy potężnych sąsiadów mały naród został niebawem wymazany z mapy świata, autochtonską ludność rozproszono; język i kultura Kimerów nie podlegały dalszemu rozwojowi.”

Chcesz jak najszybciej odnaleźć Ludmiłę, zapytać, czy jej egzemplarz jest taki sam jak twój, podzielić się z nią przypuszczeniami, informacjami, które zgromadziłeś... Szukasz w notesie numeru, zapisałeś go obok jej nazwiska po tym, kiedy się sobie przedstawiliście.

— Halo, czy to Ludmiła? Czy spostrzegła pani? To zupełnie inna powieść, ale ona także... a przynajmniej mój egzemplarz...

Głos z drugiej strony drutu ma twarde brzmienie, nieco ironiczne. — Nie, proszę pana, nie jestem Ludmiłą. Jestem jej siostrą Lotarią. — (To prawda, Ludmiła powiedziała ci: „Jeśli nie ja podniosę słuchawkę, będzie to moja siostra.”) — Ludmiły nie ma. A dlaczego pan pyta? O co chodzi?

— Chciałem jej tylko coś powiedzieć o pewnej książce... To nic takiego, zadzwonię później.

— Chodzi pewnie o powieść? Ludmiła zawsze ma przed nosem jakąś powieść. Co to za autor?

— No, to miała być polska powieść, Ludmiła także ją czyta, mieliśmy wymienić wrażenia, to książka Bazakbala.

— I jaki jest ten polski autor?

— No cóż, wydaje mi się niezły...

Nie, nie zrozumiałeś. Lotaria chce wiedzieć, jakie jest stanowisko autora wobec Kierunków Współczesnej Myśli i wobec Problemów Które Wymagają Rozwiązania. Dla ułatwienia zadania podpowiada ci listę nazwisk Wielkich Mistrzów, wśród których miałbyś go umieścić.

Doznajesz jeszcze raz tego samego uczucia co wtedy, gdy przed oczami ukazały ci się rozcięte nożem białe stronice. — Nie potrafiłbym pani dokładnie odpowiedzieć. Bo widzi pani, nie jestem nawet pewien tytułu ani autora. Ludmiła pani opowie, to trochę skomplikowana historia.

— Ludmiła czyta jedną powieść za drugą, ale nigdy nie czyta w sposób sproblematyzowany.

Mnie wydaje się to ogromną stratą czasu. Czy nie ma pan takiego wrażenia?

Jeżeli wdasz się w dyskusję, ona cię już nie wypuści. Zaprasza cię właśnie na uniwersyteckie seminarium. Analizuje się tam książki z punktu widzenia zawartych w nich kodów Świadomości i Podświadomości, odrzuca się wszelkie tabu wymuszone przez Seks, przez dominującą Klasę i Kulturę.

— Czy Ludmiła też się tam wybiera?

Nie, jak się wydaje, Ludmiła nie podziela zainteresowań siostry. Lotaria liczy natomiast na twoją obecność. Wolisz nie narażać się na kompromitację: — Zobaczę, postaram się wyrwać, nie mogę tego pani obiecać. Tymczasem, jeśli zechciałaby pani powtórzyć siostrze, że dzwoniłem... Jeśli nie, to nie szkodzi, zadzwonię później. Bardzo dziękuję. — Wystarczy, teraz odłóż słuchawkę.

Ale Lotaria jeszcze nie skończyła: — Niech pan posłucha, proszę tutaj nie dzwonić, to nie jest mieszkanie Ludmiły, tylko moje. Ludmiła osobom, których dobrze nie zna, podaje mój numer telefonu, mówi, że ja potrafię utrzymać właściwy dystans...

Robi ci się przykro. To kolejny zimny prysznic: książka, która zapowiadała się tak dobrze, niespodziewanie się urywa, numer telefonu, po którym coś sobie obiecywałeś, okazuje się ślepą uliczką, i na dodatek jeszcze ta Lotaria, której się wydaje, że może cię przeegzaminować.

— No tak, rozumiem... to przepraszam.

— Halo? A, to pan, to pana spotkałam w księgarni? Teraz inny głos, jej głos zawładnął telefonem. — Tak, mówi Ludmiła. U pana też są białe strony? Można się było tego spodziewać. Znowu wpadliśmy w pułapkę. Właśnie w chwili kiedy zaczęło mnie to pasjonować, kiedy chciałam poznać dalsze losy Ponka, Gritzviego...

Jesteś tak uszczęśliwiony, że nie potrafisz wykrztusić ani słowa. Mówisz: — i Zwidy...

— Słucham?

— Tak, losy Zwidy Ozkart! Chciałbym wiedzieć, co zajdzie pomiędzy Gritzvim a Zwidą Ozkart... Czy to właśnie jest jedna z tych powieści, które się pani podobają?

Chwila ciszy. Potem ponownie słyszysz jej głos, Ludmiła mówi z namysłem, jakby starała się wyrazić coś, co nie daje się ująć w słowa. — Tak, to prawda, bardzo mi się podoba... Chociaż wolałabym, aby rzeczy, o których czytam, nie były tak wyraźnie określone, tak rzeczywiste, namacalne, wolałabym wyczuwać w nich obecność czegoś innego, co jeszcze nie zostało nazwane, co jest zapowiedzią, sama dobrze nie wiem czego... Właśnie, jeśli o to chodzi, ja także...

— Chociaż nie przeczę, także w tej książce nie brakuje elementu tajemniczości...

Na co ty: — Dobrze, proszę posłuchać, według mnie cała tajemnica sprowadza się do tego: to jest powieść kimeryjska, tak, ki-me-ryj-ska, a nie polska, autor i tytuł muszą brzmieć inaczej. Nic pani nie

rozumie? Zaraz to wyjaśnię. Kimeria, 340 000 mieszkańców, stolica Órkko, główne zasoby: torf wraz z produktami ubocznymi, substancje bitumiczne. Nie, tego nie ma w powieści.

Następuje chwila milczenia. Może Ludmiła zasłoniła ręką słuchawkę i radzi się siostry. A ta gotowa już mieć własne poglądy nawet na temat Kimerii. Kto wie, co ona teraz wymyśli? Miej się na baczności.

— Halo, Ludmiła...

— Słucham.

Twój głos staje się ciepły, przekonujący, zachęcający. — Niech pani posłucha, Ludmiło, muszę się z panią zobaczyć, musimy o tym porozmawiać, omówić tę sytuację, te zbiegi okoliczności, te niezgodności. Chciałbym zobaczyć się z panią natychmiast, tam gdzie pani teraz jest, gdzie byłoby się pani wygodnie spotkać, zaraz tam będę.

A ona, nadal ze spokojem: — Znam pewnego profesora, który wyklada na uniwersytecie literaturę kimeryjską. Moglibyśmy poprosić go o pomoc. Proszę poczekać, zadzwonię, żeby zapytać, kiedy może nas przyjąć.

Jesteś teraz na uniwersytecie. Ludmiła uprzedziła profesora Uzzi-Tuzzi, że przyjdziecie do instytutu. Profesor wydawał się bardzo zadowolony, że może służyć pomocą komuś, kogo interesują pisarze kimeryjscy.

Wolałbyś przedtem zobaczyć się z Ludmiłą poszedłbyś po nią do domu i towarzyszył jej w drodze na uniwersytet. Zaproponowałeś jej to przez telefon, ale odmówiła, niepotrzebnie byś się trudził, ona o tej porze będzie gdzieś niedaleko, musi coś załatwić. Nalegałeś, że czujesz się bezradny, że boisz się zagubić w labiryncie uniwersytetu. Czy nie mogłaby się z tobą spotkać w kawiarni, kwadrans wcześniej? To także jej nie odpowiadało, zobaczycie się raz na miejscu, „na językach botnicko-ugryjskich”, wszyscy wiedzą, gdzie to jest, wystarczy spytać. Zrozumiałeś już, że Ludmiła pomimo całej swej łagodności lubi panować nad sytuacją, lubi samodzielnie o wszystkim decydować. Nie pozostaje ci nic innego, jak ustąpić.

Zjawiasz się na uniwersytecie punktualnie, torujesz sobie drogę wśród chłopców i dziewczyn siedzących na schodach, krążysz zagubiony wśród tych surowych murów, na których ręce studentów wymalowały ogromne napisy, wryły dokładne rysunki, podobnie jak robili to jaskiniowcy na zimnych ścianach grot, bo chcieli zapanować nad przygnębiającą obcością kamienia, chcieli go oswoić, przemienić w przytulną przestrzeń, włączyć we własne fizyczne istnienie. Czytelniku, znam cię zbyt mało aby wiedzieć, czy poruszasz się po uniwersytecie z niedbałą śmiałością, czy też może dawne urazy lub prześlana decyzja sprawiają, że twojej wrażliwej i rozsądnej naturze świat studentów i wykładowców

wyda się koszmarem. Jakkolwiek jest, instytutu, którego szukasz nikt tutaj nie zna, odsyłają cię z sutereny na czwarte piętro, każde otwierane drzwi okazują się niewłaściwej wycofujesz się zmieszany, wydaje ci się, że zagubiłeś się w książce o białych stronach i nie potrafisz się z niej wydostać.

Pojawia się jakiś młodzieniec w długim swetrze, swobodny sposób bycia. Zaledwie cię dostrzeża, wyciąga w twoim kierunku palec i mówi:

– Ty czekasz na Ludmiłę?

– Skąd pan wie?

– Sam odgadłem. Mnie wystarczy jeden rzut oka.

– Czy to Ludmiła pana przysłała?

– Nie, ale ja wszędzie krążę, spotykam tego i owego, słyszę to i owo i w sposób niejako naturalny udaje mi się wszystko powiązać.

– A czy pan wie, czego szukam?

– Jeśli chcesz, zaprowadzę cię do Uzzi-Tuzziego, Ludmiła może już tam jest albo trochę się spóźni.

Ten młodzieniec, tak przedsiębiorczy, tak dobrze poinformowany, nazywa się Irnerio. Możesz mu mówić „ty”, zważywszy, że on już tak mówi.

– Czy ty jesteś studentem profesora?

– Nie jestem niczym studentem. Wiem, gdzie to jest, bo przychodziłem tam po Ludmiłę.

– A zatem Ludmiła uczęszczała do instytutu?

– Nie, Ludmiła zawsze szuka takiego miejsca, gdzie mogłaby się ukryć.

– Przed kim?

– No, przed wszystkimi. — Odpowiedzi Irneria są nieco wymijające, ale można odnieść wrażenie, że to swojej siostry Ludmiła stara się unikać. Nie przysłała punktualnie na spotkanie pewnie dlatego, żeby nie natknąć się w korytarzu na Lotarię, która ma o tej porze seminarium.

Tobie natomiast wydaje się, że w tym braku porozumienia pomiędzy obiema siostrami istnieją pewne wyjątki, przynajmniej jeśli chodzi o telefon. Powinieneś jeszcze pociągnąć za język tego Irneria, przekonać się, czy on naprawdę tak dużo wie.

– A ty przyjaźnisz się z Ludmiłą czy z Lotarią?

– Z Ludmiłą, oczywiście. Ale potrafię rozmawiać także z Lotarią.

– Czy ona nie krytykuje książek, które czytasz?

– Ja? Ja nie czytam książek — mówi Irnerio.

– To co w takim razie czytasz?

— Nic. Tak dobrze wyćwiczyłem się w nieczytaniu, że nie czytam nawet tego, co nasunie mi się przed oczy przypadkiem. Nie jest to łatwe: uczą nas czytać, kiedy jesteśmy dziećmi, i potem do końca życia pozostajemy niewolnikami całej tej pisaniny, którą nas zarzucają. Może na początku kosztowało mnie to trochę wysiłku, zanim nauczyłem się nie czytać, ale teraz przychodzi mi to w sposób zupełnie naturalny. Sekret polega na tym, aby nie odwracać wzroku od napisanych słów, przeciwnie, należy patrzeć na nie tak długo, aż znikną. Jasne oczy Irneria mają rozlatane źrenice, sprawiają wrażenie oczu, którym nic nie umknie, podobne oczom mieszkańca puszczy, nawykłego do łowów i zbierania.

— To czy możesz mi powiedzieć, dlaczego przychodzisz na uniwersytet?

— A dlaczego miałbym tu nie przychodzić? Różni ludzie tu przychodzą i wychodzą, spotykamy się, rozmawiamy. Ja przychodzę tu właśnie po to, a po co przychodzą inni, tego nie wiem.

Usiłujesz sobie wyobrazić, jak ten gęsto pokryty napisami, otaczający nas świat może postrzeżać ktoś, kto nauczył się nie czytać. A zarazem zastanawiasz się, jaka więź może istnieć pomiędzy Czytelniczką a Nie-Czytenikiem, i nagle wydaje ci się, że właśnie ta rozbieżność upodobań trzyma ich razem, i nie potrafisz pohamować ukłucia zazdrości.

Chciałbyś wypytać jeszcze Irneria, ale dotarliście właśnie bocznymi schodami do niskich drzwi opatrzonej tabliczką „Instytut Języków i Literatur Botnicko-Ugryjskich”. Irnerio puka energicznie, mówi ci „cześć” i odchodzi.

Drzwi uchylają się z trudem. Plamy wapna, które spostrzegasz na futrynie i na czapce górującej nad roboczą kurtką podbitą owczą skórą, sprawiają na tobie wrażenie, że lokal jest zamknięty z powodu remontu, a w środku znajduje się tylko malarz pokojowy czy też ktoś do zrobienia porządków.

— Czy jest tutaj profesor Uzzi-Tuzzi? Potwierdzające spojrzenie spod czapki różni się od spojrzenia, którego mógłbyś się spodziewać po malarzu pokojowym; są to oczy człowieka, który gotując się do skoku nad przepaścią, w myślach widzi się już po drugiej stronie i ze wzrokiem utkwionym przed siebie unika spoglądania w dół i na boki.

— Czy to właśnie pan? — pytasz, chociaż już pojąłeś, że to nie może być nikt inny.

Człowieczek nie uchyla szerzej drzwi. — Czego pan chce?

— Przepraszam, to w sprawie pewnej informacji. Dzwoniliśmy do pana... Pani Ludmiła... Czy pani Ludmiła jest tutaj?

— Tutaj nie ma żadnej pani Ludmiły... — mówi profesor cofając się, wskazuje przy tym na stłoczone przy drzwiach półki na nieczytane tytuły i nazwiska autorów wyzierające z grzbietów i okładek. Wygląda to jak zwarty płot bez jednej szpary. — Dlaczego szuka jej pan u mnie? — A podczas gdy ty przypominasz sobie, co powiedział Irnerio o kryjówce Ludmiły, Uzzi-Tuzzi zdaje się podkreślać

gestem niepozorność swego gabinetu, jakby chciał powiedzieć: „Szukaj sobie, skoro sądzisz, że jest tutaj”, jakby odczuwał potrzebę odparcia podejrzenia, iż trzyma tu Ludmiłę w ukryciu.

– Mieliśmy przyjść razem – mówisz, żeby wszystko było jasne.

– To dlaczego nie ma jej z panem? – pyta Uzzi-Tuzzi, i nawet tę logiczną zresztą uwagę wypowiada podejrzliwym tonem.

– Chyba zaraz przyjdzie... – zapewniasz, ale mówisz to tonem niemal pytającym, jakbyś szukał u Uzzi-Tuzziego potwierdzenia w sprawie zwyczajów Ludmiły, o których tobie nic nie wiadomo, podczas gdy on mógłby o tym wiedzieć znacznie więcej. – Pan, profesorze, zna Ludmiłę, prawda?

– Znam... A dlaczego pan pyta?... Co pan chce wiedzieć?... – denerwuje się Uzzi-Tuzzi. – Czy pan interesuje się literaturą kimeryjską, czy... – zupełnie jakby zamierzał powiedzieć: „... czy Ludmiłą?”, ale nie kończy zdania, a ty, jeśli masz być szczery, powinieś odrzec, że nie potrafisz już odróżnić swego zainteresowania powieścią kimeryjską od zainteresowania Czytelniczką tej powieści. Ponadto reakcja profesora na dźwięk imienia Ludmiły w połączeniu ze zwierzeniami Ineria rzuca tajemnicze światło na Ludmiłę, budzi w tobie lękliwą ciekawość, podobną do ciekawości, jaką wzbudza w tobie Zwida Ozkart z powieści, której dalszego ciągu poszukujesz, a także jaką wzbudza pani Marne z powieści, którą zacząłeś czytać dzień wcześniej i tymczasem odłożyłeś na bok, i oto masz wrażenie, że ścigasz wszystkie zjawy naraz, zarówno te wymyślone, jak i te rzeczywiste.

– Chciałem... chcieliśmy pana zapytać, czy istnieje kimeryjski pisarz, który...

– Proszę usiąść – mówi profesor nieoczekiwanie uspokojony, czy raczej ponownie ogarnięty niepokojem niepokojem stałym i uporczywym, który powraca rozpraszając lęki przypadkowe i przelotne.

Pomieszczenie jest ciasne, ściany pokryte półkami, dodatkowa półka stoi pośrodku pokoju, rozbijając wąską przestrzeń, tak że biurko profesora i krzesło, na którym masz usiąść, przedziela coś w rodzaju kurtyny, i jeśli chcecie się widzieć, musicie obaj przechylać głowy.

– Zesłano nas do tej komórki pod schodami... Uniwersytet rozszerza się, a my się ścieśniamy. Jesteśmy kopciuszkami żywych języków... Jeśli w ogóle jeszcze można uznać kimeryjski za język żywy... Ale właśnie na tym polega jego znaczenie – profesor wykrzykują z nagłym entuzjazmem, który natychmiast gaśnie – polega ono na fakcie, że kimeryjski jest zarazem językiem współczesnym i językiem martwym... To sytuacja uprzywilejowana, nawet jeśli nikt nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Ma pan mało studentów? – pytasz.

– A kto według pana ma tu przychodzić? Kto jeszcze pamięta o Kimerach? W dziedzinie języków zniewolonych znacznie bardziej frapują dzisiaj inne języki.. Baskijski... Bretoński... Cygański... Wszyscy się na nie zapisują. Co nie znaczy, że uczą się języka, tego nikt już nie chce robić... Oni szukają

problemów, o których mogliby rozprawiać, ogólnych idei, które mogliby powiązać z innymi ogólnymi ideami. Moi koledzy dostosowują się, idą z prądem, tytułują cykle swoich wykładów: „Socjologia języka walijskiego”, „Psycholingwistyka języka okcytańskiego”... W przypadku kimeryjskiego to jest niemożliwe.

– Dlaczego?

– Kimerowie zniknęli, jakby ich pochłonęła ziemia. – Potrząsa głową, jakby uzbierał się w cierpliwość, by raz jeszcze powtórzyć kwestię wypowiedaną setki razy. – To jest martwy instytut martwej literatury napisanej w martwym języku. Dlaczego mieliby uczyć się dzisiaj kimeryjskiego? Ja pierwszy to rozumiem, ja pierwszy mówię im: nie chcecie tu przychodzić, to nie przychodźcie, jeśli o mnie chodzi, instytut można nawet zamknąć... Ale przychodzić tu po to, żeby robić... Nie, tego już za wiele.

– Żeby co robić?

– Wszystko. Zdarzało mi się tu widzieć wszystko. Całymi tygodniami nikt się tu nie pojawia, a jeśli już się pojawi to robi rzeczy, które... Moglibyście trzymać się z daleka od tego miejsca, mówię im, co was obchodzi te książki napisane w języku zmarłych? Tymczasem oni robią to umyślnie, chodźmy na języki botnicko-ugryjskie, mówią, chodźmy do Uzzi-Tuzziego, narzucają mi swoją obecność, a ja muszę na to patrzeć, muszę uczestniczyć... W czym? – dociekasz, mając na myśli Ludmiłę, która tu przychodziła, chowała się tutaj, może z Irneriem, a może jeszcze z innymi...

– Wszystko... być może coś ich tu przyciąga, może niepewność granicy pomiędzy życiem i śmiercią, może to właśnie bezwiednie wyczuwają. Przychodzą tu i robią to, co chcą, ale nie zapisują się na kurs, nie uczęszczają na wykłady, nikt z nich nie interesuje się literaturą Kimerów, pogrzebaną w książkach na tych półkach niczym w grobach na cmentarzu.

– A ja chciałbym się dowiedzieć... Przyszedłem tu po to, aby pana zapytać, czy istnieje kimeryjska powieść, która rozpoczyna się od... Nie, lepiej wymienię imiona postaci: Gritzvi i Zwida, Ponko i Brigd, akcja zaczyna się w Kudgiwie, chociaż to może tylko nazwa folwarku, potem, jak sądzę, przenosi się do Petkowo, nad Aagdem...

– Tak, zaraz ją znajdziemy! – wykrzykuje profesor i w jednej chwili uwalnia się od oparów melancholii, rozjaśnia się niczym światło lampy. – Chodzi bez wątpienia o *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, jedyną powieść pozostawioną przez jednego z najbardziej obiecujących poetów kimeryjskich z początku wieku, Ukko Ahtiego... Oto i ona! – i rzuca się niczym ryba, co płynie w górę rzeki, jednym skokiem dopada do upatrzonego miejsca na półce, chwytą szczupły tom w zielonej oprawie, otrzepuje go z kurzu. – Tej książki nigdy nie przełożono na żaden inny język. Trudności są tak duże, że każdego to

zniechęca. Niech pan posłucha: „Dochodzę do przekonania...” A raczej „Umacniam w sobie przekonanie, że warto przekazać...” „ Proszę zauważyć, że oba czasowniki użyte są w formie niedokonanej...

Jedno pojmujesz od razu, ta książka nie ma nic wspólnego z tą, którą zacząłeś czytać. Tylko niektóre imiona brzmią tak samo, szczególnie zapewne bardzo dziwny, lecz nie zastanawiasz się nad tym, bo żmudnej improwizowane tłumaczenie Uzzi-Tuzziego nabiera pomału kształtu fabuły, mozolnie odcyfrowane słowne szarady układają się w płynną narrację.

Wychylając się nad brzegiem urwiska

Nabieram przekonania, że świat chce mi coś powiedzieć, przekazać mi jakieś informacje, upomnienia, sygnały. Spostrzegłem to dopiero wówczas, kiedy znalazłem się w Petkwo. Każdego ranka wychodzę z pensjonatu „Kudgiwa” na mój codzienny spacer do portu. Przechodzę przed obserwatorium meteorologicznym i rozmyślam o końcu świata, który nadchodzi, czy raczej uobecnia się już od dłuższego czasu. Gdybym mógł wyznaczyć dokładne miejsce końca świata, byłoby nim obserwatorium meteorologiczne w Petkwo: blaszany dach, oparty na czterech nieco chwiejnych słupach, osłania ustawione rzędem na półce samopiszące barometry, hygrometry, termografy wraz z rolkami papieru milimetrowego, które obracają się z powolnym tykaniem mechanizmu pod drgającą stalówką. Metalowa chorągiewka wiatromierza na szczycie wysokiej anteny oraz pękaty lejek pluwiografu dopełniają kruche wyposażenia obserwatorium, które, odosobnione na krawędzi skarpy miejskiego ogrodu, pod szaroperłowym niebem, monotonnym i nieruchomym, wygląda jak pułapka zastawiona na cyklony, jak żer rzucony na przynętę powietrznym trąbom znad dalekich tropikalnych oceanów, jak wrak wystawiony na wściekłe porywy huraganu.

Są dni, kiedy każda widziana rzecz wydaje mi się brzemienne w znaczenia, w przesłania, które trudno przekazać mi innym, określić, przełożyć na słowa, chociaż właśnie dlatego sprawiają one wrażenie ostatecznych. Te informacje lub przestrogi dotyczą mnie, a zarazem świata; mnie dotyczą nie w sferze zewnętrznych wydarzeń, lecz tego, co dzieje się wewnątrz, w głębi mojego istnienia, i nie dotyczą one poszczególnych przypadków świata, lecz ogólności w sposobie jego istnienia. Pojmujecie zatem, że trudno mi o tym mówić inaczej niż za pośrednictwem pewnych sygnałów.

Poniedziałek. Dzisiaj ujrzałem rękę wysuwającą się z więziennego okna od strony morza. Szedłem portowym nabrzeżem, jak to mam w zwyczaju, docierając aż na tyły starej fortecy. Forteca trwa w zamknięciu swych ukośnych murów, okna, chronione przez podwójne czy nawet potrójne kraty, sprawiają wrażenie ślepych. Choć wiedziałem, że w środku siedzą zamknięci więźniowie, spoglądałem zawsze na twierdzę jak na element natury nieożywionej, należący do królestwa minerałów. Pojawienie się zatem ręki zdumiało mnie tak, jakby wyłoniła się ona ze skały. Ręka trwała w nienaturalnej pozycji; przypuszczam, że okna wmurowano wysoko w celi, więzień musiał więc dokonać wyczynu akrobaty, a raczej wyczynu człowieka-węża, wsuwając ramię pomiędzy kraty tak, by jego ręka mogła wystrzelić w górę w wolnym powietrzu. Znak nie był skierowany do mnie ani do kogokolwiek innego, a przynajmniej

tak mi się wydawało, w pierwszej chwili wcale nie pomyślałem o więźniach, bo ręka wydała mi się biała i delikatna niczym nie różniła się od moich rąk, nie było w niej śladu szorstkości, jakiej spodziewać się można po rękach człowieka uwięzionego. Odebrałem to jako znak pochodzący od kamienia: kamień chciał mi przekazać, że oboje jesteśmy ukształtowani z tej samej materii, a zatem co z tego, co tworzy moją osobę, pozostanie, nie zaginie wraz z nastaniem końca świata, umożliwi wytworzenie się pewnej więzi na pustyni pozbawionej istnienia, pozbawionej mojego istnienia i moich wspomnień. Mówię tu o moich pierwszych wrażeniach, bo tylko one się liczą.

Dzisiaj doszedłem do tarasu widokowego, skąd można dojrzeć skrawek plaży tam w dole, pustej plaży na tle szarego morza. Wiklinowe fotele w kształcie kosza, o wysokich wygiętych oparciach dla osłony przed wiatrem, ustawione półkolem, zdawały się obnażać świat, w którym rodzaj ludzki uległ rozproszeniu, a rzeczy, które przetrwały, potwierdzają tylko jego nieobecność, poznałem zawrotu głowy, tak jakbym niespodziewanie przeniknął z jednego świata do drugiego, jakbym w każdym z nich pojawił się tuż po nastaniu końca świata.

Pół godziny później wracałem przez taras widokowy. Z jednego z wiklinowych foteli, odwróconych tyłem, powiewała liliowa wstążka. Stromą ścieżką zszedłem ze skalnego cypla na taras, skąd rzeczy obserwować można pod innym kątem widzenia. Zgodnie z moim oczekiwaniem, w koszu, całkowicie pod osłoną wikliny, siedziała panna Zwida, w białym słomkowym kapeluszu, z otwartym szkicownikiem na kolanach: rysowała z natury muszlę. Jej widok mnie nie ucieszył, nieprzychylnie znaki dzisiejszego ranka odradzały mi nawiązanie rozmowy. Już od dwudziestu dni spotykam ją samą podczas moich spacerów po skałach i po wydmach i niczego tak nie pragnę, jak do niej przemówić, z takim właśnie zamiarem wychodzę każdego ranka z pensjonatu, lecz każdego ranka coś mnie od tego odwodzi.

Panna Zwida zatrzymała się w hotelu „Pod Ukwiąłem”. Poszedłem zapytać portiera o jej nazwisko, może się o tym dowiedziała, w tym sezonie w Petkwo letników jest niewielu, ponadto młode osoby policzyć można na palcach jednej ręki. Spotykając mnie tak często, ona być może spodziewa się, że któregoś dnia ją pozdrowię. Powodów, które stoją na przeszkodzie naszemu spotkaniu, jest kilka. Po pierwsze panna Zwida zbiera i rysuje muszle. Miałem kiedyś piękną kolekcję muszli, wiele lat temu, w okresie dorastania, lecz potem zaniedbałem ją i zapomniałem wszystko: zasady klasyfikacji, podział morfologiczny, strefy występowania. Rozmowa z panną Zwidą nieuchronnie sprowokowałaby mnie do mówienia o muszlach, a ja nie potrafię wybrać właściwej postawy: czy mam udawać całkowity brak rozeznania, czy też mam się odwołać do dawnej wiedzy, obecnie zarzuconej. Myśl o muszlach zmusza mnie do ponownego rozpatrzenia mojego stosunku do życia, do rozpatrzenia mojej przeszłości, na którą złożyły się rzeczy nie doprowadzone do końca i częściowo wymazane z pamięci. Stąd bierze się to

poczucie skrępowania, które zawsze skłania mnie do ucieczki.

Do tego należy jeszcze dorzucić fakt, że pilność, z jaką ta dziewczyna oddaje się rysowaniu muszli, wskazuje na dążenie do doskonałości jako do formy, którą świat może, a zatem powinien osiągnąć. Ja, przeciwnie, od dłuższego czasu jestem przekonany, że doskonałość objawia się tylko mimochodem i przypadkiem, nie zasługuje zatem na jakiegokolwiek zainteresowanie, gdyż prawdziwa natura rzeczy ujawnia się tylko w rozkładzie. Nawiązując rozmowę z panną Zwidą musiałbym wyrazić uznanie dla jej rysunków — rysunków na najwyższym zresztą poziomie, sądząc z tego, co mogłem dojrzeć — a zatem przynajmniej w pierwszej chwili musiałbym udawać, że przystaję na estetyczno-moralne wzorce przeze mnie odrzucone, albo też od razu byłbym zmuszony wyrazić mój sposób odczuwania, ryzykując, że ją tym urażę.

Trzecią przeszkodą jest mój stan zdrowia, bo jakkolwiek uległ on znacznej poprawie dzięki przepisanej mi przez lekarzy nadmorskiej kuracji, ogranicza jednak moje szanse wychodzenia i spotykania innych ludzi. Miewam jeszcze nawroty choroby, a ponadto cierpię na dokuczliwą egzemę, co niweczy wszelkie moje plany podjęcia życia towarzyskiego.

Od czasu do czasu zamieniam słowo z meteorologiem panem Kaudererem, kiedy spotykam go przy obserwatorium. Pan Kauderer przychodzi tu zawsze w południe, aby przenieść pomiary. To człowiek wysoki, chudy o ciemnej twarzy, z wyglądu przypomina trochę Indianina. Pojawia się na rowerze, ze wzrokiem nieruchomym, utkwionym przed siebie, tak jakby utrzymanie równowagi na siodelku wymagało od niego całkowitego skupienia. Opiera rower o wiatę, rozpina zawieszoną na ramie torbę, wyjmuje z niej zeszyt i spisuje odmierzane pomiary jedne ołówkiem, inne dużym wiecznym piórem, ani na chwilę nie osłabiając przy tym natężenia uwagi. Pod długim płaszczem nosi pumpy, wszystkie części ubrania są szare bądź w czarno-białą pepitkę, nawet czapka daszkiem. Dopiero po zakończeniu tych czynności postrzega, że go obserwuję, i pozdrawia mnie uprzejmie. Zdałem sobie sprawę, że obecność pana Kauderera jest dla mnie ważna. Sam fakt, że ktoś wykazuje jeszcze tyle sumiennego i metodycznego skupienia — chociaż dobrze wiem, że wszystko jest daremne — działa na mnie uspokajająco, być może stwarza pewną przeciwwagę dla mojego nieokreślonego sposobu życia, który pomimo wniosków, do jakich doszedłem, napawa mnie poczuciem winy. Dlatego też przystaję, chcę przyjrzeć się meteorologowi, a nawet z nim porozmawiać, chociaż to nie sam temat rozmowy mnie interesuje. Pan Kauderer rozprawia oczywiście o pogodzie, posługuje się szczegółową, specjalistyczną terminologią, mówi o wpływie skoków ciśnienia na zdrowie, a także o niepewnych czasach, w jakich żyjemy, przytacza przykłady z miejscowego życia lub z kroniki gazetowej. W takich chwilach ujawnia charakter mniej zamknięty, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka, a nawet wykazuje skłonność do

podniecenia i gadatliwości, zwłaszcza wówczas, kiedy gani sposób postępowania i myślenia właściwy większości ludzi, gdyż jest to człowiek o usposobieniu malkontenta.

Dzisiaj pan Kauderer powiedział, że mając w planie kilkudniową nieobecność, powinien znaleźć kogoś, kto by go zastąpił w przenoszeniu pomiarów, lecz nie zna nikogo, komu mógłby zaufać. Tak rozprawiając zapytał, czy nie interesuje mnie odczytywanie pomiarów przyrządów meteorologicznych, bo może mnie tego nauczyć. Nie odpowiedziałem tak ani nie, a przynajmniej nie zamierzałem udzielić mu jednoznacznej odpowiedzi, ale oto znalazłem się u jego boku na rusztowaniu, on zaś wyjaśniał mi, jak mierzyć najwyższą i najniższą temperaturę, stan ciśnienia, ilość opadów, szybkość wiatrów. Krótko mówiąc, zanim zdołałem się połapać, powierzył mi zastępstwo na najbliższe dni, począwszy od jutra w południe. Jakkolwiek moja zgoda została nieco wymuszona, nie dano mi bowiem czasu do namysłu ani do uświadomienia sobie, że nie mogę zdecydować tak od razu, zajęcie to nie jest mi niemiłe.

Wtorek. Dzisiaj rano po raz pierwszy rozmawiałem z panną Zwidą. Obowiązek przenoszenia pomiarów meteorologicznych w pewnej mierze pomógł mi przewyciężyć własne wątpliwości. W tym sensie, że po raz pierwszy podczas pobytu w Petkwo miałem wcześniej zaciągnięte zobowiązanie, którego nie mogłem nie wypełnić. Toteż niezależnie od tego, jak potoczyłaby się nasza rozmowa, za kwadrans dwunasta musiałbym powiedzieć: „Ach, byłbym zapomniał, muszę śpieszyć do obserwatorium, bo zbliża się godzina przenoszenia pomiarów.” Po czym pożegnałbym się ze ściśniętym sercem, a może z ulgą, w każdym razie z poczuciem pewności, że nie mogłem postąpić inaczej. Sądzę, że jeszcze wczoraj, kiedy pan Kauderer składał mi tę propozycję, zrozumiałem mgliście, iż ta powinność ośmieli mnie do nawiązania rozmowy z panną Zwidą, lecz rzecz wydaje mi się jasna dopiero teraz, jeśli w ogóle jest jasna.

Panna Zwida rysowała morskiego jeża. Siedziała na molo, na składanym taborecie. Jeż leżał na skale, odwrócony i otwarty. Chował kolce, daremnie usiłując powrócić do swej naturalnej pozycji. Rysunek dziewczyny przedstawiał studium wilgotnego ciała mięczaka, jego skurcze i rozkurcze uchwycone w światłocieniu, gęsto zakreskowane dokoła. Słowa, które miałem w pogotowiu, o formie muszli jako zwodniczej harmonii, jako powłoce skrywającej prawdziwą istotę natury, nie brzmiałyby już właściwie. Zarówno widok jeża, jak i rysunek sprawiały wrażenie nieprzyjemne i okrutne niczym wystawione na widok trzewia. Nawiązałem rozmowę, mówiąc, że nie ma nic równie trudnego do rysowania jak jeże, bo ani kolczasta powłoka, widziana z góry, ani odwrócony mięczak — pomimo swej budowy o promienistej symetrii — nie rozkładają wyraźnych akcentów, tak pomocnych w przedstawieniu linearnym.

Odparła, że zależy jej na tym rysunku, bo jest to obraz, który powraca w jej snach i chciałaby się

od niego uwolnić. Żegnając się, zapytałem, czy możemy się zobaczyć jutro rano w tym samym miejscu. Powiedziała, że na jutro ma inne plany, lecz pojutrze znowu wyjdzie ze szkicownikiem i z łatwością ją spotkam.

Kiedy sprawdzałem barometry, do wiaty zbliżyli się dwaj mężczyźni. Nigdy przedtem ich nie widziałem: obaj ubrani na czarno, w płaszczach z podniesionymi kołnierzami. Spyтали, czy jest pan Kauderer, dokąd wyjechał, a skoro nie znam jego adresu, to kiedy wróci.

Odpowiedziałem, że nie wiem, i spytałem, kim oni są i dlaczego o to pytają. — Nic takiego, to nieważne — odparli oddalając się.

Środa. Poszedłem do hotelu zanieść bukiet fiołków dla panny Zwidy. Portier powiedział mi, że wyszła. Krążyłem długo, mając nadzieję, że może przypadkiem ją spotkam. Na placu przed fortecą stali w kolejce krewni więźniów, dzisiaj w więzieniu jest dzień odwiedzin. Pośród kobieciny w chustkach i płaczących dzieci dojrzałem pannę Zwidę. Czarna woalka skrywała jej twarz pod szerokim rondem kapelusza, lecz zdradzała ją postawa; stała z podniesioną głową, z szyją dumnie wyprostowaną.

W rogu placu, jakby nadzorując kolejkę do bramy więzienia, stali dwaj mężczyźni w czerni, ci sami, którzy wypytywali mnie wczoraj w obserwatorium.

Jeż, woalka, dwaj nieznajomi: kolor czerni nadal ukazuje mi się w takich okolicznościach, że zwraca na siebie moją uwagę. Są to przesłania, które tłumaczę sobie jako wezwania nocy. Zrozumiałem, że od dłuższego czasu staram się ograniczyć obecność ciemności w moim życiu. Wydany przez lekarzy zakaz wychodzenia po zachodzie słońca od miesiąca więzi mnie w granicach dziennego światła. Lecz to nie wszystko: w świetle dziennym, w tej jasności rozlanej, bladej i niemal pozbawionej cienia, dostrzegam mrok bardziej nieprzenikniony od mroku nocy.

Środa wieczorem. Każdego wieczoru pierwsze godziny po zapadnięciu zmroku spędzam na pisaniu tych stronic, chociaż nie wiem, czy ktokolwiek je kiedyś przeczyta. Szklana kula w pokoju w pensjonacie „Kudgiwa” oświetla strumień mojego pisma, może nazbyt nerwowego, by przyszły czytelnik zdołał je odcyfrować. Może ten dziennik ujrzy ponownie światło wiele, wiele lat po mojej śmierci, kiedy nasz język ulegnie kto wie jakim przemianom, a niektóre słowa i zwroty płynnie przeze mnie używane wyjdą z obiegu i zabrzmiały niezbyt zrozumiale. W każdym razie ten, kto odnajdzie mój dziennik zdobędzie nade mną przewagę; na podstawie języka pisanego zawsze można odtworzyć leksykę i gramatykę, wyodrębnić zdania, przełożyć je lub sparafrazować w innym języku, podczas gdy ja z szeregu rzeczy, jakie każdego dnia mi się przydarzają, staram się wyczytać zamiary świata wobec mnie i

poruszam się po omacku wiedząc, że nie istnieje żaden słownik, który zawarłby w słowach brzemie mrocznych aluzji czających się w rzeczach. Chciałbym, aby owo pulsowanie przeczuc i wątpliwości wydało się mojemu czytelnikowi nie przypadkową przeszkodą w zrozumieniu tego, co ja piszę, lecz istotą tego zapisu; a jeśli bieg moich myśli wyda się niejasny temu, kto będzie się starał za nimi podążać, bo nawyki myślowe ulegną całkowitej przemianie, zależy mi na tym, aby pojął on istotę moich wysiłków, albowiem staram się odczytać spomiędzy linijek rzeczy wymykając się sens tego, co mnie czeka.

Czwartek. — Dzięki specjalnej przepustce od dyrekcji — wyjaśniła mi panna Zwida — mogę wchodzić do więzienia w dni odwiedzin i siadać przy stole w rozmównicy z blokiem rysunkowym i węglem. Surowość ludzkiego oblicza dostarcza interesujących tematów do studium z natury.

Nie postawiłem jej żadnego pytania, lecz ona spostrzegła, że widziałem ją wczoraj na placu, i uznała za stosowne usprawiedliwić swoją obecność w takim miejscu. Byłbym wolał, aby nic nie mówiła, bo rysunki przedstawiające ludzkie postacie nie wzbudzają we mnie żadnego zaciekawienia, toteż gdyby mi je pokazała, nie umiałbym wyrazić żadnej opinii, do czego zresztą nie doszło. Pomyślałem, że może te rysunki przechowuje w specjalnej teczce, którą pozostawia za każdym razem w biurze więzienia, bo wczoraj — pamiętam dobrze — nie miała przy sobie nierozłącznego albumu w oprawie ani piórnika na ołówki.

— Gdybym umiał rysować, poświęciłbym się wyłącznie studiom nad formą przedmiotów nieożywionych — powiedziałem z pewną stanowczością, gdyż chciałem zmienić temat rozmowy, a także dlatego, że wrodzona skłonność nakazuje mi rozpoznawać własne stany ducha w niemym cierpieniu rzeczy.

Panna Zwida natychmiast przyznała mi rację: przedmiotem, który narysowałaaby najchętniej, powiedziała, jest jedna z tych niewielkich kotwiczek o czterech zębach, zwanych „kotami”, jakich używają kutry rybackie. Pokazała mi parę takich kotwic, kiedy mijaliśmy barki przycumowane do mola, i wyjaśniła, na czym polega trudność narysowania czterech haków pod różnymi kątami i z rozmaitych perspektyw. Pojąłem, że przedmiot ten zawiera w sobie przesłanie, które muszę rozszyfrować; kotwica to przestroga, bym znieruchomiał, zaczepił się, zarzucił hak, bym nie kołysał się dłużej na powierzchni, unoszony przez fale. Lecz taka interpretacja nie rozwiewa wątpliwości, bo równie dobrze kotwica może oznaczać zaproszenie do odbicia od brzegu, do wypłynięcia na pełne morze. Sam kształt „kota” — cztery obnażone zęby, cztery żelazne ramiona zniszczone od ocierania się o głębinowe skały — ostrzega mnie, że żadna z obu decyzji nie zapadnie bez wewnętrznego rozdarcia, bez cierpienia. Na pocieszenie pozostał mi fakt, że nie chodziło o ciężką kotwicę, którą zarzuca się na pełnym morzu, lecz o poręczną kotwiczkę, a

zatem nie żądano ode mnie rezygnacji ze stanu zawieszenia właściwego młodości, lecz tylko chwilowego postoj, namysłu, zbadania mrocznych głębi własnego „ja”.

— Aby bez trudu narysować ten przedmiot z każdej perspektywy — powiedziała Zwida — musiałabym mieć u siebie jeden taki egzemplarz i oswoić się z nim. Czy sądzi pan, że mogłabym to kupić u jakiegoś rybaka?

— Można zapytać — odparłem.

— A może pan spróbowałby to nabyć? Sama się nie ośmielę, bo dziewczyna z miasta, która wypytuje o surowe rybackie narzędzie, z pewnością wzbudziłaby zdziwienie.

Ujrzałem siebie w chwili, gdy wręczam jej żelaznego „kota”, jakby to był bukiet kwiatów. W niestosowności tego obrazu czaiło się coś rażącego i złowrogiego. Niewątpliwie krył się w tym pewien sens, który mi umykał, i obiecując sobie, że rozpatrzę rzecz w spokoju, odpowiedziałem twierdząco.

— Wolałabym, żeby do kotwicy była przymocowana lina — uściśliła Zwida. — Całymi godzinami mogę rysować zwoje lin i mnie to nie męczy. Dlatego proszę wziąć bardzo długą linę, może mieć dziesięć, a nawet dwanaście metrów.

Czwartek wieczorem. Lekarze pozwolili mi na umiarkowane spożywanie napojów alkoholowych. Dla uczczenia tej nowiny wszedłem o zachodzie słońca do gospody „Pod Gwiazdą Szwecji”, by zamówić szklaneczkę gorącego rumu. Przy barze stali rybacy, celnicy, ludzie pracy. W ogólnym gwarze rozmów wybijał się głos starego człowieka w mundurze więziennego strażnika, który bąkał w odurzeniu: — W każdą środę wyperfumowana dama daje mi sto koron w banknocie, abym zostawił ją sam na sam z więźniem. A już w czwartek sto koron rozplywa się w morzu piwa. A kiedy kończy się pora odwiedzin, dama wychodzi ze smrodem więzienia na swych wytwornych sukniach, a więzień wraca do celi z wonią damy na swym więziennym ubraniu. A mnie pozostaje zapach piwa. Życie nie jest niczym innym jak wymianą zapachów.

— I życie, i śmierć, można powiedzieć — wtrącił inny pijak, który z zawodu był, jak się od razu zorientowałem, grabarzem. — Zapach piwa pomaga mi zabić trupi zapach. I tylko trupi zapach zabije na tobie zapach piwa, jak u wszystkich piwoszy, którym przychodzi mi kopać grób.

Dialog ten uznałem za przestrożę, bym miał się na baczności: świat rozpada się i usiłuje wciągnąć mnie w proces ogólnego gnicia.

Piątek. Rybak zrobił się nagle nieufny: — A po co to panu? Co pan zrobi z czterozębną kotwicą? Niedyskretne pytania, musiałbym odpowiedzieć: „To się przyda do narysowania”, lecz znam niechęć

panny Zwidy do pokazywania swoich prac w środowisku, które nie potrafi ich docenić. Jeśli zaś chodzi o mnie, właściwa odpowiedź powinna brzmieć: „To się przyda do rozmyślań”, i wyobraźmy sobie, co on by z tego zrozumiał.

— To moja sprawa — odparłem. Z początku rozmawialiśmy przyjaźnie, zawarliśmy przecież znajomość poprzedniego wieczora w gospodzie, lecz niespodziewanie nasza rozmowa stała się szorstka.

— Niech pan idzie do sklepu ze sprzętem żeglarskim — uciął krótko rybak. — Ja nie sprzedaję swoich rzeczy.

Z kupcem przydarzyło mi się to samo; zaledwie zwróciłem się z pytaniem, twarz mu pociemniała. — Obcym nie możemy sprzedawać takich rzeczy — powiedział. — Nie chcemy mieć do czynienia z policją. I jeszcze ta dwunastometrowa lina... Nie żebym pana podejrzewał, ale już niejedną raz ktoś zarzucał „kota” na kraty fortecy, aby pomóc w ucieczce więźniowi...

„Ucieczka” jest jednym z tych słów, które natychmiast zaprzatają moją myśl, nie dają mi chwili wytchnienia. Poszukiwanie kotwicy, do czego się zobowiązałem, zdaje mi się wskazywać drogę ucieczki, może też wskazuje sposobność przemiany, zmartwychwstania. Z dreszczem grozy odrzucam myśl, że więzieniem jest moje śmiertelne ciało, a czekającą mnie ucieczką jest oderwanie się odeń duszy, co da początek życiu pozaziemskiemu.

Sobota. Była to moja pierwsza nocna wyprawa od wielu miesięcy, co napawało mnie niemalym lękiem, zwłaszcza z uwagi na moją skłonność do przeziębienia. Toteż przed wyjściem włożyłem kominiarkę, na to wełnianą czapkę i jeszcze filcowy kapelusz. Tak okutany, z jednym szalikiem owiniętym wokół szyi, a drugim wokół łędźwi, do tego ubrany w trzy kurtki: wełnianą, puchową i skórzaną, w wysokich ocieplanych butach, mogłem odzyskać poczucie pewnego bezpieczeństwa. Noc, jak mogłem potem stwierdzić, była pogodna i spokojna. Lecz nadal nie rozumiałem, dlaczego pan Kauderer wyznaczył mi spotkanie na cmentarzu, w środku nocy, za pośrednictwem zagadkowego listu, który doręczono mi w wielkiej tajemnicy. Skoro wrócił, to dlaczego nie możemy się spotkać tak jak zawsze? A jeśli nie wrócił, to kogo dane mi będzie ujrzeć na cmentarzu?

Furtkę otworzył mi grabarz, którego poznałem już w gospodzie „Pod Gwiazdą Szwecji”. — Szukam pana Kauderera — powiedziałem.

Odparł: — Pana Kauderera tu nie ma. Ponieważ jednak cmentarz jest domem tych, których nie ma, proszę wejść.

Szedłem pomiędzy nagrobkami, kiedy musnął mnie szybki i szeleszczący cień. Cień zahamował i zszedł z siodelka: — Pan Kauderer? — wykrzyknąłem zdumiony, że on krąży pośród grobów na rowerze

ze zgaszoną latarką.

— Psst! — uciszył mnie. — Popęnił pan poważną nieostrożność. Kiedy powierzałem panu obserwatorium nie przypuszczałem, że skompromituje się pan jakąś próbą ucieczki. Musi pan wiedzieć, że jesteśmy przeciwni pojedynczym ucieczkom. To kwestia czasu. Opracowaliśmy bardziej ogólny plan postępowania, obliczony na dłuższy termin.

Słyszając, jak mówi „my” i zakreśla przy tym ręką szeroki łuk, pomyślałem, że przemawia w imieniu zmarłych. Oto zmarli — pan Kauderer najwyraźniej jest ich rzecznikiem — oznajmiają mi, że jeszcze nie chcą przyjąć mnie do swego grona. Doznałem niewątpliwej ulgi.

— Również z pana winy będę musiał przedłużyć moją nieobecność — dodał. — Jutro lub pojutrze otrzyma pan wezwanie na policję, komisarz przesłucha pana w sprawie czterozębnej kotwicy. Niech pan uważa, żeby mnie do tego nie wmieszać, musi pan wiedzieć, że wszystkie pytania komisarza będą starały się pana skłonić do zeznań na temat mojej osoby. Pan nic o mnie nie wie, oprócz tego, że jestem w podróży i nie powiedziałem, kiedy wrócę. Może pan powiedzieć, że prosiłem pana o zastępstwo przy przenoszeniu pomiarów tylko na kilka dni. Zresztą od jutra zwalniam pana z obowiązku udawania się do obserwatorium.

— Nie, tylko nie to! — wykrzyknąłem, ogarnięty niespodziewaną rozpaczą, jakbym w tej właśnie chwili zrozumiał, że tylko kontrolowanie instrumentów meteorologicznych pozwala zawładnąć mi siłami wszechświata i rozpoznać w nim pewien ład.

Niedziela. Wczesnym rankiem poszedłem do obserwatorium meteorologicznego, wspiałem się na podwyższenie i stałem tak, słuchając tykania samopiszących przyrządów, jakby to była muzyka sfer niebieskich. Wiatr gnał po porannym niebie, pędząc drobne chmury. Chmury układały się w girlandy pierzastych obłoków, potem w kumulusy. Około wpół do dziesiątej lunął deszcz i pluwiometr wypełniło parę centylitrów wody, przez chwilę ukazał się fragment tęczy, potem niebo ponownie sposepniało, stalówka barografu opadła wyznaczając linię niemal pionową, zahuczał grzmot i sypnął grad. Tam na szczycie, miałem złudzenie, że dzierzę w dłoni przejaśnienia i burze, pioruny i mgły. Nie czułem się bogiem, nie, nie bierzcie mnie za szaleńca, nie czułem się gromowładnym Zeusem, lecz czułem się trochę jak dyrygent, który ma przed sobą gotową partyturę i wie, że dźwięki płynące z instrumentów odtwarzają zapis, a on jest jego głównym stróżem i obrońcą. Blasznany dach rozbrzmiewał bębniącymi uderzeniami, wiatromierz wirował. Ten wszechświat złożony z trzasków i drgań dawał się przełożyć na kolumnę cyfr w moim zeszycie. Wszechwładny spokój królował nad materią żywołów.

W owej chwili harmonii i poczucia pełni niespodziewane skrzypienie kazało mi zniżyć wzrok.

Pomiędzy stopniami podwyższenia a słupami podpierającymi wiatę siedział skulony człowiek, brodaty, ubrany w zgrzebny pasiak, przemoknięty od deszczu. Patrzył na mnie jasnym, stanowczym spojrzeniem.

— Uciekłem — powiedział. — Proszę mnie nie zdradzić. Powinien pan zawiadomić pewną osobę. Zgoda? Mieszka w hotelu „Pod Ukwiąłem”.

Natychmiast poczułem, że w doskonałym ładzie wszechświata pojawiła się szczelina, że zarysowało się nieodwracalne pęknięcie.

IV

Słuchanie głośnej lektury znacznie się różni od cichego czytania. Kiedy sam czytasz, możesz zatrzymać się lub pominąć niektóre zdania, o tempie decydujesz ty. Kiedy czyta ktoś inny, trudno jest ci dostroić uwagę do tempa jego lektury, to zbyt pośpiesznej, to za powolnej.

Poza tym słuchanie kogoś, kto tłumaczy z innego języka, nasuwa nieustanne wątpliwości, czy słowa są właściwie dobierane, pozostawia margines tego, co jest nieokreślone, tymczasowe. Natomiast kiedy czytasz tekst samodzielnie, jest on czymś namacalnym, z czym musisz się zmagać. Kiedy ci go tłumaczą na żywo, jest czymś, co istnieje i czego zarazem nie ma, czego nie możesz dotknąć.

Ponadto profesor Uzzi-Tuzzi rozpoczął swoje ustne tłumaczenie tak, jakby nie był pewien, czy jedno słowo przystają do drugich, powracał do każdej frazy, aby rozplatać składniowe supły, rozkładał zdania aż do całkowitego ich rozdrobnienia, maltretował je i szarpał, zatrzymywał się nad każdym wyrazem, objaśniał jego użycie i konotacje, wykonywał przy tym ruchy okrężne, co miało oznaczać, że powinny nas zadowolić przybliżone odpowiedniki, przystawał dla podania etymologii wyrazów, dla wygłoszenia reguł gramatycznych, cytatów z dzieł klasyków. Lecz kiedy wydaje ci się, że filologia i erudycja bardziej leżą profesorowi na sercu niż sama opowieść, spostrzegasz, że jest wręcz przeciwnie: akademickie opakowanie chroni jedynie to, co opowieść mówi i czego nie dopowiada, osłania jej wewnętrzny blask, i gotów ulec rozproszeniu pod wpływem prądu powietrza, chroni echo zaginionej wiedzy, która objawia się w półmroku i w przemilczanych aluzjach.

Rozdarty pomiędzy potrzebą wtrącania własnych komentarzy, które pomogłyby wydobyć z tekstu mnogości znaczeń, a świadomością, iż każda interpretacja jest aktem gwałtu i samowoli, profesor, pragnąc ułatwić nam zrozumienie fragmentów najbardziej zagmatwanych, z braku lepszego rozwiązania zaczynał je czytać w oryginale. Brzmienie tego nieznanego języka, wywiedzione z teoretycznych założeń, nie poparte świadectwem żywych głosów i ich indywidualnych modulacji, nie naznaczonej piętnem mowy potocznej, co kształtuje i przetwarza, nabierało wymowy dźwięków ostatecznych, które nie oczekują odpowiedzi, podobnie jak nie oczekuje jej śpiew ostatniego ptaka z wymierającego gatunku ani ogłuszający huk nowego modelu odrzutowca, co eksploduje na niebie podczas próbnego lotu.

Potem coś zaczęło powoli narastać i wypełniać frazy owej nieudolnej recytacji. Fabuła powieści wzięła górę nad wahaniami głosu, stała się płynna, przejrzysta, swobodna. Uzzi-Tuzzi pływał w niej jak ryba, pomagając sobie gestem (rozkładał ręce niczym płetwy), ruchem warg (wypuszczane słowa

przypominały pęcherzyki powietrza), spojrzeniem jego oczy przebiegały stronicę niczym oczy ryby lustrującej dno morskie, a także jak oczy obserwatora akwarium, który śledzi poruszenia ryby w podświetlonym zbiorniku.

Teraz wokół ciebie nie ma już pokoju instytutu, półek ani profesora; przeniknąłeś do środka powieści, widzisz nordycką plażę, podążasz śladami słabowitego dżentelmena. Jesteś tym pochłonięty tak bardzo, że z opóźnieniem dostrzegasz u swojego boku czyjaś obecność. Kątem oka spostrzegasz Ludmiłę. Jest tam, siedzi na stosie tomów *in folio*, zasłuchana w dalszy ciąg opowieści.

Czy przyszła dopiero w tej chwili, czy może słyszała początek lektury? Czy weszła po cichu, bez pukania? Czy była tutaj już przedtem, ukryta pomiędzy półkami. (Przychodzi tu, aby się ukryć, powiedział Imerio. Przychodzą tu i robią rzeczy niewyobrażalne, powiedział Uzzi-Tuzzi.) A może to tylko zjawą wywołana zaklęciem profesora-czarownika?

Uzzi-Tuzzi nie przerywa swojej recytacji, nie okazuje zdziwienia z powodu obecności nowej słuchaczki, tak jakby zawsze tu była. Ani też nie wzdraga się, kiedy ona, podczas przerwy dłuższej niż poprzednie, pyta: — I co dalej?

Profesor zamyka nagle książkę. — Dalej nie ma nic. *Wychylając się nad brzegiem urwiska* urywa się w tym miejscu. Po napisaniu pierwszych stron powieści Ukko Ahti pogrążył się w depresji, która w ciągu paru lat doprowadziła go do trzech nieudanych prób samobójstwa i jednej ostatecznej. Fragment ten został opublikowany w pośmiertnym zbiorze jego pism, obok rozproszonych wierszy, poufnego pamiętnika i notatek do eseju o wcieleniach Buddy. Niestety, nie udało się wytropić jakiegokolwiek planu czy szkicu, który pozwoliłby wyjaśnić, jak Ahti zamierzał poprowadzić dalej akcję. Tekst *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, jakkolwiek okaleczony, a może właśnie dlatego, jest tekstem najbardziej reprezentatywnym dla kimeryjskiej prozy dzięki temu, co wyjawia, a zwłaszcza dzięki temu, co zataja, poprzez to, w jaki sposób wymyka się, urywa, przepada...

Głos profesora zdaje się zanikać. Wyciągasz szyję, aby się upewnić, czy nadal tam jest, za przegrodą półek, które osłaniają go przed twoim wzrokiem, ale nie udaje ci się go dostrzec, może wślizgnął się w zarośla akademickich publikacji i roczników czasopism, może skurczył się tak bardzo, że przyjęły go szczeliny wiecznie złaknione kurzu, może dosięgło go przeznaczenie, które ciąży nad przedmiotem jego badań, może wchłonęła go bezdenna otchłań nagle urwanej powieści. Chciałbyś przystanąć na krawędzi tej otchłani, chciałbyś podtrzymać Ludmiłę lub wesprzeć się na niej, twoje ręce starają się pochwycić jej ręce...

— Nie pytajcie mnie, gdzie jest dalszy ciąg tej książki! — Ostry krzyk dobiega z nieokreślonego miejsca pomiędzy półkami. — Wszystkie książki mają swój dalszy ciąg po tamtej stronie... — Głos

profesora wznosi się i opada. Gdzie on się podział? Może tarza się pod biurkiem, może wieszka się u lampy pod sufitem?

— Gdzie mają dalszy ciąg? — pytacie, znieruchomiał na skraju przepaści. — Po drugiej stronie czego?

— Książki są stopniami granicznego progu... Wszyscy kimeryjscy pisarze przekroczyli ten próg... Dalej zaczyna się język bez słów, język umarłych, mówiący o tym, o czym tylko język umarłych może mówić. Kimeryjski jest ostatnim językiem żywych... jest językiem pogranicza! Ci, którzy tu przychodzą, chcą złowić uchem to, co słyhać po tamtej stronie... Posłuchajcie...

Wy dwoje niczego już nie słuchacie. Także i wy zniknęliście, skuleni w rogu, przytuleni jedno do drugiego. Czy to jest wasza odpowiedź? Czy chcecie dowieść, że żywi także mają swój język bez słów, nie można nim wprawdzie pisać książek, ale można go przeżywać, sekunda po sekundzie, niczego nie notując ani nie utrwalając w pamięci? Najpierw pojawia się ten pierwotny język bez słów, język żywych — czy właśnie tę przesłankę chcielibyście przekazać Uzzi-Tuzziemu? — potem następują słowa, w których pisze się książki, daremnie starając się zawrzeć w nich ładunek tego pierwotnego języka, potem zaś...

— Wszystkie kimeryjskie książki pozostały nie dokończone... — wzdycha Uzzi-Tuzzi — ich dalszy ciąg rozgrywa się po tamtej stronie... w innym języku, w milczącym języku, do którego odsyłają wszystkie słowa książek pozornie przez nas czytanych...

— Pozornie... Dlaczego pozornie? Ja lubię czytać i czytam naprawdę... — To mówi Ludmiła, z przekonaniem i zapałem. Siedzi naprzeciwko profesora, ubrana z prostotą i z elegancją, w jasne kolory. Jej sposób istnienia w świecie, otwarcie się na to, co świat może jej zaofiarować, oddala egocentryczną toń samobójczej powieści, która ostatecznie pograża się w sobie samej. W jej głosie szukasz potwierdzenia własnej potrzeby przywiązywania się do rzeczy istniejących, czytania tego, co zostało napisane i basta, oddalając zjawy, które wymykają ci się z rąk. (Nawet jeśli wasz uścisk — przyznaj się — zrodził się tylko w twojej wyobraźni, to mimo wszystko pozostaje uściskiem, który w każdej chwili może się spełnić...)

Ale Ludmiła wyprzedza cię zawsze przynajmniej o krok. — Lubię mieć świadomość, że istnieją książki, które mogę jeszcze przeczytać... — mówi pewna, że mocy jej pragnienia odpowiadają rzeczy istniejące, konkretne, nawet jeśli są nieznanne. Jak zdołasz dotrzymać jej kroku, skoro ta dziewczyna oprócz książki, jaką ma właśnie przed oczami, czyta także i tę, której jeszcze nie ma, chociaż, skoro ona tego chce, powieść ta nie może się nie pojawić.

Profesor siedzi tam, przy swoim stole, z kręgu biurowej lampy wynurzają się jego ręce, zawieszane lub lekko oparte na zamkniętym tomie, jakby w smętnej pieszczocie.

— Proces czytania — mówi — polega zawsze na tym: mamy przed sobą rzecz napisaną, przedmiot trwały, materialny, niezmienny, i zestawiamy go z czymś, co jest nieobecne, co należy do świata nierzeczywistego, niewidzialnego, bo wchodzi w zakres tego, co było, a już nie jest, co minęło, przepadło, stało się nieosiągalne, trafiło do krainy umarłych...

— ... albo co jest nieobecne, bo jeszcze nie istnieje, zaledwie pożądanе, niepokojące, prawdopodobne lub nieprawdopodobne — mówi Ludmiła. — Czytanie jest wychodzeniem naprzeciw temu, co ma się wydarzyć, chociaż nikt jeszcze nie wie, co to będzie... — (Teraz widzisz wyraźnie, jak Czytelniczka nachyla się, by spoza marginesu zadrukowanej stronicy dostrzec pojawiające się na horyzoncie statki wybawicieli lub najeźdźców, nadciągającą burzę...) — W powieści, jaką miałabym właśnie ochotę przeczytać, czułoby się narastanie historii niby dalekiego jeszcze grzmotu, historii czasów przeszłych, w którą wplecione zostały losy bohaterów. Powieść ta dałaby mi poczucie uczestniczenia w momencie przełomowym, na razie pozbawionym jeszcze imienia, pozbawionym określonego kształtu...

— Brawo, siostrzyczko! Widzę, że robisz postępy. — Spomiędzy półek ukazała się dziewczyna o długiej szyi i ptasiej twarzy, o stanowczym spojrzeniu okularnicy, z grzywą kręconych włosów, ubrana w szeroką bluzę i obcisłe spodnie. — Przychodzę, aby ci oznajmić, że znalazłam powieść, której szukałaś, i właśnie tą powieścią posłużymy się podczas naszego seminarium na temat rewolucji feministycznej, dokąd jesteś zaproszona, jeśli chcesz posłuchać naszej analizy i dyskusji!

— Lotario, nie powiesz mi — wykrzykuje Ludmiła — że ty także zdobyłaś *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, nie dokończoną powieść kimeryjskiego pisarza Ukko Ahtiego!

— Jesteś w błędzie. Ludmiło. Chodzi właśnie o tę powieść, tyle że nie urwaną, ale dokończoną, i nie została ona napisana w języku kimeryjskim. lecz w cymbryjskim tytuł zmieniono potem na *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy*, autor zaś podpisał książkę innym pseudonimem, jako Vorts Viljandi.

— To falsyfikat! — krzyczy profesor Uzzi-Tuzzi. To znany przypadek fałszerstwa! Chodzi o apokryficzne teksty, rozpowszechniane przez cymbryjskich nacjonalistów podczas propagandowej kampanii antykimeryjskie pod koniec pierwszej wojny światowej!

Za Lotarią tłoczą się pierwsze szeregi zastępów młodziutkich dziewczyn o oczach jasnych i spokojnych, które wzbudzają pewien niepokój, właśnie dlatego, że wydają się zbyt jasne i zbyt spokojne. Pomiedzy nimi toruje sobie drogę błądy i brodaty mężczyzna o sarkastycznym spojrzeniu i z zastygłym grymasem rozczarowania na ustach.

— Przykro mi, że muszę zaprzeczyć słowom mojego znakomitego kolegi — mówi — lecz autentyczności tego tekstu dowiedziono dzięki odnalezieniu manuskryptów, które ukryli Cymbrowie!

— Zdumiewa mnie to, Galligani — burczy Uzzi-Tuzzi — że używasz autorytetu swojej katedry

języków i literatur herulo-ałtajskich dla celów równie wulgarnej mistyfikacji! Związanej ponadto z terytorialnymi rewindykacjami, które nie mają nic wspólnego z literaturą!

— Proszę cię, Uzzi-Tuzzi — odcina się profesor Galligani - nie sprowadzaj polemiki do tego poziomu. Dobrze wiesz, że nacjonalizm cymbryjski jest równie daleki moim zainteresowaniom, jak, mam nadzieję, szowinizm kimeryjski jest obcy twoim. Kiedy porównuję ducha obu literatur, pytanie, które sobie stawiam, brzmi: która z nich posunęła się dalej w odrzuceniu wartości?

Polemika cymbro-kimeryjska zdaje się nie poruszać Ludmiły, owładniętej obecnie tylko jedną myślą: szansą usłyszenia dalszego ciągu przerwanej powieści. — Czy to prawda, co mówi Lotaria? — pyta cię szeptem. — Tym razem chciałabym, żeby miała rację, żeby początek, który przeczytał nam profesor, miał dalszy ciąg, nie jest ważne w jakim języku...

— Ludmiło — mówi Lotaria — my idziemy na zajęcia grupowe. Jeśli chcesz posłuchać dyskusji nad powieścią Viljandiego, to chodź z nami. Możesz też zaprosić swojego przyjaciela, jeśli to go interesuje.

Tak oto zaciągnąłeś się pod chorągiew Lotarii. Grupa wędruje do jednej z sal, rozsiada się wokół stołu. Oboje z Ludmiłą chcielibyście znaleźć się jak najbliżej skoroszytu, który leży przed Lotaria i, jak się zdaje, zawiera właściwą powieść.

— Chcemy podziękować profesorowi literatury cymbryjskiej, panu Galliganiemu — rozpoczyna Lotaria — który zechciał udostępnić nam rzadki egzemplarz powieści *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy*, a także zechciał osobiście uczestniczyć w naszym seminarium. Pragnę podkreślić tę otwartą postawę, tym bardziej godną uznania, jeśli zestawimy ją z brakiem zrozumienia ze strony innych wykładowców z pokrewnych dziedzin... — tu Lotaria rzuca porozumiewawcze spojrzenie na siostrę, aby nie umknęła jej polemiczna aluzja do Uzzi-Tuzziego.

Profesor Galligani jest proszony o krótki rys historyczny, co pozwoli ująć tekst w pewne ramy. — Ograniczę się do przypomnienia czasów, kiedy ziemie należące do Państwa Kimeryjskiego po drugiej wojnie światowej zostały włączone do terytorium Cymbryjskiej Republiki Ludowej. Porządkując dokumenty z archiwów kimeryjskich. rozbitych podczas frontowych działań, Cymbrowie mogli poddać ponownej ocenie złożoną osobowość pisarza Vortsa Viljandiego, który tworzył zarówno w języku kimeryjskim, jak i cymbryjskim, chociaż Kimerowie opublikowali tylko pisma powstałe w ich języku, nieliczne zresztą. Znacznie ważniejsze pod względem ilości i jakości są dzieła pisane w języku cymbryjskim, trzymane w ukryciu przez Kimerów, poczynając od obszernej powieści *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy*, której początek, jak się wydaje, istniał także w wersji kimeryjskiej, podpisanej pseudonimem Ukko Ahtiego. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że jeśli chodzi o tę powieść, to

dopiero po dokonaniu wyboru na rzecz języka cymbryjskiego pisarz odnalazł właściwą wenę...

— Nie będę tutaj mówił — kontynuuje profesor — o zmiennej kolei losów tej powieści w Cymbryjskiej Republice Ludowej. Pierwotnie wydana jako pozycja klasyczna, przełożona nawet na niemiecki dla celów rozpowszechniania za granicą (ten właśnie przekład leży przed nami), dostała się pod pręgierz kampanii prowadzonej w ramach weryfikacji ideologicznej, a następnie wycofano ją z obiegu, a nawet z bibliotek. My natomiast uważamy ją za książkę o wybitnych treściach rewolucyjnych...

Oboje z Ludmiłą niecierpliwie wypatrujecie chwili, kiedy ta zaginiona książka odrodzi się z popiołów, lecz musicie poczekać, aż dziewczyny i chłopcy z grupy rozdziela pomiędzy siebie zadania; podczas lektury będą musieli podkreślić przejawy stosunków produkcji, procesy reifikacji, kompensacyjne dążenia zdegradowanych kody semantyczne płci, metajęzyki ciała oraz transgresję ról w życiu politycznym i prywatnym.

Wreszcie Lotaria otwiera skoroszyt, zaczyna czytać. Ogrodzenie z drutu kolczastego rozsuwa się niczym pajęczyna. Słuchacie wszyscy w milczeniu, wy i oni.

Natychmiast zdajecie sobie sprawę, że słuchacie czegoś, co nie ma nic wspólnego ani z *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, ani z *Poza osadą Malbork*, ani z *Jeśli zimową nocą podróżny*. Wymieniacie spojrzenia, ty i Ludmiła, nawet dwukrotnie, najpierw pytające, potem porozumiewawcze. Mimo wszystko, skoro już wkroczyliście w świat tej powieści, chcielibyście podążać naprzód bez dalszych niespodzianek.

Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy

O piątej rano przez miasto przeciągnął tabor wojskowy; przed sklepami spożywczymi zaczynały się ustawiać w kolejkach kobieciny z łożowymi lampami, mury były jeszcze wilgotne od farby propagandowych napisów nakreślonych nocą przez bojówki różnych frakcji Rady Tymczasowej.

Kiedy muzycy wkładali instrumenty do futerałów i wychodzili z podziemnego pasażu, powietrze było czyste. Przez pewien odcinek drogi bywalcy „Nowej Tytanii” szli za grajkami, jakby nie chcąc zrywać więzi, która wytworzyła się w nocnym lokalu pomiędzy osobami zebranymi tam przez przypadek lub z przyzwyczajenia, i maszerowali tak razem w grupie, mężczyźni, owinięci w wojskowe płaszcze, z postawionymi kołnierzami, nabierali trupiego wyglądu, niczym mumie, co wydobyte na świeże powietrze z sarkofagów, gdzie przetrwały cztery tysiące lat, w jednej chwili rozpadają się w proch; kobietom natomiast udzielił się podmuch podniecenia, każda coś tam sobie śpiewała, w wieczorowej sukni, z nie dopiętą peleryną na dekolcie, wszystkie posuwały się niepewnym tanecznym krokiem, zamiatając długimi spódnicami kałuże, popadając w stan właściwy alkoholowemu zamroczeniu, który wywołuje nową falę euforii w momencie słabnięcia i wygasania poprzedniej euforii. Wszystkich zdawała się ożywiać nadzieja, że zabawa się jeszcze nie skończyła, że w pewnej chwili muzycy zatrzymają się pośrodku ulicy, otworzą futerały i ponownie wyjmą saksofony i kontrabasy.

Przed byłym bankiem Levinsona, którego strzegły patrole gwardii ludowej z nasadzonymi bagnietami i z kokardami na beretach, grupa nocnych marków, jakby na rzucone hasło, rozpraszala się i każdy podążał dalej swoją drogą, z nikim się nie żegnając. Razem pozostawaliśmy tylko my troje: Valeriano i ja braliśmy pod ramię Irinę każdy ze swojej strony, ja zawsze z prawej, żeby zostawić miejsce na kaburę ciężkiego pistoletu, który zawieszałem u pasa, natomiast Valeriano, ubrany po cywilnemu jako członek Komisariatu do Spraw Przemysłu Ciężkiego, jeśli w ogóle miał przy sobie pistolet — a sądzę, że tak — z pewnością nosił pistolet płaski, z tych, co mieszczą się w kieszeni. O tej porze Irina stawała się milcząca, prawie posępna, a w nas wkradał się pewien lęk — mówię o sobie, ale jestem pewien, że Valeriano podzielał mój stan ducha, chociaż nigdy nie czyniliśmy sobie na ten temat zwierzeń — obaj czuliśmy, że właśnie teraz ona bierze nas w posiadanie, i jakkolwiek szalone okazywały się rzeczy, do których miała nas przywieść, kiedy zamykała nas w swoim magicznym kręgu, były one niczym wobec tego, czym ona w tej chwili zapełniała wyobraźnię, nie cofając się przed żadną ekstrawagancją, w poszukiwaniu doznań zmysłowych, w egzaltacji umysłu, ulegając swej skłonności do okrucieństwa. Prawdą jest, że byliśmy wszyscy bardzo młodzi, za młodzi na to, co przeżywaliśmy; mówię o nas,

mężczyznach, gdyż Irina odznaczała się przedwczesną dojrzałością właściwą kobietom swojego pokroju, i chociaż była najmłodsza z nas trojga, narzucała nam swoją wolę.

Irina zaczęła cicho pogwizdywać, z błyskiem uśmiechu w oczach, jakby z góry smakowała myśl, która nią owładnęła, potem jej gwizdanie stało się głośne, był to marsz buffo z modnej wówczas operetki, a my, nadal nieco zaleknieni na myśl o tym, co nam szykowała, zawtórowaliśmy jej naszymi gwizdami, i maszerowaliśmy razem jakby w rytm nieodpartego uroku fanfar, czując się zarazem ofiarami i triumfatorami.

Stało się to przed kościołem Świętej Apolonii, przekształconym wówczas w lazaret dla ofiar cholery, na zewnątrz ustawiano na stojakach skrzynie z trupami, wokół zakreślano duże kręgi z wapna, żeby ludzie się nie zbliżali, zanim nie przyjadą cmentarne wozy. Na dziedzińcu modliła się na klęczkach jakaś stara kobieta, a my, krocząc w rytm naszego namiętnego marsza, niemal ją stratowaliśmy. Uniosła w naszą stronę małą wyschniętą pięść, pomarszczoną jak kasztan, i podpierając się drugą pięścią o bruk, krzyknęła: — Przekłęci burżuje! — czy też raczej: — Przekłęci! Burżuje! — co zabrzmiało jak dwa narastające przekleństwa, jakby nazywając nas burżujami, przekłęła nas po dwakroć, a potem padło słowo w miejscowym dialekcie, co miało znaczyć mniej więcej „burdelowa hołota”, i jeszcze coś w rodzaju: To się skończy... — ale w tej chwili dostrzegła mój mundur, umilkła i pochyliła głowę.

Opowiadam o tym zdarzeniu z wszelkimi szczegółami, gdyż — wprawdzie nie od razu, lecz w dalszym ciągu wypadków — zostało ono uznane za przestrożę przed tym, co miało nastąpić; a także dlatego, że wszystkie obrazy epoki powinny przemierzać stronicę niczym tabor przeciągający przez miasto (wprawdzie słowo „tabor” przywołuje obrazy niezbyt wyraźne, lecz dobrze będzie pozostawić wrażenie pewnej nieokreśloności, właściwej zamętowi epoki), niczym zawieszone pomiędzy kamienicami transparenty, wzywające ludność do udzielania pożyczek państwu, niczym robotnicze pochody, których trasy nie powinny się zbiegać, bo zorganizowane zostały przez zarządy rywalizujących ze sobą związków zawodowych — jedni demonstrują za kontynuowaniem strajku w fabryce amunicji Kauderera, inni za przerwaniem strajku, aby udzielić wsparcia ludowi przeciwko wojskom kontrrewolucji, otaczającym miasto. Wszystkie te ukośnie krzyżujące się linie powinny wytyczyć granice przestrzeni, w której się poruszamy: ja, Valeriano i Irina, tam gdzie nasza historia może wynurzyć się z pustki, znaleźć punkt wyjścia, określić kierunek, zarysować plan.

Irinę poznałem w dniu załamania się frontu w odległości niespełna dwunastu kilometrów od Bramy Wschodniej. Podczas gdy milicja miejska — chłopcy poniżej osiemnastu lat i starsi rezerwiści — grupowała się wokół niskich zabudowań Rzeźni Bydłęcej — sama nazwa brzmiała złowieszczo, lecz nie było jeszcze wiadomo dla kogo — fala ludności napływała do miasta przez Żelazny Most. Chłopki, każda

z koszem na głowie, z którego wystawała gęś, oszalałe wieprze umykające pomiędzy nogami tłumu, ścigane przez rozwrzeszczanych chłopców (wiejskie rodziny, w nadziei ocalenia czegokolwiek przed rekwizycją wojska, puszczały luzem własne dzieci, a także bydłota, wysyłając je na los szczęścia); żołnierze, pieszo lub konno, którzy zdezerterowali ze swych oddziałów lub starali się dotrzeć do głównych sił rozproszonego wojska; leciwe szlachcianki na czele karawany służących i tobołków: sanitariusze z noszami, chorzy wypisani ze szpitala, wędrowni kupcy, urzędnicy, mnisi, Cyganie, wychowanki byłego Internatu dla Córek Oficerów w podróżnych mundurkach — wszyscy oni wchodzili w żelazną gardziel mostu, jakby popychani wilgotnym i mroźnym wiatrem, co zdawał się dmuchać z rozdartej miejscami mapy, wypadał ze szczelin rozdzierających fronty i granice. W tych dniach wielu ludzi szukało schronienia w mieście: i ci, którzy obawiali się rozruchów i grabieży; i ci, którzy mieli słuszne powody ku temu, aby nie znaleźć się na drodze przemarszu wojsk restauracji; i ci, którzy szukali opieki kruchej prawomocności Rady Tymczasowej; i ci, którzy chcieli się ukryć w ogólnym zamieszaniu, aby bez przeszkód występować przeciw prawu, nieważne — staremu czy nowemu. Każdy z nich przeczuwał, że gra toczy się o jego własne ocalenie, i chociaż odwoływanie się do ludzkiej solidarności mogło wydawać się nie na miejscu, gdyż liczyło się tylko to, aby utorować sobie drogę zębami i pazurami, wytworzyło się wówczas pewne poczucie wspólnoty i więzi, w obliczu przeszkód jednoczono wysiłki i porozumiewano się bez nadmiaru słów.

Może właśnie z tego powodu, a może dlatego, że w powszechnym zamieszaniu młodość odzyskuje świadomość własnej siły i upaja się nią, niemniej faktem jest, że tego ranka wśród tłumu na Żelaznym Moście doznawałem poczucia lekkości i zadowolenia, a także poczucia harmonii z innymi, z sobą samym i ze światem, w stopniu, w jakim mi się to dawno nie zdarzyło. (Nie chciałbym użyć niewłaściwego słowa, powiem więc inaczej: miałem poczucie harmonii z dysharmonią innych, z dysharmonią siebie samego i świata.) Byłem już przy końcu mostu, tam gdzie schody dosięgają brzegu, a ludzka ciżba zwalniała i tłoczyła się w przejściu zmuszona do odpierania nacisku z tyłu, aby z kolei nie wpaść na tych, którzy schodzili najwolniej, na beznogich inwalidów, którzy podpierali się na przemian raz na jednej, raz na drugiej kuli, na konie trzymane za wędzidła i prowadzone po przekątnej, aby ich podkowy nie ześlizgnęły się z krawędzi żelaznych stopni, na motocykle wyposażone w side-cary, które trzeba było odciążać (ich kierowcy lepiej by zrobili obierając drogę przez Most dla Ruchu Kołowego, oni natomiast bez wahania napierali na pieszych, co wydłużało orszak o milę) — i właśnie wtedy dostrzegłem kobietę schodzącą u mojego boku.

Miała na sobie pelisę z futrzanymi wyłogami u dołu i przy mankietach, kloszowy kapelusz z woalką i z wpiętą różą, jednym słowem, była elegancka, a także młoda i ładna, jak zaraz potem

zauważyłem. Kiedy tak przyglądałem się jej z profilu, ujrzałem, że wytrzeszcza oczy, podnosi rękę w rękawiczce do ust otwartych w krzyku przerażenia i przechyla się do tyłu. Byłaby upadła, stratowana przez tłum posuwający się niczym stado słoń, gdybym zrećnie nie chwycił jej za ramię.

— Czy źle się pani czuje? — pytam. — Proszę się oprzeć o mnie. Zobaczysz pani, to nic takiego.

Była sztywna, nie potrafiła zrobić ani kroku.

— Przepaść, przepaść, tam w dole — mówiła — ratunku, mam zawrót głowy.

Nic dokoła nie zdawało się usprawiedliwiać zawrotu głowy, lecz kobieta naprawdę była ogarnięta trwogą.

— Proszę patrzeć prosto przed siebie i trzymać się mojego ramienia. Niech pani idzie za innymi, jesteśmy już przy końcu mostu — mówię z nadzieją, że właśnie te argumenty ją uspokoją.

Na co ona: — Słyszę, jak wszystkie te kroki odrywają się od stopni i wchodzi w pustkę, spadają w przepaść, jak cały ten tłum spada w przepaść... — mówi nadal nie ruszając się z miejsca.

Spoglądam w odstępy pomiędzy żelaznymi stopniami, patrzę na bezbarwny nurt rzeki, tam w dole, gdzie płynące kawały lodu wyglądają jak białe chmury. W chwilowym wzburzeniu wydaje mi się, że odczuwam to samo co ona: każda pustka przechodzi w pustkę, każde urwisko, choćby najmniejsze, otwiera się na następne urwisko, każda przepaść przekształca się w otchłań bez dna. Obejmuję ramieniem jej plecy, staram się powstrzymać napór tych, którzy chcą zejść i wymyślają nam: — Hej, wy tam, zróbcie przejście! Idźcie się ścisnąć gdzie indziej, bezwstydnicy! — lecz jedynym sposobem, aby wymknąć się ludzkiej hurmie, byłoby wydłużenie kroku, ulecenie prosto w powietrze... Tak, ja także czuję się teraz jakby zawieszony nad otchłania...

Być może ta opowieść jest mostem przerzuconym ponad przepaścią, informacje zaś, doznania i wzruszenia, które przekazuje, zarysować mają tło przemian społecznych i jednostkowych, gdzie będzie można utorować sobie przejście, zachowując przy tym nieświadomość wielu faktów natury historycznej i geograficznej. Otwieram sobie drogę pośród obfitości szczegółów pokrywających pustkę, której nie chcę dostrzec, i nabieram rozpędu, podczas gdy postać kobiety nieruchomieje na krawędzi stopnia pośród napierającego tłumy, aż wreszcie udaje mi się ją znieść na dół, stopień po stopniu, i postawić jej stopy na bruku nadbrzeżnego bulwaru.

Uspokaja się, kieruje przed siebie dumne spojrzenie rusza dalej nie zatrzymując się, jej krok jest pewny, zmierza w stronę ulicy Młynarskiej, niemal z trudem za nią nadążam.

Opowieść także nadała za nami z wysiłkiem, przytacza dialog zbudowany w próżni, replikę za repliką. Dla opowieści most się jeszcze nie skończył, za każdym słowem kryje się pustka.

— Czy już pani przeszło? — pytam.

— To nic takiego. Dostaję zawrotu głowy w najmniej spodziewanej chwili, nawet jeśli nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo... Wysokość nie ma tu znaczenia... Gdy patrzę nocą w niebo i rozmyślam o odległości dzielącej nas od gwiazd... A nawet w ciągu dnia... Gdybym wyciągnęła się na przykład tutaj, z oczami utkwionymi w górze, dostałabym zawrotu głowy... — i pokazuje chmury, płynące szybko, pędzone wiatrem. Mówi o zawrocie głowy tak, jakby mówiła o pokusie, która w pewnej mierze ją fascynuje.

Czuję się trochę rozzarowany, bo nie powiedziała mi nawet słowa podziękowania. Mówię: — To nie jest odpowiednie miejsce do leżenia i patrzenia w niebo, ani w dzień, ani w nocy. Proszę mi wierzyć, trochę się na tym znam.

Podobnie jak pomiędzy żelaznymi stopniami mostu, tak w dialogu, pomiędzy jedną repliką a drugą, otwierają się puste miejsca.

— To pan się zna na patrzeniu w niebo? A dlaczego? Czy jest pan astronomem?

— Nie, jestem obserwatorem innego rodzaju. — I pokazuję jej artyleryjskie naszywki na kołnierzyku mojego munduru. — Spędziłem wiele dni w ogniu, przyglądając się lecącym szrapnelom.

Przenosi wzrok z naszywek na naramienniki, których nie mam, potem na mało efektowne odznaki oficerskiego stopnia, naszyte na rękawach. — Czy wraca pan z frontu, poruczniku?

— Alex Zinnober — przedstawiam się. — Nie wiem, czy można nazywać mnie porucznikiem. W naszym pułku zniesiono stopnie, lecz rozporządzenia wciąż się zmieniają. Na razie jestem wojskowym z dwiema belkami na rękawie, to wszystko.

— A ja jestem Irina Piperin, podobnie jak przed rewolucją. Czy w przyszłości, nie wiem. Projektowałam tkaniny, i dopóki tkanin będzie brakowało, będę je projektować na próżno.

— Po rewolucji jedni zmieniają się tak bardzo, że stają się nie do rozpoznania, drudzy natomiast czują się jeszcze bardziej sobą niż przedtem. Mogłoby to oznaczać, że byli przygotowani na nadejście nowych czasów. Czyż nie tak?

Nic nie odpowiada. Dodaje: — Chyba że wewnętrzny opór chroni ich przed przemianą. Czy tak jest właśnie w pani przypadku?

— Ja... Proszę mi najpierw powiedzieć, w jakiej mierze pan sam się zmienił?

— W nieznaczej. Z tego, co widzę, zachowałem dawne zasady człowieka honoru, na przykład zdarza mi się podtrzymać upadającą kobietę, chociaż obecnie nikt już za to nie dziękuje.

— Wszyscy mamy chwile słabości, zarówno kobiety, jak mężczyźni, i nie jest powiedziane, panie poruczniku, że nie będę miała okazji odwzajemnić pana niedawnej uprzejmości. — W jej głosie zabrzmiała szorstka nuta, niemal uraza.

W tym miejscu dialog — który skupił na sobie uwagę czytelnika, niemal zacierając w jego pamięci przejmujący obraz miasta — mógłby zostać przerwany; oto rozdziela nas tabor wojskowy, który jak zwykle przeciąga przez plac i przez stronicę, lub też rozdziela nas nie kończące się kolejki kobiet czy też pochody robotników z transparentami. Irina jest już daleko, kapelusz z różą żegluje w morzu szarych czapek, hełmów i chustek: staram się do niej przedostać, ale ona się nie odwraca.

Następne akapity wypełniają nazwiska generałów i postów, czego powodem są kolejne kanonady i odwroty z frontu, rozłamy i zjednoczenia partii reprezentowanych w Radzie, wszystko to inkrustowane informacjami o warunkach klimatycznych: ulewy, szron, zachmurzenia, uderzenia północnego wiatru. Stanowi to jedynie oprawę moich stanów ducha: albo radośnie pozwalam się unosić fali wydarzeń, albo zamykam się w sobie, pogrążam w obsesyjnej myśli, jakby wszystko, co dzieje się dokoła, służyło mi tylko do zamaskowania, ukrycia, podobnie jak służą temu wyrastające wszędzie barykady z woreczków z piaskiem (miasto zdaje się szykować do walki o każdą ulicę), a także palisady, które zwolennicy różnych ugrupowań pokrywają plakatami, co z winy gąbczastego papieru i nędznego atramentu natychmiast nasiąkają wodą i stają się nieczytelne.

Za każdym razem, kiedy przechodzę przed pałacem, w którym gości Komitet do Spraw Przemysłu Ciężkiego, mówię sobie: „A teraz pójdę odwiedzić mojego przyjaciela Valeriana.” Powtarzam to sobie od dnia, kiedy tu przybyłem. Valeriano jest najbardziej oddanym mi przyjacielem, jedynym, jakiego mam tutaj w mieście. Lecz za każdym razem odkładam tę wizytę na później ze względu na polecenia, które mam niezwłocznie wykonać. I powiedzieć, że zdaje się cieszyć wolnością dość niezwykle jak na wojskowego w służbie czynnej; zakres moich obowiązków nie jest ściśle określony, krążę pomiędzy siedzibami różnych sztabów generalnych, rzadko widuje się mnie w koszarach, jakbym nie podlegał kadrom żadnego wydziału, nie widuje się mnie też przykutego do biurka. W odróżnieniu od Valeriana, który od biurka się nie rusza. Także w dniu, kiedy do niego wpadam, znajduję go na swoim miejscu, jednakże nie wydaje się zajęty wypełnianiem służbowych obowiązków: czyści właśnie rewolwer. Na mój widok jego źle wygolony podbródek drga w szyderyczym uśmiechu. Valeriano mówi: — A więc ty też tu przyszedłeś, aby dostać się w pułapkę, razem z nami.

— Albo złapać w pułapkę innych — odpowiadam.

— Pułapki są jedna w drugiej i zatrzaskują się jednocześnie. — Wygląda na to, że chce mnie przed czymś ostrzec.

Pałac, w którym mieszczą się biura Komitetu, był rezydencją rodziny wzbogaconej na wojnie, skonfiskowaną przez rewolucję. Reszta dawnego umeblowania o prostackim przepychu tworzy dziwne połączenie z posępnym wyposażeniem urzędu. Biuro Valeriana zagraca buduarowa chińszczyzna: wazy

wymalowane w smoki, szkatuły z laki, jedwabny parawan.

— A kogo ty chcesz złapać w tej pagodzie? Jakąś wschodnią królową?

Zza parawanu wychodzi kobieta: krótkie włosy, szara jedwabna suknia, mleczne pończochy.

— Męskie sny nie zmieniają się wraz z rewolucją — mówi, a ja z nuty napastliwego sarkazmu w jej głosie rozpoznaję nieznaną spotkaną na Żelaznym Moście.

— A widzisz? Są tu uszy, które słuchają każdego naszego słowa... — śmieje się Valeriano.

— Rewolucja nie zaskarża snów, Irino Piperin — odpowiadam.

— Ani też nie chroni nas od sennych koszmarów — odcina się.

— Nie wiedziałem, że się znacie — wtrąca Valeriano.

— Spotkaliśmy się we śnie — mówię. — Spadaliśmy właśnie z mostu.

Na co ona: — Nie. Każdemu śni się co innego.

— A niektórym zdarza się obudzić w bezpiecznym miejscu, takim jak to, gdzie nie grozi zawrót głowy... — nie daję za wygraną.

— Zawrót głowy może zagrażać w każdym miejscu — po czym bierze do ręki rewolwer, który Valeriano przed chwilą nabił, otwiera go, przykładą oko do lufy, jakby chciała sprawdzić, czy została dobrze oczyszczona, obraca bębenek, wkłada nabój do jednego z otworów, wodzi kurek, przykładą broń do oka, ponownie obracając bębenek. Wydaje mi się, że stoję nad studnią bez dna. Rozlega się wołanie pustki, odczuwam pokusę, aby runąć w dół, dosięgnąć ciemności, która wzywa...

— Hej, z bronią nie ma żartów — mówię i wyciągam rękę, lecz ona wymierza we mnie rewolwer.

— A to dlaczego? — pyta. — Kobietom nie wolno, a wam wolno? Prawdziwa rewolucja dokona się wówczas, gdy broń dostaną kobiety.

— A mężczyźni zostaną bez broni? Czy wydaje ci się to słuszne, towarzysko? Na co kobietom broń?

— Aby mogły zająć wasze miejsce. My na górze, a wy na dole. Skosztujecie, jak to smakuje, kiedy jest się kobietą. Dalej, ruszaj się, przejdź na drugą stronę, stań obok swojego przyjaciela — rozkazuje, nadal mierząc do mnie z rewolweru.

— Irina jest wytrwała w swoich przekonaniach — ostrzega mnie Valeriano. — Nie warto jej się sprzeciwiać.

— A co będzie dalej? — pytam i patrzę na Valeriana oczekując, że wmiesza się, aby uciąć ten żart.

Valeriano patrzy na Irinę, lecz jego spojrzenie jest zagubione, jakby w transie, maluje się w nim całkowita uległość kogoś, kto spodziewa się doznania przyjemności tylko w poddaniu się jej woli.

Wchodzi motocyklista z Dowództwa Wojskowego z plikiem akt. Otwarte drzwi zasłaniają Irinę,

która znika. Valeriano, jak gdyby nic się nie stało, pośpiesznie załatwia sprawę.

— Ale powiedz no... — pytam, kiedy tylko możemy rozmawiać — czy według ciebie są to stosowne żarty?

— Irina nie żartuje — mówi, nie podnosząc wzroku znad papierów — sam zobaczysz.

Od tamtej chwili czas przybiera oto inną postać, noc rozrasta się, wszystkie noce zlewają się w jedno, w mieście przemierzonym przez nasz nierozłączny teraz tercet, i ich jedyna noc osiąga swój punkt kulminacyjny w pokoju Iriny, w scenie z założenia intymnej, choć popisowej i wyzywającej, w obrzędzie tajemnym i ofiarnym, którego Irina jest zarazem kapłanką i bóstwem, profanatorem i ofiarą. Opowieść podejmuje przerwany wątek, obecnie przestrzeń, którą musi pokonać, nadmiernie się wypełnia, zagęszcza, nie pozostawia nawet szczeliny na trwogę przed pustką, przenika pomiędzy zasłony w geometryczne wzory, pomiędzy poduszki, w powietrzu przesyconym zapachem naszych nagich ciał, oblega piersi Iriny ledwie zarysowane w szczupłej postaci — ciemne obwódki sutek lepiej by wyglądały na bujniejszych piersiach — atakuje wąski i spiczasty wzgórek łonowy w kształcie równoramiennego trójkąta (słowo „równoramienny” raz skojarzone z łonem Iriny nabiera ładunku takiej zmysłowości, że nie potrafię wymówić go bez szczękania zębami). Docierając do środka sceny, linie biegną wzdłuż krzywej, pokrętne niczym dym z paleniska, w którym płoną resztki wonności ocalałych z armeńskiego sklepu kolonialnego, co został splądrowany, bo niezasłużona fama palarni opium rozjuszyła tłum, żądny przywrócenia dobrych obyczajów; spowijają nas — wciąż mowa o liniach — niczym niewidoczny sznur, który trzyma nas w więzach, wszystkich troje, a im bardziej się szamoczemy, aby je zrzucić, tym mocniej sznur zacieśnia swe sploty, wrzynając nam je w ciała. Pośrodku tej gmatwaniny, w samym sercu rozgrywającego się dramatu naszego tajemnego bractwa, kryje się sekret, noszę go w sobie i nikomu nie mogę wyjawić: powierzono mi tajną misję, mam wykryć, kto jest szpiegiem, który przeniknął do Komitetu Rewolucyjnego i sprawił, że miasto ma teraz wpaść w ręce białych.

W samym środku rewolucyjnych działań, które tej wietrznej zimy, niczym poddmuchy północnego wiatru, wymiatały stołeczne ulice, rodziła się rewolucja tajemna, mająca przeobrazić właściwości ciał i płci; w to wierzyła Irina i tą wiarą zdołała natchnąć nie tylko Valeriana, bo on jako syn powiatowego sędziego, absolwent wydziału ekonomii politycznej, uczeń hinduskich mędrców i szwajcarskich teozofów utrzymywał się na pograniczu tego, co daje się wyobrazić, lecz zdołała nią natchnąć także i mnie, a przecież ja wywodziłem się ze szkoły znacznie surowszej i wiedziałem, że przyszłość rozegra się w krótkim terminie pomiędzy Trybunałem Rewolucyjnym a Wojskowym Sądem Białych, że dwa plutony egzekucyjne, z jednej i z drugiej strony, czekają z karabinami na komendę „do nogi bron”.

Starałem się wymknąć, pełzającymi ruchami dotrzeć do środka spirali, skąd linie wyslizgiwały się

niczym węże pod batutą rozluźnionych i niespokojnych członków Iriny, wijących się w powolnym tańcu, w którym ważny jest nie rytm, lecz splatanie i rozplatanie węzowych linii. Irina ujmuje w obie ręce głowy węzów, one reagują na jej uchwyt, usiłując rozpaczliwie powrócić do pozycji wyjściowej, podczas gdy ona, przeciwnie, stara się o to, aby maksimum włożonej siły przerodziło się w giętkość, którą gady osiągną poddając się nieprawdopodobnym wygięciom.

Był to bowiem pierwszy akt wiary kultu stworzonego przez Irinę: mieliśmy zrezygnować z upodobania do pozycji wertykalnej, do linii prostej, z tych resztek nieudolnie skrywanej męskiej pychy, jaka nas do koni nie opuściła, chociaż przystaliśmy na pozycję niewolników kobiety, która wykluczyła z naszych stosunków zazdrość i wszelką dominację. — Niżej — mówiła Irina, a jej ręka przygniatała potylicę głowy Valeriana, zanurzając palce w wełniste i rudawe włosy młodego ekonomisty, nie pozwalając mu unieść twarzy powyżej swojego łona. — Jeszcze niżej! — a w tym czasie patrzyła na mnie diamentowymi oczami i chciała, bym i ja na nią patrzył, by nasze spojrzenia także biegły po krętych i nieprzerwanych ścieżkach. Czułem jej uporczywy wzrok i czułem na sobie jeszcze inne spojrzenie, co śledziło mnie w każdej chwili i w każdym miejscu, owo spojrzenie niewidzialne siły oczekiwało ode mnie tylko jednego: śmierci, nieważne czyjej, czy tej, którą miałem zadać innym, czy mojej własnej.

Czekałem na chwilę, aż spojrzenie Iriny rozluźni swe pęta. Oto ona przymyka oczy, a ja pełnę pod osłoną poduszek, tapczanu i piecyka tam, gdzie Valeriano zostawił ubranie, zgodnie ze swoim zwyczajem porządnie złożone; sunę w cieniu spuszczonej rzęsy Iriny, przetrząsam kieszenie, przeszukuję portfel Valeriana, kryję się w mroku zaciśniętych powiek Iriny, w mrocznym krzyku, który wydobywa się z jej gardła, znajduję złożoną na czworo kartkę z moim nazwiskiem wypisanym stalówką pod formułą wyroku śmierci za zdradę, sygnowaną i parafowaną pod urzędowymi pieczęciami.

W tym momencie otwarto dyskusję. Wydarzenia, postacie, okoliczności, wrażenia muszą ustąpić miejsca problemom ogólnym.

- Pożądanie polimorficzno-perwersyjne... — Prawa gospodarki rynkowej...
- Homologia struktur znaczących...
- Dewiacja a instytucje... — Kastracja...

Tylko ty odczuwasz jeszcze napięcie, ty i Ludmiła, poza wami nikt już nie myśli o podjęciu dalszej lektury.

Podchodzisz do Lotarii, sięgasz ręką po rozłożone kartki, pytasz: — Można? — i starasz się zawładnąć powieścią. Ale to nie jest książka, to tylko wyrwany arkusz. A gdzie jest reszta?

- Przepraszam, szukam pozostałych stron, dalszego ciągu — mówisz.
- Dalszego ciągu?... Już nad tym można dyskutować przez cały miesiąc. Czy to ci nie wystarcza?

— Nie chodzi mi o dyskusję, ja chciałbym to przeczytać...

— Posłuchaj. Takich roboczych grup jak nasza jest wiele, a biblioteka instytutu herulo-ałtajskiego miała tylko jeden egzemplarz, podzieliliśmy go więc, podział wywołał sprzeczkę, książka rozpadła się, ale uważam, że zdobyłam najlepszy fragment.

Siedzicie przy stoliku w kawiarni, sporządzacie bilans sytuacji, ty i Ludmiła. — Podsumujmy. *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy* nie jest tożsame z *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, co z kolei nie jest powieścią *Poza osadą Malbork*, która z kolei okazuje się czymś innym niż *Jeśli zimową nocą podróżny*. Nie pozostaje nam nic innego, jak sięgnąć do źródeł całego tego zamieszania.

— Tak. Wydawnictwo sprawiło nam zawód, a zatem winne nam jest zadośćuczynienie. Musimy zwrócić się do nich.

— Czy Ahti i Viljandi są tą samą osobą?

— Przede wszystkim trzeba zapytać o *Jeśli zimową nocą podróżny*, poprosić o nie uszkodzony egzemplarz, a także o egzemplarz *Poza osadą Malbork*. To znaczy musimy poprosić o egzemplarze powieści, które zaczynaliśmy czytać w przekonaniu, że mają właściwe tytuły, a jeśli potem okaże się, że ich prawdziwe tytuły i nazwiska autorów brzmią inaczej, niech nam o tym powiedzą i wyjaśnią, jaką tajemnicę kryją w sobie te strony, które wędrują od jednej książki do drugiej.

— I tym sposobem — dodajesz — być może wpadniemy na trop, który zaprowadzi nas do powieści *Wychylając się nad brzegiem urwiska*, nieważne, czy urwanej czy też ukończonej...

— Nie mogę zaprzeczyć — mówi Ludmiła — że na wiadomość o odnalezieniu dalszego ciągu uległam chwilowemu złudzeniu.

— ... a ja niecierpliwie oczekiwałam dalszego ciągu *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy*...

— Tak, ja również, chociaż muszę przyznać, że nie jest ona typem mojej powieści idealnej...

No tak, znowu to samo. Zaledwie wydaje ci się, że jesteś na właściwym tropie, a już następuje przerwa lub nieoczekiwany zwrot; dotyczy to kolejnych lektur, zaginionych książek, ustalenia upodobań Ludmiły.

— Najchętniej przeczytałabym teraz powieść — wyjaśnia Ludmiła — której siłą motoryczną będzie sama wola opowiadania, gromadzenia anegdot. Taka książka nie będzie dążyć do narzucenia ci pewnej wizji świata, chce cię jedynie nakłonić, abys patrzył, jak ona sama się rozrasta, niczym roślina w plątaninie własnych gałęzi i liści... Jeśli o to chodzi, zgadzasz się z nią całkowicie; porzucasz stronicę rozdarte intelektualnymi analizami, marzysz, aby odnaleźć zdolność do poddania się lekturze naturalnej, niewinnej, pierwotnej...

— Trzeba odnaleźć nić, którą zgubiliśmy — mówisz. — Chodźmy od razu do wydawnictwa.

Na co ona: — Nie musimy pojawiać się tam oboje. Idź sam, potem mi opowiesz.

Ogarnia cię zniechęcenie. Te poszukiwania cię pasjonują, bo uczestniczycie w nich oboje, bo możecie je wspólnie przeżywać i wspólnie omawiać. I właśnie teraz, kiedy wydawało ci się, że pomiędzy wami wytworzyła się nić porozumienia, a nawet pewna zażyłość, i nie tylko dlatego, że także wy mówicie sobie już po imieniu, lecz czujecie się jakby współnikami w sprawie, której być może nikt inny nie potrafiłby zrozumieć.

— A dlaczego ty nie chcesz pójść?

— Dla zasady.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Istnieje pewna linia graniczna: po jednej stronie znajdują się ci, którzy wytwarzają książki, po drugiej ci, którzy je czytają. Ja chcę pozostać jedną z tych, którzy je czytają, dlatego też rozmyślnie pozostaję zawsze po tej stronie granicy. Inaczej kończy się bezinteresowna przyjemność lektury, a w każdym razie przekształca się w coś innego, co nie jest tym, czego ja oczekuję. Ta linia podziału nie biegnie zupełnie wyraźnie, ulega powoli wymazaniu: świat tych, którzy zajmują się książkami zawodowo, coraz bardziej się zaludnia i zmierza do utożsamienia się ze światem czytelników. Oczywiście, czytelników też przybywa, lecz można powiedzieć, że liczba tych, którzy korzystają z książek po to, aby wyprodukować następne książki, wzrasta szybciej niż liczba tych, którzy książki lubią czytać i basta. Wiem, że jeśli przekroczę tę granicę choćby jeden raz, przypadkiem, przy okazji, to ryzykuję, że przeniknę do tej wzbierającej fali. Dlatego też nie zamierzam postawić nogi w wydawnictwie, nawet na chwilę.

— A ja, co będzie ze mną?

— Tego nie wiem, sam musisz to rozważyć. Każdy i swój własny sposób postępowania.

Nie ma mowy, abyś skłonił tę dziewczynę do zmiany decyzji. Sam podejmiesz swoją wyprawę i spotkacie tutaj, w kawiarni, o szóstej.

— Czy przyszedł pan w sprawie rękopisu? Jest w czytaniu, nie, pomyliłem się, przeczytano go z pewnym zainteresowaniem, oczywiście, że pamiętam: bogactwo środków ekspresji, bolesne świadectwo, czy nie otrzymał pan listu? Niemniej z przykrością pana o tym zawiadamiamy, w liście wszystko zostało wyjaśnione, wysłaliśmy go już jakiś czas temu, ach, ta opieszałość poczty, z pewnością go pan otrzyma, sam pan rozumie, przeładowane plany wydawnicze, niesprzyjająca koniunktura, a, to jednak otrzymał pan list? A co w nim jeszcze było? Składając panu podziękowania za wysłanie nam rękopisu zobowiązujemy się go zwrócić, aha, to pan przyszedł odebrać rękopis? Nie, nie odnaleźliśmy go, prosimy jeszcze o trochę cierpliwości, na pewno wypłynie, proszę się nie obawiać, tutaj nigdy nic nie ginie.

Właśnie odnalazły się rękopisy, których szukamy od dziesięciu lat, ależ nie, nie za dziesięć lat, pana rękopis odnajdziemy wcześniej, przynajmniej mam nadzieję, rękopisów jest tutaj mnóstwo, całe stopy, pokażemy je panu, ależ też zrozumiałe, że pan chce odzyskać swój, a nie inny, tego by tylko brakowało, bo skoro trzymamy tu tyle rękopisów, na których nam nie zależy, to jak moglibyśmy wyrzucić pana rękopis, na którym zależy nam tak bardzo, nie, nie aby go opublikować, lecz żeby go panu zwrócić.

Te słowa wypowiada zasuszony i zgarbiony człowieczek, który zdaje się wysychać i garbić coraz bardziej za każdym razem, kiedy ktoś go wzywa, ciągnie za rękaw, przedstawia mu jakąś sprawę, wpycha mu do ręki szpalty korekty. „Doktorze Przewodni!”, „Proszę posłuchać, doktorze Przewodni!”, „Zapytajmy doktora Przewodniego!”, a on za każdym razem uważnie słucha kolejnego rozmówcy — skupione oczy, drgający podbródek, szyja wygina się, jakby miała utrzymać w stanie zawieszenia i jawności wszystkie nie rozwiązane dotąd sprawy — z wyrazem znękaney cierpliwości osób zbyt nerwowych i z ponaddźwiękową nerwowością osób zanadto cierpliwych.

Kiedy wszedłeś do lokalu wydawnictwa i przedstawiłeś woźnym sprawę wadliwie złożonych tomów powieści, które chciałbyś wymienić na tomy bez usterek, powiedzieli ci, abyś zwrócił się do Działu Handlowego, potem, gdy dodałeś, że interesuje cię nie tylko wymiana egzemplarzy, lecz także wyjaśnienie tego przypadku, skierowali cię do Działu Technicznego, a kiedy uściśliłeś, że najbardziej leży ci na sercu dalszy ciąg urwanych powieści, zawyrokowali: — W takim razie najlepiej będzie, jeśli porozmawia pan z doktorem Przewodnim. Proszę zająć miejsce w przedpokoju, obok innych gości, przyjdzie na pana kolej.

Tak oto torując sobie drogę wśród innych interesantów, słyszałeś, jak doktor Przewodni wielokrotnie rozpoczynał zdanie o zagubionym rękopisie, zwracając się za każdym razem do różnych osób, z tobą włącznie, i za każdym razem, zanim zdołał sobie zdać sprawę z nieporozumienia, zdanie to przerywali mu interesanci, bądź redaktorzy czy urzędnicy. Pojmujesz od razu, że doktor Przewodni jest tutaj osobą — a każda instytucja ma wśród swego personelu taką osobę — na której barki koledzy bezwiednie składają wszystkie najbardziej zagmatwane i drażliwe zlecenia. Kiedy właśnie zamierzasz się do niego odezwać, pojawia się ktoś, kto przynosi mu do uzupełnienia plan na najbliższe pięć lat lub indeks nazwisk, w którym trzeba zmienić paginację, albo wydanie Dostojewskiego, które nadaje się do ponownego złożenia, bo wszędzie tam, gdzie jest napisane Maria, trzeba napisać Marja, a tam gdzie wydrukowano Pjotr, trzeba poprawić na Petr. On wysłuchuje wszystkich, chociaż trapi go myśl, że uciał w połowie rozmowę z innym petentem, i kiedy tylko może, stara się udobruchać najbardziej zniecierpliwionych, zapewniając, że o nich nie zapomni, że pamięta o ich sprawie: — Wysoko oceniliśmy aurę niesamowitości... (— Jak to — podrywa się. historyk badający frakcje trockistowskie w

Nowej Zelandii.) — Być może powinien pan nieco złagodzić obrazy skatologiczne... (— Ależ o czym pan mówi? — protestuje uczony od makroekonomii oligapolii.)

Niespodziewanie doktor Przewodni znika. Korytarze wydawnictwa pełne są pułapek: krążą tu trupy teatralne ze szpitali psychiatrycznych, grupy psychoterapii grupowej, komanda feministek, doktor Przewodni na każdym kroku ryzykuje, że zostanie pojmany, otoczony, wessany.

Zjawiłeś się tutaj w momencie, kiedy wydawnictwa oblegają nie, jak to bywało dawniej, przede wszystkim kandydaci na poetów czy powieściopisarzy, aspirantki na poetki czy pisarki, lecz jest to moment (w historii kultury Zachodu), w którym autorealizacji na papierze poszukują nie tyle odrębne jednostki, ile całe zbiorowości: członkowie akademickich seminariów, grupy operacyjne, ekipy uczonych, zupełnie jakby praca intelektualna budziła uczucie takiego przygnębienia, że nie można jej już stawić czoła w pojedynkę. Postać autora stała się zbiorowa i porusza się zawsze w grupie, bo nikt nie może być upoważniony do reprezentowania kogokolwiek; oto czterej byli więźniowie, w tym jeden zbiegły, trzech byli pacjenci z pielęgniarem i z rękopisem pielęgniarza. Pojawiają się też pary, nie zawsze, lecz najczęściej są to małżeństwa, jakby życie we dwoje nie znało lepszego pokrzepienia ponad produkowanie rękopisów.

Każda z tych postaci prosiła o rozmowę z redaktorem danego działu lub ze specjalistą z danej dziedziny, lecz wszyscy trafiają w końcu do doktora Przewodniego. Wypowiedzi obfitujące w słownictwo najbardziej wyspecjalizowanych i wąskich dyscyplin i szkół filozoficznych spadają lawiną na leciwego redaktora, którego na pierwszy rzut oka określiłeś jako „człowieczka zasuszonego i zgarbionego”, nie dlatego aby był w większym stopniu człowieczkiem, i to bardziej zasuszonym i zgarbionym od wielu innych, ani też dlatego, aby słowa „człowieczek zgarbiony i zasuszony” miały charakteryzować jego sposób mówienia, lecz dlatego że zdaje się on pochodzić ze świata, w którym jeszcze... albo lepiej: zdaje się on wynurzać z kart książki, w której spotyka się jeszcze, o, właśnie tak: zdaje się on pochodzić ze świata, gdzie czytuje się jeszcze książki, w których spotyka się „człowieczków zasuszonych i zgarbionych”.

Przewodni nie daje się zbić z tropu, pozwala różnym dziedzinom przepływać po własnej łysinie, potrząsa głową i stara się ograniczyć poszczególne kwestie do aspektów wyłącznie praktycznych: — Ale czy nie mógłby pan, przepraszam, że o tym mówię, włączyć przypisów z dołu stronicy do tekstu, a tekst skondensować, a może nawet, sam pan zadecyduje, umieścić go w charakterze przypisu u dołu strony?

— Ja jestem czytelnikiem, tylko czytelnikiem, nie autorem — wyjaśniasz pośpiesznie jak ktoś, kto rzuca się na pomoc człowiekowi, który się potknął.

— Ach, tak? To świetnie, świetnie, ogromnie się cieszę! — I obdarza cię spojrzeniem, w którym naprawdę malują się wdzięczność i sympatia. — Bardzo mi przyjemnie. Prawdziwych czytelników spotykam coraz rzadziej...

Ogarnia go przyjacielski nastrój, ulega mu, zapomina o innych obowiązkach, odciąga cię na bok: — Od tylu lat pracuję w wydawnictwie... przez ręce przechodzi mi tyle książek... ale czyż mogę powiedzieć, że je czytam? Nie to nazywam czytaniem... W mojej wiosce było niewiele książek, ale ja czytałem, tak, wtedy czytałem naprawdę... Zawsze sobie obiecuję, że kiedy przejdę na emeryturę, wrócę do mojej wioski i znowu zacznę czytać, tak jak dawniej. Co pewien czas odkładam na bok jakąś książkę, przeczytam ją, kiedy będę na emeryturze, mówię sobie, ale wiem, że to będzie już co innego... Tej nocy miałem sen, byłem w mojej wiosce, w kurniku przy domu, i szukałem, szukałem czegoś w tym kurniku, w koszu, gdzie kury znoszą jajka, i co takiego znalazłem? Znalazłem książkę, jedną z tych, które czytałem jako chłopiec, popularne wydanie, postrzępione kartki, czarno-białe ryciny, pokolorowane przeze mnie kredkami... Czy pan wie? Kiedy byłem chłopcem, chowałem się w kurniku, aby czytać...

Chcesz mu wyjaśnić przyczynę swojej wizyty. Pojmuje wszystko w lot, nie pozwala ci nawet dokończyć: — A więc także i pan, także pan, pomieszone arkusze, wiemy o tym, książki, które się rozpoczynają i nie kończą, ostatnio cała produkcja wydawnicza jest w nieładzie, rozumie pan coś z tego? Bo my nie rozumiemy już nic drogi panie.

W rękach trzyma plik korekt, kładzie je ostrożnie jakby najmniejsze drgnienie mogło zakłócić kolejność drukarskich czcionek. — Wydawnictwo to delikatny organizm, szanowny panie — mówi — wystarczy, że w jakimś punkcie coś wyskoczy ze swoich zwykłych trybów, a wszędzie zapanuje nieład, pod stopami rozewrze się nam otchłań. Przepraszam, ale wie pan, na samą myśl o tym dostaję zawrotu głowy. — Po czym zamyka oczy, jakby prześladowany wizją miliardów stronic, linijek, słów, co wirują niczym drobny pyłek.

— Ależ, doktorze Przewodni, proszę się tym tak bardzo nie przejmować. — Teraz ty go pocieszasz. — Powodowała mną zwykła ciekawość czytelnika... Ale skoro nie może mi pan nic powiedzieć...

— Chętnie panu powiem to, co wiem — mówi redaktor. — Proszę posłuchać. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy w wydawnictwie pojawił się pewien młody człowiek, który podał się za tłumacza z tego, no, jak-mu-tam...

— Z polskiego?

— Nie, to nie był polski! Chodzi o język trudny, mało komu znany...

— Kimeryjski?

– Też nie, no to trochę dalej, jakże on się nazywa? Ten młody człowiek przedstawił się jako fenomenalny poliglota, nie ma wprost języka, którego by nie znał, zna nawet ten, no, cymbryjski, o, właśnie tak, cymbryjski. Przynosi nam książkę napisaną w tym języku, taką grubą powieść, obszerną, jak-jej-tam... *Podróżny*, nie *Podróżnego* napisał ten drugi, aha, już wiem: *Poza osadą Malbork*...

– Tazia Bazakbala?

– Nie, nie Bazakbala, to był *Brzeg urwiska* tego, no.

– Ahtiego?

– Brawo, tak, właśnie Ukko Ahtiego.

– Tak, ale przepraszam, czy Ukko Ahti nie jest pisarzem kimeryjskim?

– No tak, wiadomo, że przedtem Ahti był pisarzem kimeryjskim. Ale wie pan, co się wydarzyło podczas wojny i po wojnie, regulacja granic, żelazna kurtyna w każdym razie faktem jest. że tam, gdzie przedtem była Kimeria, teraz jest Cymbria, a Kimerię przesunięto nieco dalej. Tym sposobem Cymbrowie zagarnęli także literaturę kimeryjską, w ramach wojennych odszkodowań...

– Taka jest właśnie teza profesora Galliganiego, którą odpiera profesor Uzzi-Tuzzi...

– Ależ, proszę pana, sam pan rozumie, rywalizacja pomiędzy dwoma uniwersyteckimi instytutami, dwie współzawodniczące katedry, dwaj profesorowie, którzy się nie znoszą, i w tym wszystkim Uzzi-Tuzzi miałby przyznać, że arcydzieło jego języka należy czytać w języku kolegi...

– Pozostaje jeszcze fakt – nie dajesz za wygraną – że *Wychylając się nad brzegiem urwiska* jest powieścią nie dokończoną, zaledwie rozpoczętą... Widziałem oryginał...

– *Wychylając się*... Żeby teraz nie poplątał, tytuł jest podobny, ale brzmi inaczej, to coś z *Zawrotem głowy*, o właśnie tak, to *Zawrót głowy* Viljandiego.

– *Nie lękając się wichury ani zawrotu głowy* ? Proszę mi powiedzieć, czy to zostało przełożone? Wydaliście tę książkę?

– Niech pan posłucha. Wydawało nam się, że tłumacz, niejaki Hermes Marana, ma odpowiednie kwalifikacje; posyła nam oto próbkę tłumaczenia, my włączamy tytuł do planu wydawniczego, on składa nam w terminie kolejne fragmenty powieści po sto stron, inkasuje zaliczki, my posyłamy przekład do drukarni, do składania, aby nie tracić czasu... I dopiero w korekcie dostrzegamy sprzeczności, niekonsekwencje... Wzywamy Maranę, pytamy go, on się płacze, zaprzecza sam sobie... Przyciskamy go do muru, otwieramy mu przed oczami tekst oryginału i każemy mu przełożyć na żywo jakiś fragment... On wyznaje, że nie zna ani słowa z cymbryjskiego!

– A tłumaczenie, które wam złożył?

– Imiona własne zamieścił w języku cymbryjskim czy w kimeryjskim, sam już nie wiem, ale tekst

przełożył z innej powieści...

— Z jakiej powieści?

— Z jakiej powieści, pytamy go. On na to: z polskiej powieści (otóż i polska powieść) Tazia Bazakbala...

— *Poza osadą Malbork...*

— Brawo. Ale to jeszcze nie wszystko. On tak powiedział, a my znowu mu uwierzyliśmy; książka była już w druku. Zatrzymujemy wszystko, zmieniamy kartę tytułową, okładkę. Było to dla nas bardzo kłopotliwe, ale w każdym razie książka istniała, przełożona, złożona, wydrukowana, nieważne, że pod takim czy innym tytułem, pióra tego czy innego autora... Nie sądziliśmy, że cały ten proces wycofywania i wysyłania tekstu do drukarni, do introligatorni, wymiana we wszystkich egzemplarzach pierwszego arkusza z fałszywą kartą tytułową na nowe arkusze z właściwą kartą tytułową... jednym słowem, powstało takie zamieszanie, że ucierpiały na tym wszystkie nowości, które były w trakcie produkcji, całe nakłady nadawały się do odesłania na makulaturę, a egzemplarze już rozprowadzone do wycofania z księgarni...

— Jednego nie rozumiem, o której powieści pan teraz mówi? Tej o stacji kolejowej czy tej o chłopcu, który wyjeżdża z folwarku? A może...

— Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Nie opowiedziałem panu jeszcze wszystkiego. Bo tymczasem, co jest zrozumiałe, my do tego pana straciliśmy już zaufanie i chcieliśmy dla pewności porównać przekład z oryginałem. I co wychodzi na jaw? To nawet nie jest Bazakbal, lecz powieść przełożona z francuskiego, pióra mało znanego belgijskiego pisarza, Bertranda Vandervelde, zatytułowana... Chwileczkę, zaraz panu pokażę.

Przewodni oddala się, a kiedy wraca, podaje ci nieduży plik fotokopii: — Oto ona, nazywa się *Patrząc w dół, gdzie zagęszczają się cienie*. Mamy tu pierwsze strony francuskiego tekstu. Niech pan sam zobaczy i osądzi, co za oszustwo! Hermes Marana tłumaczył słowo w słowo to powieściidło niewarte dwóch groszy i kolejno wmawiał nam, że jest to książka kimeryjska, cymbryjska, polska...

Kartkujesz fotokopie i od pierwszego rzutu oka pojmujesz, że *Regarde en bas dans l'épaisseur des ombres* Bertranda Vandervelde nie ma nic wspólnego z żadną z czterech powieści, których lekturę musiałeś przerwać.

Chciałbyś od razu powiadomić o tym Przewodniego, lecz on wyciąga włączoną do pliku kartkę, którą zamierza ci pokazać: — Czy chce pan zobaczyć, co miał czelność odpowiedzieć nam Marana, kiedy zarzuciliśmy mu mistyfikację? Oto jest list... — Po czym wskazuje ci akapit, który masz przeczytać.

„Jakież znaczenie ma nazwisko autora na okładce? Przenieśmy się myślą o trzy tysiące lat w

przyszłość. Kto wie, jakie książki z naszej epoki przetrwają i czyje nazwiska będzie się wspominać. Są zapewne książki, które pozostaną sławne, lecz będą uważane za dzieła anonimowe, tak jak anonimowy jest dla nas epos o Gilgameszu; są zapewne autorzy, których nazwiska pozostaną zawsze sławne, lecz których dzieła nie przetrwają, jak zdarzyło się to Sokratesowi, a może autorstwo wszystkich ocalałych ksiązek zostanie przypisane jednemu tajemniczemu pisarzowi, jak to się stało z Homerem?”

— Widział pan, co za logika? — wykrzykuje Przewodni, a potem dodaje: — A najlepsze jest to, że być może on ma rację...

Potrząsa głową, jakby o władnęła nim jakaś myśl, to podśmiewa się, to znowu wzdycha. Może ty, Czytelniku, potrafisz odczytać tę myśl z jego czoła. Od wielu lat Przewodni opiekuje się książkami, które powstają strona po stronie, każdego dnia widzi, jak książki rodzą się i umierają, a jednak za jedyne prawdziwe nadal uważa te książki, które dawno temu zdawały się przynosić przesłania z innych światów. To samo dotyczy pisarzy: widuje ich codziennie, zna ich obsesje, ich chwiejność, drażliwość, egocentryzm, a jednak prawdziwymi pisarzami pozostają dla niego ci, którzy byli niegdyś tylko nazwiskiem na okładce, nierozzerwalnie związanym z tytułem, którzy wydawali mu się realni w takim samym stopniu, w jakim realne wydawały się postaci i miejsca wymienione w ich książkach, którzy istnieli i nie istnieli zarazem, podobnie jak istniały i nie istniały opisane przez nich postaci i krajobrazy. Pisarz był niewidocznym punktem, skąd wywodziły się książki, pustką zamieszkałą przez zjawy, podziemnym tunelem, który łączył inne światy z kurnikiem z czasów jego dzieciństwa...

Wzywają go. Przez chwilę waha się, czy ma zabrać ze sobą fotokopie, czy też może zostawić je tobie. — Proszę pamiętać, to ważny dokument, nie może się stąd wydostać, to dowód rzeczowy, może z tego wyniknąć proces o plagiat. Jeśli chce pan to przestudiować, proszę usiąść tutaj, przy tym biurku, a potem niech pan nie zapomni mi tego oddać, nawet gdybym sam nie pamiętał, biada, jeśli się zgubi...

Mógłbyś mu odpowiedzieć, że ci nie zależy, że szukasz innej książki, ale masz oto przed sobą początek nowej powieści, co nie budzi w tobie niechęci, ponadto doktor Przewodni, coraz bardziej przejęty, został ponownie wessany w wir swoich wydawniczych obowiązków, toteż nie pozostaje ci nic innego, jak zabrać się do lektury *Patrząc w dół, gdzie zagęszczają się cienie*.

Patrząc w dół, gdzie zagęszczają się cienie

Daremnie naciągałem otwór plastikowego worka, sięgał zaledwie do szyi Jojo, jego głowa zaś wystawała na zewnątrz. Można było zastosować inny sposób i wtłoczyć go do środka głową naprzód, ale to też nie rozwiązywało problemu, bo na zewnątrz zostawały wtedy nogi. Należało zgiąć mu kolana, ponieważ jednak usiłowałem pomóc sobie kopniakami, jego zeszywniałe nogi stawiały opór, a kiedy wreszcie mi się udało, nogi ugięły się wraz z workiem, co stało się jeszcze trudniejsze do przeniesienia, głowa zaś wystawała bardziej niż poprzednio.

— Kiedy wreszcie naprawdę uda mi się od ciebie uwolnić, Jojo? — przemawiałem do niego, a za każdym razem, kiedy go odwracałem, widziałem przed sobą tę tępą twarz, uwodzicielskie wąsiki, włosy posmarowane brylantyną, węzeł krawata, który wystawał z worka niczym z wycięcia puloweru, mam na myśli pulower z tych lat, kiedy on zaczął się modnie ubierać. Być może do mody z tamtych lat Jojo dorósł zbyt późno, wówczas gdy przestała ona obowiązywać gdziekolwiek, lecz on, w młodości zazdrosny o facetów tak właśnie ubranych i uczesanych, od brylantyny po czarne lakierki z aksamitnymi noskami, wygląd ten utożsamiał z powodzeniem, i kiedy wreszcie mu się powiodło, był zbyt pochłonięty swoim sukcesem, aby rozejrzeć się dokoła i spostrzec, że obecnie ci, do których chciał się upodobnić, wyglądają już zupełnie inaczej.

Brylantyną trzymała się dobrze, i nawet gdy uciskałem czaszkę Jojo, aby wepchnąć go do worka, włosy nadal przylegały do kulistego sklepienia, rozdzielając się tylko na sklezione pasemka, które odstawały wzdłuż linii łuku. Węzeł krawata przesunął się trochę, odruchowym gestem poprawiłem go, tak jakby trup z przekrzywionym krawatem miał się bardziej rzucać w oczy niż trup porządnie ubrany.

— Potrzebny jest drugi worek na głowę — powiedziała Bernadette i jeszcze raz musiałem przyznać, że ta dziewczyna wykazuje żywszą inteligencję, niż można by się tego spodziewać po jej pozycji społecznej.

Kłopot w tym, że nie mogliśmy znaleźć innego plastikowego worka dużego formatu. Był wprawdzie jeszcze jeden, od kuchennego kubła na śmieci, taki pomarańczowy woreczek, który świetnie mógłby posłużyć do schowania głowy, ale nie sposób byłoby ukryć, że chodzi o ludzkie ciało owinięte w duży worek, z głową owiniętą w worek mniejszy.

Ale niezależnie od wszystkiego, nie mogliśmy dłużej pozostawać w tej piwnicy, musieliśmy pozbyć się Jojo jeszcze przed świtem, już od dwóch godzin woziliśmy go jak żywego, w charakterze trzeciego pasażera w moim kabriolecie, i rzuciliśmy się w oczy zbyt wielu osobom. Choćby tym dwóm

policjantom na rowerze, którzy podjechali bezgłośnie, stanęli i przypatrywali się nam właśnie w chwili, gdy zamierzaliśmy wrzucić go do rzeki (most Bercy jeszcze przed minutą wydawał nam się pusty), Bernadette i ja natychmiast zaczynamy klepać go w plecy, Jojo leży na balustradzie ze zwieszonymi ramionami i głową, a ja krzyczę: — Wyrzygaj choćby i duszę, mon dieux, od razu rozjaśni ci się w głowie — i podtrzymując go, oboje zarzucamy sobie jego ręce na plecy i holujemy go do samochodu. W tej chwili gazy, które zbierają się zwykle w jelitach nieboszczyków, hałaśliwie wydobyły się na zewnątrz, dwaj gliniarze zaczęli się śmiać. Pomyślałem, że Jojo po śmierci ma zupełnie inny charakter niż za życia, gdzie podziały się jego dobre maniery ani też nie okazały się tak wspaniałomyślny, aby przyjść z pomocą dwojgu przyjaciółom, którym grozi gilotyna za to, że go zamordowali.

Zaczeliliśmy wówczas szukać plastikowego worka i kanistra z benzyną i teraz pozostało nam tylko znalezienie odpowiedniego miejsca. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale w takiej metropolii jak Paryż można stracić całe godziny na szukanie dogodnego miejsca do spalenia zwłok. — A czyż w Fontainebleau nie ma lasu? — mówię, włączając silnik, do Bernadette, która właśnie usiadła ponownie koło mnie — pokazuj mi drogę, znasz ją przecież. — Myślałem przy tym, że kiedy słońce pokryje niebo warstwą szarości, być może wrócimy do miasta w kolumnie ciężarówek z warzywami, a po Jojo pozostaną wówczas tylko zwęglone resztki, cuchnące na polanie pośród grabów, a wraz z nimi zostanie pogrzebana moja przeszłość; gdybyż, mówię, tym razem udało mi się przekonać, że wszystkie moje poprzednie wcielenia zostały spalone i zapomniane, tak jakby nigdy nie istniały. Ile już razy, kiedy spostrzegałem, że przeszłość zaczyna mi ciążyć, a zbyt wiele osób uważa, iż ma u mnie otwarty kredyt, materialny i moralny, jak na przykład sądzili rodzice dziewcząt z „Nefrytowych Ogrodów” w Makau — mówię o nich, bo nie ma nic gorszego od chińskich krewnych, których nie można się pozbyć, a przecież ja, najmuąc dziewczęta, stawiałem sprawę jasno, im i ich rodzicom, i płaciłem gotówką, byle tylko zniknęli mi wreszcie z oczu, te matki i ci ojcowie, wychudzeni, w białych pończochach, każde z bambusowym koszykiem zalatującym rybami, z tym ich wyrazem zagubienia na twarzy, jakby pochodzili z głębokiej wioski, a przecież oni wszyscy mieszkali w dzielnicy portowej — krótko mówiąc, ileż to razy, kiedy przeszłość zbyt mi ciążyła, pokładałem nadzieję w jednym szybkim cięciu: wystarczało zmienić zawód, żonę, miasto, kontynent (zmieniałem kontynenty jeden po drugim, zakreślając pełne koło), a także zwyczaje, przyjaciół, interesy, klientelę. To był błąd, spostrzegłem to zbyt późno.

Bo w ten sposób gromadziłem na własnych barkach kolejne przeszłości, pomnażałem je, i skoro jedno życie wydawało mi się zbyt zagęszczone, rozgałęzione i pogmatwane, abym zdołał udźwignąć jego ciężar, to co dopiero mówić o tylu rozmaitych żywotach, z których każdy ma swoją przeszłość, a wszystkie one nakładają się na siebie. Próżno mawiałem za każdym razem: co za ulga, nastawię licznik na

zero, wytrę do czysta tablicę, bo już nazajutrz po przybyciu do nowego kraju zero zmieniało się w wielocyfrową liczbę, tak że wkrótce nie starczało nawet rolki, tablica wypełniała się po brzegi, pojawiały się nowe postaci, miejsca, sympatie, antypatie, fałszywe kroki. Tak jak tamtej nocy, kiedy szukaliśmy odpowiedniego miejsca, aby spalić Jojo, reflektory oświetlały właśnie pnie i głązy, i wtedy Bernadette pokazała licznik: — Słuchaj, tylko mi nie mów, że jesteśmy bez benzyny. — To prawda. Z głową przepelnioną tym wszystkim, zapomniałem napełnić bak i teraz groziło nam, że utkniemy z dala od zamieszkanym terenów, z niesprawnym samochodem, w porze, kiedy stacje benzynowe są nieczynne. Na szczęście, nie wydaliśmy jeszcze Jojo na pastwę płomieni: pomyśl tylko, ugrzęźlibyśmy w niewielkiej odległości od stosu, i nawet nie można by uciec pieszo, porzucając tam tak charakterystyczny samochód. Jednym słowem, nie pozostawało nam nic innego, jak wlać do baku kanister benzyny przeznaczonej do nasączenia niebieskiego garnituru Jojo i jego jedwabnej koszuli z inicjałami, wracać niezwłocznie do miasta i szukać innego rozwiązania, aby się pozbyć trupa.

Daremnie mawiałem, że zawsze udaje mi się wydobyć z każdej zawikłanej sytuacji, nieważne, korzystnej dla mnie czy kłopotliwej. Przeszłość jest jak tasiemiec, coraz dłuższy, zwinięty w moich trzewiach, i nigdy nie traci ani jednego pierścienia, choćbym opróżniał bebechy do więziennych kubłów lub do szpitalnych nocników, w wychodkach typu angielskiego czy tureckiego, w obozowych rowach albo zwyczajnie w krzakach, rozejrzawszy się przedtem, czy nie wyskoczy skądś wąż, tak jak to się stało w Wenezueli. Przeszłości nie możesz zmienić, tak jak nie możesz sobie zmienić nazwiska, miałem już tyle paszportów wystawianych na nazwiska, których nawet nie pamiętam, a jednak zawsze nazywano mnie Ruedim Szwajcarem; gdziekolwiek poszedłem i jakkolwiek się przedstawiałem, zawsze znalazł się ktoś, kto wiedział, kim jestem i co robię, chociaż mój wygląd zmienił się bardzo z upływem lat, zwłaszcza od czasu kiedy czaszka mi wyłysiała i pożółkła niczym grejpfrut, a doszło do tego po wybuchu epidemii tyfusu na pokładzie „Stjirny”, wówczas z uwagi na przewożony towar nie mogliśmy zbliżyć się do brzegu ani nawet poprosić o pomoc drogą radiową.

Wniosek, do którego prowadzą wszystkie przeżyte perypetie, jest zatem taki, że życie jest tylko jedno, jednorodne i zwarte niczym sfilcowany koc, w którym nie sposób już wyodrębnić pojedynczych włókien. Tak że jeśli przypadkiem zdarza mi się zwrócić uwagę na byle jaki szczegół byle jakiego dnia, choćby na wizytę Cejlończyka, który chce mi sprzedać łęg nowo narodzonych krokodyli w wanience z cynkowej blachy, mogę być pewien, że nawet to drobne, nic nie znaczące zdarzenie zawiera w sobie wszystko to, co dotychczas przeżyłem, całą moją przeszłość, różne przeszłe wcielenia, które daremnie starałem się porzucić, zawiera żywoty, które w końcu sumują się w jedno globalne życie, co toczy się dalej nawet w tym miejscu, a ja postanowiłem się już stąd nie ruszać, z tego domku z wewnętrznym ogrodem,

na paryskiej hanlieu, gdzie założyłem hodowlę tropikalnych ryb, a ten spokojny handel zmusza mnie do tak ustabilizowanego trybu życia, jakiego jeszcze nigdy nie prowadziłem, bo ryb nie można zaniedbać, choćby na jeden dzień, jeśli zaś chodzi o kobiety, to w moim wieku mam prawo nie wdawać się w nowe kłopoty.

Bernadette to zupełnie inna historia: z nią, mogę powiedzieć, udało mi się doprowadzić rzeczy do końca, bez jednego błędu. Zaledwie dowiedziałem się, że Jojo powrócił do Paryża i jest na moim tropie, nie zwlekając sam ruszyłem jego śladem, i tak odkryłem Bernadette, zdołałem przeciągnąć ją na swoją stronę i razem uknuliśmy ten spisek, a on niczego nie podejrzewał. We właściwym momencie odsunąłem zasłonę i pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem — po latach, kiedy straciliśmy się z oczu — był jego duży owłosiony tyłek, poruszający się w rytmie tłoka, ściśnięty jej białymi kolanami, potem dostrzegłem starannie uczesaną potylicę na poduszce, tuż przy jej nieco pobladłej twarzy, którą ona odchyliła pod kątem prostym, abym mógł swobodnie uderzyć. Wszystko poszło szybko i gładko, on nie zdążył się odwrócić, nie rozpoznał mnie ani nie dowiedział się, kto zepsuł mu zabawę, a może nawet nie zdążył spostrzec, że przekracza granicę pomiędzy piekłem żywych a piekłem zmarłych.

Lepiej się stało, że spojrzałem mu w twarz dopiero wówczas, kiedy już nie żył. — Gra skończona, stary draniu — powiedziałem niespodziewanie głosem niemal serdecznym, podczas gdy Bernadette ubierała go starannie, nie zapominając o czarnych lakierkach z aksamitnymi noskami, bo mieliśmy go wyprowadzić, udając, że jest tak pijany, iż nie trzyma się na nogach. I wtedy pomyślałem o naszym pierwszym spotkaniu sprzed wielu lat, w Chicago, na zapleczu sklepu starej Mikoniko's, przepelnionym popiersiami Sokratesa, kiedy zrozumiałem, że dochód z odszkodowania po umyślnym podpaleniu ulokowałem w jego zardzewiałych *slot-machines* i że oboje, on i ta stara paralityczka i nimfomanka, mają mnie teraz w garści. Dzień przedtem, spoglądając z wydm na zamrożone jezioro, po raz pierwszy od lat poczułem smak wolności, a już po dwudziestu czterech godzinach przestrzeń wokół mnie ponownie się zamknęła i wszystko rozstrzygnęło się wśród cuchnących domów pomiędzy dzielnicą grecką i polską. W życiu zaznałem dziesiątków podobnych zwrotów, w tym czy w innym sensie, ale właśnie od tamtej pory starałem się wziąć na nim odwet i od tamtej pory bilans moich porażek się powiększa. Także i teraz, kiedy trupia woń przebija przez zapach jego taniej wody kolońskiej, zrozumiałem, że nasza rozgrywka nie dobiegła jeszcze końca, że Jojo po śmierci może mnie jeszcze zniszczyć, tak jak wielokrotnie niszczył mnie za życia.

Prowadzę zbyt wiele wątków jednocześnie, bo chcę, aby opowieść stwarzała wrażenie nasycenia innymi wątkami, które mógłbym rozwinąć, i być może rozwinę je, czy też, kto wie, rozwinąłem je już przy innej okazji, chcę, aby stwarzała wrażenie przestrzeni wypełnionej zdarzeniami, być może tożsamej

z czasem mojego życia, w którym można poruszać się we wszystkich kierunkach, niczym w przestrzeni, natrafiając wciąż na zdarzenia, których przytoczenie wymagałoby najpierw przytoczenia innych zdarzeń, tak aby opowieść, rozpoczynana od dowolnej chwili i od dowolnego miejsca, nie utraciła nic z bogactwa zawartego materiału. Co więcej, kiedy spoglądam z pewnej perspektywy na wszystko, co zostawiam poza głównym nurtem narracji, dostrzegam niemal las, który rozrasta się i nie przepuszcza nawet światła, taki jest gęsty, jednym słowem, dostrzegam materiał znacznie obfitszy niż ten, który tym razem wysunąłem na plan pierwszy, dlatego też nie jest wykluczone, że ten, kto podąża za moją opowieścią, czuje się trochę oszukany, widząc, jak główny nurt rzeki rozgałęzia się na wiele wąskich strumyków, do niego zaś docierają jedynie nikłe echo i słabe odbicie głównych wydarzeń; lecz nie jest też wykluczone, że taki właśnie cel stawiałem sobie zabierając się do opowiadania, bo staram się zastosować pewien zabieg właściwy sztuce narracji: przestrzegam zasady umiaru, polegającej na tym, aby nie wyczerpać wszystkiego, co mam do powiedzenia.

Co, jeśli się dobrze zastanowić, jest oznaką prawdziwie nieprzebranego, trwałego bogactwa, w tym sensie, że gdybym, założmy, miał do opowiedzenia tylko jedną historię, zabrałbym się do niej bez poczucia umiaru i w końcu zmarnowałbym ją, zbyt gorliwie starając się wydobyć jej znaczenie, natomiast kiedy mam w zanadru praktycznie niewyczerpany zasób materiału, potrafię rozporządzać nim z dystansu i bez pośpiechu, pozwalam nawet przebijać nucie znużenia, a także pozwalam sobie na luksus rozwodzenia się w drugorzędnych epizodach i nieważnych szczegółach.

Za każdym skrzypnięciem furtki — przebywam w szopie z wannami, w głębi ogrodu — zadaję sobie pytanie, do jakiej przeszłości należy osoba, która dotarła aż tutaj; może ta przeszłość należy tylko do dnia wczorajszego i do tego przedmieścia, może to tylko śmieciarz, ten niski Arab, który już w październiku rozpoczyna obchód domów z noworocznymi życzeniami, bo mówi, że grudniowe napiwki koledzy zatrzymują dla siebie, a on nie dostaje z tego ani grosza; ale równie dobrze może to być któraś z przeszłości bardziej odległych, co ścigają starego Ruedi i szturmują furtkę w Impasse: przemytnicy z Vallese, najemni mordercy z Katangi, krupierzy z kasyna w Varadero z czasów Fulgencia Batisty.

Bernadette nie ma nic wspólnego z żadnym z moich poprzednich wcieleń, nic nie wiedziała o moich starych porachunkach z Jojo, przez co musiałem pozbyć się go w ten sposób, może nawet myślała, że zrobiłem to dla niej, bo opowiedziała mi o życiu, do którego on ją zmuszał. No i, oczywiście, dla pieniędzy, zupełnie sporych chociaż nie mogłem jeszcze powiedzieć, że czuję je w kieszeni. Trzymała nas razem wspólnota interesów, Bernadette jest dziewczyną, która w lot pojmuje sytuację albo wybrniemy razem z tych tarapatów, albo żadne z nas nie wyjdzie z tego cało. Ale Bernadette z pewnością miała swój plan, dziewczyna jej pokroju, która chce sobie dać radę w życiu, musi liczyć na kogoś, kto zna swoje

obowiązki; skoro prosiła mnie, bym uwolnił ją od Jojo chciała zapewne, żebym zajął teraz jego miejsce. Podobnych historii doświadczyłem w przeszłości aż nazbyt wiele i żadna nie skończyła się dobrze, dlatego też wycofałem się z interesu i nie zamierzam do tego powracać.

I tak, kiedy mieliśmy rozpocząć naszą nocną wędrowkę — on zapięty na ostatni guzik i posadzony na tylnym siedzeniu kabrioletu, ona z przodu u mojego boku, z ręką wyciągniętą do tyłu, aby utrzymać go w tej samej pozycji — kiedy miałem już ruszać, ona przerzuca oto lewą nogę nad dźwignią zmiany biegów i kładzie ją okrakiem na mojej prawej nodze. — Bernadette! — krzyczę — co robisz? Czy myślisz, że to właściwy moment? — A ona tłumaczy mi, że kiedy wpadłem do pokoju, przerwałem jej w chwili, w której nie należało jej przerywać i, nieważne, z jednym czy z drugim, ona musi, powrócić do tego samego punktu i doprowadzić rzecz do końca. Póki co, jedną ręką podtrzymuje trupa, a drugą rozpina mnie. wszyscy troje siedzimy ściśnięci w tym małym samochodzie na publicznym parkingu przy Faubourg Saint-Antoine. Wywijając nogami w harmonijnej — muszę przyznać — płataninie, dosiada mnie na jeźdźca i niemal przygniata piersią, spadając na mnie jak lawina. Jojo tymczasem zwała się na nas, lecz ona pilnowała, żeby go odpychać, z twarzą tuż przy twarzy trupa, który patrzył na nią białkami wywróconych oczu. Jeśli o mnie chodzi, to wzięty przez zaskoczenie, moje reakcje fizyczne pracowały na własny rachunek, poddając się posłusznie jej woli, a nie mojemu przerażeniu, ja nie musiałem się nawet ruszać, bo ona sama o to zadbała; to więc wtedy zrozumiałem, że to, co robimy, jest ceremonią, do której ona przywiązuje szczególną wagę, tam, pod okiem zmarłego, i poczułem, jak zaciska się miękki kurczowy uchwyt i nie mogłem mu się wymknąć. „Myślisz się, mała — miałem ochotę jej powiedzieć — ten trup jest trupem z powodu innej historii, nie twojej, z powodu historii, która nie została jeszcze zamknięta.” Miałem ochotę jej powiedzieć, że pomiędzy mną a Jojo była inna kobieta, w tamtej nie zamkniętej jeszcze historii, a ja stale przeskakuję od jednej historii do drugiej właśnie dlatego, że wciąż krążę wokół tamtej historii, i uciekam, jak w pierwszym dniu, kiedy dowiedziałem się, że ta kobieta i Jojo dogadali się, żeby mnie zniszczyć. Opowiem tę historię prędzej czy później, ale opowiem ją w kontekście innych historii, nie przydając jej większego znaczenia niż pozostałym, nie wkładając w nią żadnej szczególnej namiętności, która byłaby czymś więcej niż przyjemnością opowiadania i wspomnienia, bo wspomnianie zła może także stać się przyjemnością, wówczas kiedy zło kojarzy się, nie powiem, że z dobrem, ale z tym, co jest ożywione, zmienne, niespokojne, krótko mówiąc, z tym, co mogę nazwać nawet dobrem, a co jest przyjemnością spoglądania na rzeczy z dystansu i opowiadania o nich tak, jak opowiada się o rzeczach minionych.

— Ta historia też będzie niezła do opowiadania, kiedy będziemy to już mieli poza sobą — mówiłem Bernadette jadąc windą z Jojo w plastikowym worku. Zamierzaliśmy zrzucić go z tarasu

ostatniego piętra na ciasne podwórko, a ktokolwiek znajdzie go tam następnego dnia, pomyśli o samobójstwie lub o potknięciu się w czasie napadu rabunkowego. A jeśli ktoś wejdzie do windy na jednym z pośrednich pięter i zobaczy nas z tym workiem? Wtedy powiem, że wciągnięto windę, kiedy zwoziłem na dół śmieci. Istotnie, niewiele brakowało do świtu.

— Umiesz przewidzieć wszystkie możliwe sytuacje — mówi Bernadette. A jak inaczej dałbym sobie radę, mam ochotę jej powiedzieć, kiedy całymi latami musiałem mieć się na baczności przed bandą Jojo, który ma swoich ludzi we wszystkich dużych ośrodkach przemytu? Ale wtedy musiałbym jej wyjaśnić wszystkie pozakulisowe sprawy moich powiązań z Jojo i z tą drugą kobietą, oboje nigdy nie przestali żądać, abym odzyskał dla nich towar, który, jak twierdzą, stracili z mojej winy, oboje ponownie chcieli założyć mi na szyję łańcuch szantażu, przez co jeszcze dzisiaj muszę spędzać noc na szukaniu schronienia dla starego kumpla w plastikowym worku.

Kiedy pojawił się Cejlończyk, też myślałem, że coś się za tym kryje. — Nie biorę krokodyli, jeune homme — powiedziałem. — Idź do ogrodu zoologicznego, ja zamawiam inny towar, zaopatruję sklepy w śródmieściu i domowe akwaria, sprzedaję egzotyczne ryby, co najwyżej żółwie. Od czasu do czasu ktoś pyta o iguany, ale ja ich nie mam, są zbyt delikatne.

Chłopak, miał może osiemnaście lat, wciąż jeszcze tam stał, a jego brwi i wąsy wyglądały jak czarny puch na skórze pomarańczy.

— Kto cię do mnie przysłał? Bardzo mnie to ciekawi — zapytałem, bo kiedy w grę wchodzi Południowo-Wschodnia Azja, zawsze staję się podejrzliwy i mam swoje powody do zachowania ostrożności.

— Mademoiselle Sybille — mówi.

— A co wspólnego ma moja córka z krokodylami? — wykrzykuję, bo od pewnego czasu ona wprawdzie żyje na własny rachunek, ale za każdym razem, kiedy o niej słyszę, odczuwam niepokój. Nie wiem dlaczego, myśl o dzieciach zawsze wywoływała we mnie coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

I tym sposobem dowiaduję się, że w jakiejś boite przy Place Clichy Sybille odstawia numer z kajmanami. Z miejsca rzecz robi na mnie tak paskudne wrażenie, że nie pytam o szczegóły. Wiedziałem, że ona pracuje w nocnych lokalach, ale publiczne występy z krokodylem wydają mi się ostatnią rzeczą, jakiej ojciec może sobie życzyć dla jedynej córki, przynajmniej taki ojciec jak ja, który otrzymał protestanckie wychowanie.

— A jak się nazywa ten miły lokal? — pytam zupełnie zsiniały. — Naprawdę chciałbym na to rzucić okiem.

Wyciąga do mnie kartonik z reklamówką, a ja natychmiast czuję, że oblewa mnie zimny pot, bo ta

nazwa, „Nowa Tytania”, brzmi znajomo, zbyt znajomo, nawet jeśli te wspomnienia sięgają innej części globu.

— A kto nim zarządza? — pytam. — Tak, kto jest dyrektorem, właścicielem?

— Aha, chodzi panu o Madame Tatarescu... — i podnosi z ziemi kadełko z cynkowej blachy, żeby zabrać swoją hodowlę.

Wpatrywałem się w tę plataninę zielonych łusek, łap, ogonów, rozwartych paszcz i czułem się tak, jakby mnie zdzielono kijem po głowie, w uszach rozbrzmiewał mi tylko głuchy szum, huk, odgłos trąb z tamtego świata, zaledwie usłyszałem imię tej kobiety, spod której niszczycielskiego wpływu zdołałem wyrwać Sybillę, zacierając ślady poprzez dwa oceany, budując dla siebie i dla dziewczyny życie spokojne i ciche. Wszystko daremnie: Włada dopadła swoją córkę i dzięki Sybille miała mnie teraz w ręku, z tą tylko jej właściwą zdolnością rozbudzania we mnie straszliwej odrazy i najbardziej mrocznej namiętności. I oto teraz przesyła mi wiadomość, po której mogę ją rozpoznać; to kłębowisko gadów ma mi przypomnieć, że zło jest dla niej jedynym liczącym się żywiołem, że świat jest studnią z krokodylami, której nie zdołam się wymknąć.

W ten sam sposób patrzyłem, wychylony z tarasu, w głąb tego plugawego podwórka. Niebo już się rozjaśniało, lecz tam w dole panował jeszcze gęsty mrok i ledwie mogłem rozróżnić tę bezkształtną plamę, w którą zmienił się Jojo po tym, jak runął w przepaść, z połami marynarki rozwiniętymi niby skrzydła, i roztrzaskał sobie kości z hukiem podobnym do huku z broni palnej.

Plastikowa torba została mi w ręku. Mogliśmy ją tam porzucić, lecz Bernadette bała się, że po znalezieniu jej mogliby odtworzyć fakty, toteż lepiej będzie zabrać ją ze sobą, aby zatrzeć ślady.

Na parterze przed windą stało trzech mężczyzn z rękami w kieszeniach.

— Cześć, Bernadette. Na co ona: — Cześć.

Nie podobało mi się to, że ich zna, tym bardziej że ich sposób ubierania się, chociaż znacznie modniejszy od stylu Jojo, wydał mi się dziwnie znajomy.

— Co tam masz w tym worku? Pokaż no — mówi najwyższy z nich.

— Zobacz, jest pusty — odpowiadam, zupełnie spokojnie. Wkłada rękę do środka. — A co to takiego? — Wyciąga z worka czarny lakierowany but z aksamitnym noskiem.

VI

Fotokopie na tym się urywają, ale tobie zależy już tylko na podjęciu dalszej lektury. Gdzieś przecież musi znajdować się kompletny egzemplarz, twój wzrok błądzi dokoła, lecz natychmiast się zniechęca; w tym biurze książki istnieją w postaci surowców, części zamiennych, przekładni do zamontowania i rozmontowania. Teraz rozumiesz odmowę Ludmiły, ciebie też ogarnia lęk, że przeszedłeś na „drugą stronę” i utraciłeś uprzywilejowaną pozycję, dostępną tylko czytelnikowi, utraciłeś możliwość uznania tego, co zostało napisane, za rzecz skończoną i ostateczną, w której nie ma nic do dodania ani do ujęcia. Ale pociesza cię ufność, z jaką Przewodni nadal wierzy w możliwość podjęcia naiwnej lektury, nawet w tym miejscu.

Stary redaktor wynurza się oto ponownie spomiędzy oszklonych drzwi. Chwyć go za rękaw, powiedz, że chcesz przeczytać dalszy ciąg powieści *Spójrz w dół, gdzie zagęszczają się cienie*.

— Ha, kto wie, gdzie się podziała... Wszystkie papiery ze sprawy Marany przepadły. Jego maszynopisy, teksty oryginałów, cymbryjski, polski, francuski. Przepadł on, przepadło wszystko, z dnia na dzień.

— I nic więcej nie wiadomo?

— Tak, on do nas pisał... Otrzymaliśmy sporo listów... Historie nie z tej ziemi... Nawet panu nie opowiem, bo nie potrafię się w tym połapać. Trzeba by poświęcić wiele godzin na przeczytanie całej korespondencji.

— Czy mógłbym rzucić na nią okiem?

Widząc, że jesteś zdecydowany brnąć do końca, Przewodni zezwala, aby dostarczono ci z archiwum dossier „dr Marana Hermes”.

— Czy ma pan trochę czasu? Dobrze, proszę tu czytać. Potem powie mi pan, co pan o tym sądzi. Kto wie, może pan coś z tego zrozumie.

Marana pisze do Przewodniego zawsze z przyczyny praktycznych: usprawiedliwia spóźnienie w nadesłaniu przekładów, domaga się wypłaty zaliczki, sygnalizuje zagraniczne nowości wydawnicze, których nie należy pominąć. Ale wśród tych zwykłych spraw urzędowej korespondencji pojawiają się aluzje do intryg, spisków, tajemnic, i Marana, chcąc wyjaśnić te aluzje bądź też wyjaśnić, dlaczego nie mówi o nich w sposób wyczerpujący, oddaje się fabulacjom coraz bardziej szalonym i zagmatwanym.

Listy noszą znaki stempli miejscowości rozrzuconych na pięciu kontynentach, choć jak się

wydaje, nigdy nie bywają powierzane bezpośrednio urzędom pocztowym, lecz okazijnym posłańcom, którzy wrzucają je do skrzynki gdzie indziej, dlatego też znaczki na kopercie nie pochodzą z kraju nadania przesyłki. Chronologia też nie jest pewna, w niektórych listach pojawiają się odniesienia do wcześniejszych przesyłek, które jednakże okazują się napisane później; inne listy zawierają obietnice dalszych wyjaśnień, które tymczasem znajdują się na stronicach opatrzonych datą o tydzień wcześniejszą.

„Cerro Negro”, nazwa — jak się wydaje — wioski zagubionej gdzieś w Ameryce Południowej, widnieje na stemplach ostatnich listów, lecz tego, gdzie ona się znajduje, czy jest zawieszona w Andach, czy też zaszyta w puszczech nad Orinoko, nie sposób dociec ze sprzecznych wzmianek o krajobrazie. To, co masz przed oczami, wygląda na zwykły urzędowy list, ale jak, do diabła, mogło się tam daleko znaleźć wydawnictwo publikujące w języku kimeryjskim? I jakim cudem, skoro te publikacje przeznaczone są dla wąskiego kręgu kimeryjskich emigrantów obu Ameryk, mogą oni wydawać kimeryjskie przekłady „ostatnich bestsellerów” najbardziej cenionych autorów, na które posiadają „prawo wyłączności w skali światowej”, także w języku oryginalnym autora? Faktem jest, że Hermes Marana, który jak się zdaje, został ich menadżerem, proponuje Przewodniemu opcję na długo oczekiwaną powieść słynnego irlandzkiego pisarza, Silasa Flannery'ego, zatytułowaną *W sieci zbiegających się linii*.

Następny list, również z Cerro Negro, utrzymany jest natomiast w tonie objawienia: przywołując, jak się zdaje, miejscową legendę. Marana mówi o sędziwym Indianinie, nazywanym „Ojcem Opowieści”, żyjącym od niepamiętnych czasów, ślepym i niepiśmiennym, który nieprzerwanie opowiada historie rozgrywające się w krajach i czasach zupełnie mu nie znanych. Zjawisko to przyciągnęło na miejsce ekspedycje antropologów i parapsychologów. Ustalono, że wiele książek sławnych pisarzy zostało wyrecytowanych słowo w słowo ochryplym głosem „Ojca Opowieści” parę lat przed ich publikacją. Sędziwy Indianin miałby być według jednych uniwersalnym źródłem materii narracyjnej, pierwotną magmą, z której wywodzi się indywidualna twórczość każdego pisarza; według innych jest on jasnowidzem, który dzięki spożywaniu halucynogennych grzybów potrafi nawiązać kontakt z wewnętrznym światem największych wizjonerów i przechwycić ich fale psychiczne; według jeszcze innych byłby on powtórny wcieleniem Homera jak również autora *Księgi tysiąca i jednej nocy*, autora *Popol Vuh*, a także wcieleniem Aleksandra Dumasa i Jamesa Joyce'a. Lecz niektórzy sprzeciwiają się temu, twierdząc, że Homer nie musi uciekać się do metempsychozy, ponieważ nigdy nie umarł, żył i tworzył na przestrzeni tysiącleci, byłby zatem autorem — poza dwoma eposami, które mu się zwykle przypisuje — większości najśłynniejszych spisanych opowieści. Hermes Marana przysuwa mikrofon do wylotu groty, w której ukrywa się starzec...

Lecz według poprzedniego listu, tego z Nowego Jorku pochodzenie owych nie publikowanych

dotąd utworów proponowanych przez Maranę, wydaje się zupełnie inne:

„Siedziba OEPHLW, jak Pan widzi po nagłówku pisma, mieści się w starej dzielnicy przy Wall Street. Od kiedy świat interesów opuścił te dostojne budynki, ich ceremonialny wygląd wzorowany na angielskich bankach stał się jak nigdy dotąd złowieszczy. Naciskam domofon. — Mówi Hermes. Przynoszę wam początek powieści Flannery'ego. — Czekali na mnie już od dłuższego czasu, od chwili kiedy zatelefonowałem ze Szwajcarii z wiadomością, że udało mi się przekonać starego autora thrillerów, by powierzył mi początek powieści, której sam nie jest w stanie dalej pisać, a którą nasze odpowiednio zaprogramowane komputery potrafią dokończyć, rozwinąć wszystkie elementy tekstu, wiernie odtworzyć struktury stylistyczne i tematyczne autora.”

Przewiezienie tych stron do Nowego Jorku nie było łatwe, jeśli dać wiarę temu, co pisze Marana z jednej ze stolic Czarnej Afryki, posłuszny swojej awanturniczej weni:

„... Posuwaliśmy się obaj naprzód: samolot pogrążony w kędzierzawym kremie z chmur, ja zaś w lekturze nie publikowanej książki Silasa Flannery'ego *W sieci zbiegających się linii*. Ten cenny rękopis, pożądany przez międzynarodowy przemysł wydawniczy, udało mi się wykraść autorowi. I oto czuję, jak wylot lufy krótkiego karabinu opiera się o zausznik moich okularów.

Samolotem zawładnęło komando uzbrojonych młodzieńców. Roznosi się nieprzyjemna woń potu. Szybko zdaję sobie sprawę z tego, że głównym celem jest porwanie mojego rękopisu. To z pewnością chłopcy z RAW-u, ale ostatnio rekrutowani członkowie są mi zupełnie nie znani: poważne, zarośnięte twarze, zarozumiałe miny nie są rysami na tyle charakterystycznymi, aby pozwoliły mi rozpoznać przynależność do jednego z dwu ugrupowań ruchu.

... Nie będę rozwodził się nad szczegółami dramatycznej wędrówki naszego samolotu, który zmieniał wciąż kurs, odbijany niczym piłka od jednej wieży kontrolnej do drugiej, bo żadne lotnisko nie kwapiło się nas przyjąć. Wreszcie prezydent Butamatari, dyktator o zainteresowaniach humanistycznych, pozwolił, aby nasz odrzutowiec, niemal już pozbawiony paliwa, wylądował na wyboistych pasach lotniska, ginących w buszu, po czym podjął się roli mediatora pomiędzy komandem ekstremistów a przerażonymi kancelariami wielkich mocarstw. Naszym zakładnikom dni dłużą się, jałowe i rozlazłe pod wiatą z blachy cynkowej, w pustynnym pyłe. Sinawe sępy dziobią ziemię, wyciągają z piachu dżdżownice.”

Pomiędzy Marana a porywaczami istnieje pewna więź, wynika to jasno ze sposobu, w jaki on ich strofuje, zaledwie stają twarzą w twarz:

„— Wracajcie do domu, gołąbeczki, i powiedzcie szefowi, aby następnym razem wysłał bystrzejszych wywiadowców, jeśli chce uzupełnić swoją bibliografię... — Patrzą na mnie, zbici z tropu, z

odrętwieniem zaskoczonych siepaczy. Ta sekta oddana kultowi i poszukiwaniom tajemnych ksiąg wpadła w ręce chłopców, którzy mają niewielkie wyobrażenie o swoim posłannictwie. — A kim ty jesteś? — pytają mnie. Zaledwie słyszą moje imię, sztywnieją. Ci nowicjusze Ruchu nie zdołali poznać mnie osobiście i znają tylko oszczerstwa puszczone w obieg po moim wydaleniu: Marana to podwójny lub potrójny czy nawet poczwórny agent na służbie u Bóg wie kogo i czego. Żaden z nich nie wie, że Ruch Wyzwolenia Apokryfu, przeze mnie utworzony, miał znaczenie, dopóki mój autorytet chronił go przed wpływami mało wiarygodnych guru. — Wzięłeś nas za tych z Wing of Light, przyznaj się... — mówią mi. — Żebyś wiedział, z kim masz do czynienia: my jesteśmy z Wing of Shadow i nie wpadniemy w twoje sieci! — Właśnie to chciałem wiedzieć. Uśmiecham się tylko i wzruszam ramionami. Wing of Shadow czy Wing of Light, dla jednych i dla drugich jestem zdrajcą do usunięcia, ale tutaj nic nie mogą mi zrobić, bo prezydent Butariatari, który zagwarantował im prawo do azylu, wziął mnie pod opiekę...”

Ale dlaczego porywacze z RAW-u chcieli zagarnąć ten rękopis. Przebiegasz wzrokiem kartki szukając wyjaśnienia, lecz przede wszystkim znajdujesz przechwałki Marany, który sobie przypisuje zasługę zawarcia dyplomatycznej ugody; zgodnie z jej regułami Butamatari, po rozbrojeniu komanda i zagarnięciu rękopisu Flannery’ego, gwarantuje autorowi zwrot dzieła, żądając w zamian, aby pisarz zobowiązał się stworzyć powieść dynastyczną, która usprawiedliwi przyjęcie przez lidera cesarskiej korony, a także uzasadni jego roszczenia do terytoriów ościennych.

„To ja zaproponowałem formułę ugody i ja prowadziłem rokowania. Od chwili, kiedy przedstawiłem się jako pełnomocnik agencji «Merkury i Muzy», wyspecjalizowanej w wykorzystywaniu dzieł literackich i filozoficznych do celów reklamy, sprawa przybrała właściwy obrót. Po zaskarżeniu sobie zaufania afrykańskiego dyktatora, a także po odzyskaniu zaufania celtyckiego pisarza (wykradając jego rękopis, udaremniłem plany porwania manuskryptu ze strony rozmaitych tajnych organizacji), z łatwością skłoniłem obie strony do podpisania korzystnego dla każdej z nich kontraktu...”

Wcześniejszy list, datowany z Lichtensteinu, pozwala odtworzyć prolog stosunków pomiędzy Flannerym a Maraną: „Proszę nie dawać wiary pogłoskom, jakoby to alpejskie księstwo miało gościć jedynie siedzibę administracyjną i fiskalną anonimowej spółki, która posiada copyright i podpisuje kontrakty płodnego autora bestsellerów, a jeśli o niego samego chodzi, to nikt nie wie, gdzie on przebywa ani też czy istnieje naprawdę... Muszę przyznać, że moje pierwsze spotkania — sekretarze, którzy odsyłali mnie do pełnomocników, a ci z kolei do agentów reklamowych — zdawały się potwierdzać Pańskie informacje... Anonimowa spółka, która czerpie zyski z nieskończonej produkcji zwerbalizowanych przez starego pisarza zbrodni i miłosnych uścisków, posiada strukturę prężnego handlowego banku. Lecz wewnątrz panowała atmosfera przygnębienia i paniki, jak w przededniu krachu...”

Wkrótce odkryłem przyczyny: od paru miesięcy Flannery przeżywa kryzys, nie pisze już ani linijki, liczne rozpoczęte powieści, za które otrzymał zaliczki od wydawców z całego świata, wciągając w to międzynarodową finansjerę, powieści, gdzie marki spożywanych przez bohaterów napojów, odwiedzane miejscowości turystyczne, modele haute-couture, meble, gadgety zagwarantowane zostały w kontraktach sporządzonych przez wyspecjalizowane agencje reklamowe — otóż te powieści są nadal nie dokończone, na łasce i niełasce nagłego i niewytłumaczalnego duchowego kryzysu pisarza. Ekipa pisarzy-murzynów, wprawnych w podrabianiu wszelkich niuansów i manieryzmów mistrza, czeka w pogotowiu, aby zatuszować potknięcia, wykończyć i uzupełnić teksty nie dopracowane, tak aby żaden czytelnik nie zdołał odróżnić fragmentów skreślonych tą czy inną ręką... (Jak się zdaje, ich wkład ma niebagatelny udział w ostatnich dziełach znanego autora.) Obecnie jednak Flannery każe wszystkim czekać, przesuwa terminy, zapowiada zmianę planów, obiecuje rychłe podjęcie pracy, odrzuca propozycje pomocy. Według pogłosek najbardziej pesymistycznych, zaczął prowadzić dziennik, księgę własnych przemyśleń, gdzie nic się nigdy nie dzieje, jest to wyłącznie zapis jego stanów duchowych oraz opisy krajobrazu, który on godzinami obserwuje z balkonu przez lunetę...” W tonie bardziej euforycznym utrzymany jest list, który w parę dni później Marana wysyła ze Szwajcarii: „Proszę odnotować, że tam, gdzie wszyscy zawodzą, Hermes Marana daje sobie radę! Udało mi się rozmawiać z Flannerym osobiście: stał na tarasie swojego górskiego domku, podlewając doniczkowe cynie. To schludny i spokojny staruszek, uprzejmy w sposobie bycia, dopóki nie daje się ponieść nerwom... Mógłbym Panu podać o nim wiele informacji, cennych dla działalności waszego wydawnictwa, i uczynię to, zaledwie otrzymam dowód zainteresowania z waszej strony, teleksem do banku na numer mojego konta, który niniejszym podaję...”

Powody, które skłoniły Maranę do odwiedzenia starego pisarza, nie wynikają jasno z całości korespondencji; po trosze wydaje się, że przedstawił się on jako pełnomocnik OEPHLW z Nowego Jorku (Organizacji na rzecz Produkcji Elektronicznej Homogenicznych Dzieł Literackich), proponując pisarzowi pomoc techniczną przy ukończeniu powieści („Flannery zbladł, zadrżał, przycisnął rękopis do piersi. — Nie, tylko nie to — powiedział — nigdy na to nie pozwolę...”); po trosze zjawił się tam dla ochrony praw autorskich belgijskiego pisarza Bertranda Vandervelde, na którym Flannery popełnił bezwstydną plagiat... Lecz biorąc pod uwagę jeszcze i to, co Marana napisał do Przewodnego, prosząc go o nawiązanie kontaktu z nieosiągalnym pisarzem, chodziło prawdopodobnie o to, aby podsunąć autorowi jako tło do kulminacyjnych scen następnej jego powieści, *W sieci zbiegających się linii*, wyspę na Oceanie Indyjskim, „której plaże koloru ochry odcinają się od kobaltowego bezkresu”. Propozycja ta złożona została w imieniu mediolańskiej firmy inwestującej w nieruchomości, z uwagi na zamierzoną w

najbliższym terminie parcelację wyspy, na której powstać ma sieć bungalowów, ze sprzedażą prowadzoną ratalnie i korespondencyjnie.

Obowiązki Marany w tej firmie zdają się dotyczyć „sfery kształtowania opinii publicznej w kwestii rozwoju Krajów Rozwijających się, ze szczególnym naciskiem na ruchy rewolucyjne przed i po przejściu władzy, tak aby zapewnić sobie zezwolenie na budowę niezależnie od zmian reżimu”. W takim charakterze Marana odbył swoją pierwszą misję do sułtaniku nad Zatoką Perską, gdzie miał wynegocjować umowę na wybudowanie wieżowca. Ta niespodziewana okoliczność, związana z jego pracą tłumacza, otworzyła mu drzwi zazwyczaj zamknięte przed każdym Europejczykiem... „Ostatnią małżonką sułtana jest nasza rodaczka, kobieta o temperamentie zmysłowym i niespokojnym, cierpiąca z powodu odosobnienia, na które skazują ją zmiana szerokości geograficznej, miejscowe obyczaje i dworska etykieta. Na duchu podtrzymuje ją tylko nienasycona namiętność do czytania...”

Zmuszona przerwać lekturę powieści *Spójrz w dół gdzie zagęszczają się cienie* z powodu wadliwie zszytego egzemplarza, młoda sułtanka napisała do tłumacza list z wyrazami oburzenia. Marana pośpieszył do Arabii. „Zakwefiona starucha o zaropiałych oczach dała mi znak, abym za nią podążył. W zamkniętym ogrodzie, pomiędzy drzew bergamoty, lirogonów i strumyków, naprzeciw wyszła mi ona, otulona w szatę koloru indygo, na twarzy miała welon z zielonego jedwabiu, nakrapiany białym złotem, na czole sznurek koralików...”

Chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej o tej sułtance. Twoje oczy niespokojnie przebiegają cienkie kartki lotniczego papieru, jak gdybyś spodziewał się, że lada chwila ją ujrzysz... Chociaż, jak się wydaje, także Maranę pobudza do zapełniania stron to samo pragnienie, on ją tropi, a ona mu się wymyka... Z każdym listem opowieść coraz bardziej się gmatwa. Pisząc do Przewodnego „z okazałej rezydencji na skraju pustyni”, Marana stara się usprawiedliwić swoje nagłe zniknięcie, opowiada, że został zmuszony przemocą (a może raczej przekonany kuszącym kontraktem?) przez wysłanników sułtana do przeprowadzki, aby tutaj kontynuować swoją wcześniejszą pracę... Małżonce sułtana nigdy nie może zabraknąć książek, których zapragnie: taka jest treść specjalnej klauzuli do ślubnego kontraktu, warunek, jaki narzeczona postawiła dostojnemu konkurentowi, zanim wyraziła zgodę na ślub... Po harmonijnym zakończeniu miodowego miesiąca, kiedy to młoda monarchini otrzymywała nowości z najpoważniejszych literatur zachodnich w językach oryginałów, w których biegle czyta, sytuacja stała się drażliwa... Sułtan obawia się, jak się zdaje, nie bez racji, rewolucyjnego spisku. Jego tajne służby wykryły, że spiskowcy otrzymują poufne informacje zaszyfrowane na stronach zadrukowanych naszym alfabetem. Od tamtej chwili sułtan wydał dekret w sprawie embarga i konfiskaty wszystkich zachodnich książek na swoim terytorium. Zawieszeniu uległy także dostawy do prywatnej biblioteki małżonki. Wrodzona

nieufność, wzmożona, jak się zdaje, konkretnymi poszlakami, każe sułtanowi podejrzewać własną żonę o bierną zмовę z rewolucjonistami. Jednakże niedopełnienie słynnej klauzuli do ślubnego kontraktu doprowadziłoby do zerwania małżeństwa, co byłoby bardzo niekorzystne dla panującej dynastii, czym pani nie omieszkła zagrozić w przystępie ataku złości, kiedy strażnicy wyrwali jej z ręki zaledwie rozpoczętą powieść, właśnie pióra Bertranda Vandervelde...

Otóż wówczas tajne służby sułtanatu zdobyły informację, że Hermes Marana przekłada tę powieść na języki ojczysty ich pani, i skłoniły tłumacza przekonującymi argumentami różnego typu, aby przeniósł się do Arabii. Regularnie każdego wieczoru sułtanka otrzymuje ustaloną porcję powieściowej prozy, już nie w wydaniu oryginalnym, lecz w maszynopisie, prosto z rąk tłumacza. Gdyby zakodowaną informację ukryto w sekwencji słów lub liter, nie sposób byłoby jej już odtworzyć...

„Sułtan kazał mnie wezwać i zapytał, ile stron zostało mi jeszcze do przetłumaczenia. Zrozumiałem, że w swych podejrzeniach o niewierność polityczno-mażeńską najbardziej obawia się chwili, gdy po zakończeniu lektury opadnie napięcie, kiedy jego małżonka znowu odczuje nieznośny ciężar swojego położenia. On wie, że spiskowcy czekają na znak sułtanki. aby zapalić lont, lecz ona wydała rozkaz, by jej nie przeszkadzano, dopóki czyta, nawet gdyby pałac miał wylecieć w powietrze... Ja także mam powody, aby obawiać się tej chwili, która dla mnie mogłaby oznaczać utratę przywilejów na dworze...”

Dlatego też Marana podsuwa sułtanowi podstęp, odwołując się do tradycji literackiej Wschodu: otóż przerwie on tłumaczenie w najbardziej pasjonującym miejscu i zacznie tłumaczyć inną powieść, włączając ją pod byle pretekstem w pierwszą. Na przykład, bohater pierwszej powieści otwiera książkę i zaczyna czytać... Ta druga powieść też się urywa i ustępuje miejsca trzeciej, która wkrótce schodzi z drogi czwartej i tak dalej...

Miotają tobą mieszane uczucia, kiedy przeglądasz te listy. Książka, której dalszy ciąg smakowałeś już w myśli, choćby za pośrednictwem kogoś innego, znowu się urywa... Hermes Marana zdaje ci się wężem, który wsącza jad w rajski świat lektury... Zamiast indiańskiego jasnowidza, który opowiada wszystkie powieści świata, pojawia się oto powieść-pułapka, zmajstrowana przez zdraдлиwego tłumacza, i zawiera początki innych powieści, które zostają w zawieszeniu... Podobnie jak w zawieszeniu pozostaje bunt, podczas gdy spiskowcy daremnie starają się porozumieć ze swoją dostojną współniczką, a czas ciąży nieruchomo nad płaskim wybrzeżem Arabii... Czytasz czy fantazjujesz? Czy tak bardzo przejmujesz się zmyśleniami jakiegoś grafomana? A może ty także marzysz o sułtance z krainy ropy? Czy pozazdrościłeś losu dostawcy powieści do serajów Arabii? Czy chciałbyś zająć jego miejsce, stworzyć tę wyjątkową więź, tę wspólnotę wewnętrznego rytmu, którą osiąga się za pośrednictwem książki czytanej

jednocześnie przez dwie osoby, tak jak udało ci się to osiągnąć wspólnie z Ludmiłą? Nie możesz się powstrzymać, aby tej czytelniczce bez twarzy przywołanej przez Maranę nie nadać rysów znajomej ci Czytelniczki, oto dostrzegasz już Ludmiłę za moskitierą, wyciągniętą na boku, włosy opadają na otwartą stronę, jest nużąca pora monsunów, pałacowi spiskowcy w milczeniu ostrzą noże, a ona poddaje się nurtowi lektury, bo jest to jedyna możliwa postawa w świecie, w którym nie istnieje nic poza jałowym piaskiem na oleistym asfalcie, groźbą śmierci w imię racji stanu oraz podziałem źródeł energii... Raz jeszcze przeglądasz korespondencję w poszukiwaniu świeższych wiadomości o sultance... Widzisz, jak pojawiają się i znikają sylwetki innych kobiet: na jednej z wysp Oceanu Indyjskiego pewna letniczka, „uzbrojona w parę dużych ciemnych okularów i w warstwę olejku orzechowego, ustawia pomiędzy sobą a palącymi promieniami słońca skromną tarczę popularnego nowojorskiego pisma”. Numer, który czyta, publikuje na prawach pierwodruku początek nowego thrillera Silasa Flannery'ego. Marana wyjaśnia jej, że publikacja pierwszego rozdziału w piśmie świadczy o tym, że irlandzki pisarz gotów jest przyjmować kontrakty od pism zainteresowanych pojawieniem się w powieści marek whisky i szampanów, nazw samochodów i miejscowości turystycznych. „Jak się zdaje, jego wyobraźnia rozpala się w miarę napływu zamówień reklamowych.” Kobieta jest rozczarowana, to namiętna czytelniczka Silasa Flannery'ego. — Najbardziej lubię te powieści — mówi — które wzbudzają niepokój już od pierwszej strony...

Z tarasu szwajcarskiego domku Silas Flannery obserwuje przez zamocowaną na trójnogu lunetę dziewczynę na innym tarasie, o dwieście metrów niżej, wyciągniętą na leżaku i pogrążoną w lekturze książki. — Jest tam codziennie — mówi pisarz — za każdym razem, kiedy zamierzam usiąść przy biurku, czuję potrzebę, żeby na nią popatrzeć. Kto wie, co ona czyta? Wiem, że nie moją książkę, i mimo woli cierpię, odczuwam zazdrość w imieniu moich książek, które chciałyby, aby czytano je tak, jak ona czyta. Patrzenie na nią mnie nie męczy, ona zdaje się zamieszkiwać sferę zawieszoną w innym czasie i w innej przestrzeni. Siadam przy biurku, ale żadna z wymyślonych przeze mnie opowieści nie harmonizuje z tym, co chciałbym wyrazić. Marana pyta go, czy właśnie z tego powodu nie może dalej pracować. — Ależ ja piszę — odpowiada — dopiero teraz piszę naprawdę, od kiedy na nią patrzę. Śledzę pilnie lekturę tej kobiety, widzianej stąd, dzień w dzień, godzina po godzinie. Wyczytuję z jej twarzy to, co ona chciałaby przeczytać, i przenoszę to wiernie na papier... — Nazbyt wiernie — przerywa Marana lodowatym tonem. — Jako tłumacz i pełnomocnik interesów Bertranda Vanderveldego, autora powieści czytanej przez tę kobietę, pod tytułem *Spójrz w dół, gdzie zagęszczają się cienie*, ostrzegam pana przed dalszym plagiowaniem! — Flannery blednie, tylko jedna troska zdaje się zaprzętać jego umysł: — A zatem według pana ta kobieta... książki, które tak namiętnie pochłania, mają być powieściami Vanderveldego? Nie mogę go ścierpieć...

Na afrykańskim lotnisku, wśród uprowadzonych zakładników, co czekają rozwaleni na ziemi wachlując się bądź czekają skuleni pod kocami, które hostessy rozdały po nagłym spadku temperatury w nocy, Marana podziwia niewzruszony spokój dziewczyny, przykucniętej na uboczu: ramiona obejmują kolana, które uniesione pod długą spódnicą, tworzą coś w rodzaju pulpitu, włosy opadają na książkę zakrywając twarz, ręka swobodnie przewraca kartki, jak gdyby wszystko to, co istotne miało się rozstrzygnąć w następnym rozdziale. „Przedłużająca się niewola i mieszane towarzystwo kładą piętno na wyglądzie i zachowaniu nas wszystkich, lecz ta kobieta wydaje się bezpieczna, wyobcowana, jakby spowita światłem dalekiego księżycyca...” Wtedy właśnie Marana myśli: muszę przekonać porywaczy z RAW-u, że książka, dla której warto było porywać się na tę ryzykowną operację, nie jest tą, którą mi odebrali, lecz tą, którą ona teraz czyta...

W Nowym Jorku, w sali kontroli komputerowej, siedzi czytelniczka z przegubami rąk przymocowanymi do fotela, z podłączonym stetoskopem i mankietem manometru, skronie w aureoli długich włosów ściskają węzowe przewody encefalografu, który wskazuje natężenie jej uwagi i częstotliwość odbieranych bodźców. „Nasza praca zależy całkowicie od wrażliwości badanego osobnika na testy kontrolne. Ponadto musi to być osoba o wytrzymałym wzroku i mocnych nerwach, tak aby zniosła nieprzerwaną lekturę wielu powieści w różnych wariantach, otrzymanych prosto z komputera. Jeśli skupienie czytelniczki osiągnie pewien stały wskaźnik, wówczas produkt uznawany jest za wartościowy i można go wprowadzić na rynek, jeśli natomiast jej uwaga rozluźnia się i rozprasza, dana kombinacja zostaje odrzucona, jej elementy zaś rozłożone i wykorzystane w innych kontekstach. Mężczyzna w białym fartuchu wydiera jeden encefalogram za drugim, niczym karki z kalendarza. — Coraz gorzej — mówi. — Ani jedna powieść nie trzyma się kupy. Albo trzeba zmienić program, albo też czytelniczka nie nadaje się już do użytku. — Przyglądam się delikatnym rysom: okulary i daszek, a także tampony w uszach i skórzany pasek, który unieruchamia podbródek, nadają jej twarzy niewzruszony wyraz. Jaki los ją czeka?”

Na to pytanie, rzucone niemal obojętnie przez Maranę, nie znajdujesz żadnej odpowiedzi. W każdym liście z zapartym tchem śledziłaś przemiany czytelniczki, jakby chodziło wciąż o tę samą osobę... Lecz nawet gdyby to były różne osoby, ty każdej z nich przypisujesz wygląd Ludmiły... Czyż to nie ona utrzymuje, że od powieści można oczekiwać już tylko tego, aby poruszyła w nas warstwę ukrytego lęku, bo jest to ostatnia szansa uzyskania przez powieść wiarygodności, a to uchroni ją przed nieodwołalnym losem seryjnego produktu? Widok Ludmiły nagiej pod równikowym słońcem wydaje ci się bardziej prawdopodobny niż widok Ludmiły ukrytej pod welonem sułtani, ale równie dobrze mogłoby chodzić o samą Matę Hari, która z rozmysłem krzyżuje plany pozaeuropejskich rewolucji, aby otworzyć drogę bul-

dożerom przedsiębiorstwa cementowego. Odsuwasz ten obraz i przywołujesz obraz leżaka, który napływa do ciebie w czystym alpejskim powietrzu. Oto gotów jesteś porzucić wszystko, wyjechać, wytropić kryjówkę Flannery'ego i obserwować przez lunetę czytelniczkę lub odnaleźć jej ślady w dzienniku pisarza, który przeżywa kryzys... (A być może pociąga cię myśl, że zdołasz podjąć lekturę powieści *Spójrz w dół, gdzie zagęszczają się cienie*, choćby pod innym tytułem i nazwiskiem?) Lecz teraz Marana przekazuje informacje coraz bardziej niepokojące: oto ona jako zakładniczka uprowadzonego samolotu, innym razem uwięziona w jednym ze slumsów Manhattanu... Jak tam się znalazła, przykuta do narzędzia tortur? Dlaczego musi znosić jako męczarnię to, co jest dla niej czynnością naturalną, czyli lekturę? I czyj podstępny plan sprawia, że drogi tych postaci nieustannie się krzyżują: jej samej, Marany, tajemniczej sekty, która kradnie rękopisy?

Ze wzmianek rozsianych w listach możesz wywnioskować, że Organizacja Wyzwolenia Apokryfu, rozdzielana wewnętrznymi walkami, wymknęła się spod kontroli swego założyciela, Hermesa Marany, i rozpadła na dwa ugrupowania: na sektę oświeconych wyznawców Archanioła Światła oraz na sektę nihilistów, wyznawców Archonta Cienia. Pierwsi są przekonani, że wśród fałszyfikatów zalewających świat można wytropić parę książek, które głoszą prawdę, być może ponadczłowieczą lub pozaziemską. Drudzy utrzymują, że tylko fałszerstwo, mistyfikacja, umyślne kłamstwo mogą wyrazić w książce wartość absolutną, prawdę nie skażoną powszechnie panującymi pseudoprawdami.

„Sądziłem, że jestem w windzie sam — pisze Marana, wciąż z Nowego Jorku — tymczasem u mojego boku wyrasta oto jakaś postać: w rogu siedział skulony chłopak ze sterczącą czupryną, w źle skrojonym stroju z surowego płótna. Jest to nie tyle winda, co raczej dźwig towarowy w kształcie klatki, zamykany składaną kratą. Na każdym piętrze widać puste pomieszczenia, wyblakłe ściany ze śladami po usuniętych meblach i wyrwanej instalacji; rozciąga się pustynia podłóg i pokrytych pleśnią sufitów. Młody człowiek majstruje czerwonymi rękami o długich przegubach, zatrzymuje windę pomiędzy dwoma piętrami.

— Oddaj rękopis. Przywiozłeś go dla nas, nie dla tamtych. Nawet jeśli sądziłeś, że jest odwrotnie. Bo ta książka jest prawdziwa, chociaż jej autor napisał wiele książek fałszywych. A zatem należy do nas.

Jednym chwytem judo rozkłada mnie na podłodze i porywa rękopis. W tym momencie pojmuję, że ten młody fanatyk jest przekonany, iż trzyma w ręce dziennik duchowego kryzysu Silasa Flannery'ego, a nie zarys jednego z jego zwykłych thrillerów. To niesłychane, z jaką gotowością te tajne sekty potrafią przechwycić każdą informację — nieważne, prawdziwą czy fałszywą — która odpowiada ich oczekiwaniom. Kryzys Flannery'ego wprowadził w ożywienie dwa rywalizujące ze sobą odłamy Organizacji Wyzwolenia Apokryfu i każde z nich w dobrej wierze wysłało swoich zwiadowców w doliny otaczające

górski dom pisarza. Ci ze Skrzydła Cienia, wiedząc, że wielki producent seryjnych powieści nie potrafi już uwierzyć w swoje sztuczki, nabrali przekonania, że jego najnowsza powieść uwidoczni przeskok od szalbierstwa tuzinkowego i funkcyjnego do szalbierstwa fundamentalnego i absolutnego, że będzie to arcydzieło fałszu jako aktu poznania, a zatem książka, której od dawna szukają. Natomiast ci ze Skrzydła Światła sądzili, że kryzys takiego mistrza kłamstwa może oznaczać jedynie erupcję prawdy, i za taki uznali dziennik pisarza, o którym tyle się mówi... Pogłoska puszczona w obieg przez Flannery'ego, że ukradłem mu ważny rękopis, sprawiła, że tak jedni jak i drudzy utożsamili ten rękopis z przedmiotem swoich poszukiwań i puścili się moim tropem. Skrzydło Cienia spowodowało porwanie samolotu. Skrzydło Światła zaś porwanie windy...

Czupryniasty młodzieniec schował rękopis pod kurtkę, wymknął się z windy, zasunął mi kratę przed nosem i teraz naciska guzik, żebym zniknął w dole, a przedtem rzuca mi ostatnią pogroźkę: — To jeszcze nie wszystko, Agencie Mistyfikacji! Ale najpierw musimy uwolnić naszą siostrę przykutą do Maszyny Falsyfikatów! — Śmieję się, zjeżdżając powoli w dół. — Nie ma żadnej maszyny, ptaszyno! To „Ojciec Opowieści” dyktuje nam wszystkie książki!

Wciąga windę z powrotem. — Powiedziałaś „Ojciec Opowieści”? — Blednie. Od lat wyznawcy sekty szukają starego ślepcy na wszystkich kontynentach, tam gdzie z pokolenia na pokolenie przekazywana jest jego legenda w nieskończonej liczbie miejscowych wersji.

— Tak, powiedz to Archaniołowi Światła! Powiedz mu, że odnalazłem „Ojca Opowieści”! Mam go w ręku i pracuje dla mnie! A nie żadna maszyna elektroniczna! — i tym razem sam naciskam guzik, aby zjechać na dół.”

Obecnie trzy pragnienia zaprzętają jednocześnie twój umysł. Byłbyś skłonny wyruszyć natychmiast, przepłynąć ocean, przeszukać kontynent pod Krzyżem Południa, wytropić ostatnią kryjówkę Marany i wydrzeć od niego prawdę albo przynajmniej dalszy ciąg urwanych powieści. Jednocześnie chcesz poprosić Przewodnego, aby udostępnił ci powieść *W sieci zbiegających się linii* pseudo (czy też prawdziwego) Flannery'ego, która może okazać się tożsama z powieścią *Spójrz w dół, gdzie zagęszczają się cienie* Bertranda Vandervelde. I nie możesz doczekać się chwili, kiedy pobiegiesz do kawiarni na spotkanie z Ludmiłą, aby opowiedzieć jej o zawiłych rezultatach twojego dochodzenia, a także po to, aby jej widok przekonał cię, że nie może istnieć nic wspólnego pomiędzy nią a czytelnikami, które spotykał w świecie mitomański tłumacz.

Dwa ostatnie pragnienia są łatwo osiągalne i nie wykluczają się wzajemnie. W kawiarni, czekając na Ludmiłę, zaczniesz czytać książkę przyslaną przez Maranę.

W sieci zbiegających się linii

Pierwszym wrażeniem, jakie powinna przekazać ta książka, jest uczucie, którego doznaję na dźwięk telefonu. Mówię „powinna”, gdyż wątpię, by napisane słowa mogły dać choćby częściowe o tym wyobrażenie. Nie wystarczy oznajmić, że budzi się we mnie wówczas bunt, chęć ucieczki przed tym agresywnym, groźnym wezwaniem, ani że ogarnia mnie nieodwołalne poczucie konieczności, które czyni mnie posłusznym i nakazuje niezwłocznie odpowiedzieć na apel, chociaż zachowuję pełną świadomość, że wynikną z tego tylko kłopoty i przykrości. Nie wierzę też, by próbę opisu tego stanu ducha mogła zastąpić metafora, jaką jest na przykład rozdzierający ból spowodowany strzałą, która przeszywa moje nagie ciało; i to nie dlatego, żeby nie można było z pomocą wyobraźni przekazać znanego wszystkim uczucia — bo chociaż nie wiemy, co się odczuwa, gdy ugodzi nas strzałą, sądzimy, że doskonale potrafimy to sobie wyobrazić — a będzie to uczucie zagrożenia, bezbronności wobec czegoś, co dosięga nas z dalekich, obcych przestrzeni. Odnosi się to także do dźwięku telefonu: jego bezlitosny dyktat, odwrotnie niż lecąca strzała, z góry wyklucza poznanie zamiarów, nastroju i wahania kryjących się w głosie kogoś, kogo nie widzę. Gdybym je natomiast znał, mógłbym przewidzieć, jeśli już nie to, co on powie, to przynajmniej reakcję, jaką wywołają we mnie jego słowa. Najlepiej by było, gdyby książka stwarzała na początku poczucie przestrzeni wypełnionej całkowicie moją obecnością, gdyż otaczają mnie jedynie martwe przedmioty, łącznie z telefonem; przestrzeni, która zdaje się nie zawierać niczego poza mną, odosobnionym w moim wewnętrznym czasie. Dopiero potem następuje przerwanie ciągłości czasu; przestrzeń także nie jest już tym, czym była, gdyż wypełnia ją dźwięk telefonu, ani moja obecność nie jest tym, czym była, gdyż podporządkowana zostaje wyzwaniu tego przedmiotu. Na samym początku książka powinna przekazać to wszystko poprzez zwielokrotnienie w czasie i przestrzeni sygnałów, które rozdzierają ciągłość czasu, przestrzeni i woli.

Może błędem jest założenie, że na początku znajduję się sam na sam z telefonem w zamkniętej przestrzeni mieszkania, podczas gdy treścią tego przekazu powinna być moja reakcja na wszystkie telefony, nawet na te, które dzwonią nie do mnie i nie mają ze mną żadnego związku. Wystarczy jednak jeden dzwonek, bym pomyślał czy uznał za prawdopodobne, że wszystkie telefony dzwonią do mnie. Kiedy na przykład sygnał telefonu odzywa się w sąsiednim mieszkaniu, przez chwilę zastanawiam się, czy to nie do mnie. Myśl ta od razu okazuje się bezpodstawna, ale pozostawia pewną wątpliwość: wyobrażam sobie, że telefon dzwoni naprawdę do mnie, lecz wskutek błędnego wykręcenia numeru bądź złego połączenia sygnał słychać u sąsiada, a wrażenie to jest tym silniejsze, że w mieszkaniu obok nikt nie

podnosi słuchawki, telefon nie milknie, i wówczas, powodowany irracjonalną logiką, którą brzęczenie telefonu zawsze we mnie wyzwala, rozumiuję następująco: może to naprawdę do mnie, może sąsiad jest w domu, ale nie odpowiada, bo o tym wie, może nawet ten, kto dzwoni, wie, że wykręcił zły numer, lecz zrobił to umyślnie, aby utrzymać mnie w tym stanie ducha, dobrze rozumiejąc, że nie mogę odpowiedzieć, ale że wiem, iż odpowiedzieć powinienem.

Nie mogę też nie wspomnieć o niepokoju, który ogarnia mnie, gdy natychmiast po wyjściu z domu słyszę, że dzwoni telefon, i nie wiem, czy to u mnie, czy w sąsiednim mieszkaniu; błyskawicznie zawracam, pędem wpadam na schody, zadyszany docieram do drzwi, a wtedy telefon milknie, i już nigdy się nie dowiem, czy dzwonił do mnie.

Albo kiedy znajduję się na ulicy i słyszę, jak dzwonią telefony w obcych domach, czy nawet kiedy przebywam w obcych miastach, gdzie nikt nie wie o mojej obecności, nawet wówczas na każdy dźwięk telefonu w ułamku sekundy przebiega mi przez głowę myśl, że ten telefon dzwoni do mnie, a już w następnym ułamku sekundy odczuwam ulgę, bo uświadamiam sobie, że jestem poza zasięgiem jakiegokolwiek telefonu, że jestem teraz nieosiągalny i bezpieczny, lecz ulga ta trwa zaledwie ułamek sekundy, gdyż natychmiast uderza mnie myśl, że w tej chwili dzwoni nie tylko ten obcy telefon, ale z pewnością o wiele setek i tysięcy kilometrów stąd, w opustoszałych pokojach mojego mieszkania, bezustannie rozlega się sygnał, i ponownie czuję się rozdarty między koniecznością a niemożnością podniesienia słuchawki.

Codziennie rano, przed rozpoczęciem wykładów, odbywam godzinny jogging, to znaczy wkładam dres i wychodzę pobiegać, bo odczuwam potrzebę ruchu, bo lekarze przepisali tę kurację dla zwalczania gnębiącej mnie otyłości, a także dla uspokojenia nerwów. Jeśli nie idzie się tutaj w ciągu dnia na campus, do biblioteki, na wykłady kolegów czy do uniwersyteckiej kawiarni, nie ma dokąd pójść. Jedyne zatem, co pozostaje, to uprawiać biegi wzdłuż i w poprzek wzgórze, pomiędzy szpalerem klonów i wierzb, jak czyni to wielu studentów, a także wielu kolegów. Mijamy się na ścieżkach szeleszczących od liści i czasem rzucamy sobie „hej!”, a czasem w ogóle się nie odzywamy, bo musimy oszczędzać oddech. Także i w tym przejawia się przewaga biegania nad innymi sportami: każdy podąża własną drogą i nikomu nie musi zdawać rachunku.

Wzgórze jest zabudowane. Biegając mijam dwupiętrowe drewniane domki z ogródkami, każdy inny, chociaż wszystkie do siebie podobne, i od czasu do czasu słyszę sygnał telefonu. Działa mi to na nerwy, mimowolnie zwalniam, wytyżam ucho, by usłyszeć, czy ktoś podnosi słuchawkę, niecierpliwie się, jeśli brzęczenie nie milknie. Biegając dalej mijam następny dom, w którym dzwoni telefon, i oto nasuwa mi się myśl: „Ktoś ściga mnie telefonicznie, w wykazie telefonów wyszukuje wszystkie numery z

Chestnut Lane i dzwoni do każdego domu po kolei, aby mnie dopaść.”

Czasami wszystkie domy są ciche i opustoszałe; po pniach drzew przemykają wiewiórki, na drewnianych korytkach przysiadają sroki, by dziobać wysypane ziarno. Biegąc przeczuwam niewyraźnie bliskość niebezpieczeństwa i zanim jeszcze złowię uchem sam dźwięk, umysł mój przewiduje możliwość odezwania się telefonu, prawie go wzywa, wywołuje z niebytu, po czym w tej samej chwili z jakiegoś domu dolatuje mnie, najpierw przytłumione, a później coraz wyraźniejsze brzęczenie, którego wibracje już od pewnego czasu przechwytyje ukryta we mnie antena, zanim posłyszysz je ucho, i oto ogarnia mnie niedorzeczne szaleństwo, staję się więźniem zaklętego kręgu, w jego środku znajduje się ten dzwoniący telefon, a ja biegnę nie oddalając się, zwalniam nie zwalnając rytmu.

„Jeśli do tej pory nikt nie podniósł słuchawki, to znaczy, że nikogo nie ma w domu... Ale dlaczego telefon nadal dzwoni? Czego oczekują tamci po drugiej stronie linii? Może mieszka tu człowiek głuchy, a oni nie dając za wygraną spodziewają się, że usłyszysz wreszcie sygnał? A może mieszka tu paralytyk i trzeba dać mu dużo czasu, by mógł dowlec się do aparatu... Czy też mieszka tu samobójca, i dopóki telefon dzwoni, istnieje nadzieja powstrzymania go od ostatecznego kroku?...” Ogarnia mnie myśl, że może powinienem okazać zainteresowanie, udzielić pomocy, pośpieszyć na ratunek głuchemu, paralytykowi czy samobójcy... A zarazem — opętany jakąś niedorzeczną logiką — myślę, że czyniąc to, mógłbym się upewnić, czy przypadkiem nie dzwonią do mnie...

Nie zatrzymując się popycham furtkę, wbiegam do ogrodu, okrążam dom, przeszukuję teren od tyłu, okrążam garaż, szopę z narzędziami, budę dla psa. Wszystko wydaje się porzucone, puste. Przez otwarte okno widać pokój w nieładzie i stół, z którego uparcie rozlega się dzwonienie telefonu. Słysząc stukot okiennic, wokół okiennej ramy oplątuje się postrzępiona firanka.

Zrobiłem już trzy okrążenia dokoła domu; wciąż pozostaję w rytmie biegu, unoszę pięty i łokcie, oddycham miarowo, aby stało się jasne, że nie wtargnąłem tu jako złodziej. Gdyby mnie w tej chwili ktoś przyłapał, trudno by mi było wyjaśnić, że wszedłem, bo usłyszałem dźwięk telefonu. Rozlega się szczekanie psa, nie tutaj, to szczeka pies z innego domu, którego stąd nie widać, lecz przez chwilę sygnał „pies szczeka” okazuje się silniejszy od sygnału „dzwoni telefon”, i to wystarcza, bym wyrwał się z zaklętego kręgu, który mnie uwięził. Biegnę oto znowu drogą wysadzaną drzewami, pozostawiam za sobą coraz bardziej przytłumione brzęczenie telefonu.

Biegnę do miejsca, gdzie nie ma już domów. Zatrzymuję się na łące dla zaczerpnięcia tchu. Robię skłony, przysiady, masuję łydki, aby nie oziębily się mięśnie... Sprawdzam godzinę. Jestem spóźniony, muszę wracać, jeśli nie chcę, żeby studenci na mnie czekali. Tylko tego by brakowało, aby rozeszły się pogłoski, że biegam po lesie w porze własnych wykładów... Puszczam się w drogę powrotną nie bacząc

na nic, tego domu nawet nie rozpoznaję, minę go nawet nie dostrzegając. Dom jest zresztą dokładnie taki sam jak pozostałe, jedynym, co mogłoby go wyróżnić, byłby nieustający dzwonek telefonu, a to wydaje się niemożliwe...

Im dłużej nad tym rozmyślam zbiegając ścieżką po zboczu, tym bardziej wydaje mi się, że łowię uchem znajomy dźwięk, słyszę go coraz lepiej i wyraźniej i oto znowu widzę ten dom, a telefon nadal dzwoni. Wpadam do ogrodu, okrążam dom od tyłu, podbiegam do okna. Wystarczy wyciągnąć rękę i już trzymam w dłoni słuchawkę.

Mówię zadyszany:

— Tutaj nie ma... — A głos ze słuchawki nieco zniecierpliwiony, lecz tylko trochę, gdyż tym, co uderza mnie najbardziej, jest chłód i spokój, odpowiada:

— Słuchaj uważnie. Marjorie jest tutaj, za chwilę się obudzi, ale jest związana i nie może uciec, zapisz sobie adres: Hillside Drive 115. Jeśli przyjedziesz po nią, to w porządku, jeśli nie, to mamy w piwnicy kanister z naftą i bombę plastikową podłączoną do zegara. Za pół godziny ten dom stanie w płomieniach.

— Ale ja nie... — zaczynam.

Odłożyli słuchawkę.

Co mam teraz robić? Mógłbym oczywiście wezwać policję, straż pożarną, i to z tego samego telefonu, ale jak zdołam im się wytłumaczyć, jak usprawiedliwię fakt, że ja, jednym słowem, jak mogę mieszać się do sprawy, z którą nie mam nic wspólnego? Zaczynam znowu biec, robię jeszcze jedno okrążenie wokół domu i wracam na drogę.

Przykro mi z powodu tej Marjorie, ale skoro wpakowała się w takie tarapaty, to nie wiadomo, w co może być wmieszana; jeśli zaryzykuję i pośpieszę na ratunek, nikt nie uwierzy, że jej nie znam, wybuchnie skandal, a ja jestem docentem z innego uniwersytetu, zaproszonym tutaj jako visiting professor, ucierpiałby na tym prestiż obydwu uczelni...

Oczywiście, jeśli chodzi o czyjeś życie, to takie względy powinny zejść na drugi plan... Zwalniam. Mógłbym wejść do któregoś z tych domów, zapytać, czy pozwolą mi zadzwonić na policję, od razu wyraźnie powiedzieć, że ja tej Marjorie nie znam, że w ogóle nie znam żadnej Marjorie...

Prawdę mówiąc, jest tutaj na uniwersytecie studentka, która nazywa się Marjorie, Marjorie Stubbs; od razu dostrzegłem ją wśród dziewczyn, które chodzą na moje wykłady. Przyznaję, bardzo mi się podobała, szkoda, że wtedy, gdy zaprosiłem ją do siebie, aby pożyczyć jej książki, wytworzyła się kłopotliwa sytuacja. Zapraszając ją popełniłem błąd, były to pierwsze dni moich zajęć na uczelni, nikt jeszcze o mnie nic nie wiedział, mogła źle zrozumieć moje zamiary, stąd wynikło to przykre nie-

porozumienie, jeszcze dzisiaj trudne do wyjaśnienia, bo ona ma ten ironiczny sposób patrzenia na mnie, tak że nie potrafię powiedzieć ani słowa, od razu się jąkam; inne dziewczyny też patrzą na mnie z ironicznym uśmiechem...

A teraz nie chciałbym, żeby zakłopotanie wywołane imieniem Marjorie powstrzymało mnie od przyjscia z pomocą tej drugiej Marjorie, której życie jest zagrożone... Chyba że chodzi o tę samą Marjorie... Chyba że ten telefon dzwonił naprawdę do mnie... Banda potężnych gangsterów ma mnie na oku, oni wiedzą, że codziennie rano właśnie na tej drodze uprawiam jogging, i dlatego, gdy zbliżam się do opustoszałego domu, dzwonią, dzwonią do mnie, bo wiedzą, że tamtego dnia, u siebie, skompromitowałem się wobec Marjorie, i teraz szantażują mnie...

Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, znajduję się przy bramie do campusu, wciąż w biegu, w dresie i w tenisówkach, nie zająłem nawet do domu, żeby się przebrać i wziąć książki, co teraz będzie? Biegnę dalej przez campus, spotykam dziewczyny, które pojedynczo przemierzają trawnik, to studentki, spieszące na mój wykład, spoglądają na mnie z ironicznym uśmiechem, nie mogę tego ścierpieć.

Zatrzymuję Lornę Clifford i biegnąc w miejscu pytam:

- Czy jest Marjorie Stubbs? Lorna Clifford mruga powiekami.
- Marjorie? Od dwóch dni jej nie widać... A dlaczego pan pyta?

Jestem już daleko. Wybiegam z campusu. Wpadam w Grosvenor Avenue, potem w Cedar Street, potem w Maple Road. Brak mi tchu, biegnę nie czując płuc w piersiach ani ziemi pod stopami. Oto Hillside Drive. Jedenaście, piętnaście, dwadzieścia siedem, pięćdziesiąt jeden; całe szczęście, że numery szybko rosną przeskakując z jednej dziesiątki do drugiej. Wreszcie 115. Drzwi są otwarte, wbiegam po schodach, wchodzę do pokoju, w którym panuje półmrok. Na tapczanie leży Marjorie, skrępowana, w ustach ma knebel. Uwalniam ją. Wymiotuje. Patrzy na mnie z pogardą.

- Ty draniu — mówi.

VII

Siedzisz przy stoliku w kawiarni, czytasz powieść Silasa Flannery'ego, którą pożyczył ci doktor Przewodni, i czekasz na Ludmiłę. Twój umysł zaprzatają dwa równoległe oczekiwania: wewnętrzne oczekiwanie lektury oraz oczekiwanie Ludmiły, która spóźnia się na spotkanie. Skupiasz się na lekturze, starasz się przenieść oczekiwanie Ludmiły na stronicie książki, masz niemal nadzieję, że ona wyjdzie do ciebie spomiędzy otwartych kartek. Ale nie potrafisz już czytać, powieść utknęła na stronie, którą masz przed oczami, tak jakby dopiero przybycie Ludmiły mogło ponownie wprawić w ruch łańcuch wydarzeń.

Wołają cię. To twoje nazwisko powtarza kelner, posuwając się pomiędzy stolikami. Wstań, wzywają cię do telefonu. Czy to Ludmiła? Tak, to ona. — Wyjaśnię ci później. Nie mogę teraz przyjść.

— Słuchaj, mam książkę! Nie, nie tę, żadną z tamtych, zupełnie nową. Posłuchaj... — Ale chyba nie zamierzasz jej opowiedzieć książki przez telefon? Wysłuchaj tego, co ona ma ci do powiedzenia.

— Przyjdź sam — mówi Ludmiła — tak, do mnie do domu. Jestem teraz poza domem, ale niedługo wrócę. Jeśli zjawisz się wcześniej, możesz wejść i poczekać. Klucz jest pod wycieraczką.

Niewymuszona prostota stylu życia, klucz pod wycieraczką, zaufanie do bliźniego, z pewnością niewiele do ukradzenia. Biegiesz pod wskazany adres. Dzwonisz na próżno. Tak jak zapowiedziała, nie ma jej w domu. Znajdujesz klucz. Wchodzisz w półmrok opuszczonych rolet.

Dom Ludmiły jest domem samotnej dziewczyny, mieszka sama. Czy właśnie to chcesz sprawdzić przede wszystkim? Czy znajdziesz tu ślady męskiej obecności? A może wolisz nic o tym nie wiedzieć, dopóki to możliwe pozostać w nieświadomości, w niepewności? Zapewne coś powstrzymuje cię przed myszkowaniem (podniosłeś nieco rolety, ale tylko nieznacznie). Może powstrzymują cię skrupuły, uważasz, że nie zasługiwałbyś na gest zaufania z jej strony, gdybyś nadużył go do przeprowadzenia drobiazgowego wywiadu. A może wydaje ci się, że doskonale wiesz, jak wygląda mieszkanie samotnej dziewczyny, i jeszcze zanim rozejrzysz się dokoła, możesz ustalić spis tego, co ono zawiera. Żyjemy w epoce cywilizacyjnej monotonii, pośród określonych modeli kulturowych: meble, bibeloty, narzuty, adapter wybierane są spośród ograniczonej liczby proponowanych rzeczy. Co te rzeczy mogą wyjawić ci o niej naprawdę?

Jaka jesteś. Czytelniczko? Nadszedł już czas, aby ta książka napisana w drugiej osobie zwracała się nie tylko do ogólnikowego męskiego „ty”, które jest być może bratem i sobowtórem obłudnego „ja”, lecz by zwracała się bezpośrednio do ciebie, a ty pojawiłaś się w Drugim Rozdziale jako Trzecia Osoba, niezbędna, aby powieść stała się powieścią, aby pomiędzy Drugą Osobą męską a Trzecią żeńską coś się

wydarzyło, przybrało realny kształt, utrwaliło się lub rozpadło, naśladując fazy zwykłych kolei ludzkiego losu. Czyli: naśladując gotowe schematy, służące nam do przeżywania ludzkich kolei losu. Czyli: naśladując gotowe schematy, dzięki którym przypisujemy ludzkim kolejom losu znaczenie pozwalające nam je przeżyć.

Do tej pory książka rozmyślnie pozostawiała czytającemu Czytelnikowi możliwość utożsamienia się z Czytelnikiem czytany: dlatego też nie nadano mu imienia, które automatycznie sprowadziłoby go do roli Trzeciej Osoby, do roli powieściowej postaci (podczas gdy tobie, Ludmiło, jako Trzeciej Osobie, koniecznie należało nadać imię) i zawieszono go w abstrakcyjnym położeniu zaimka, tak aby można mu było przypisać każdą cechę i każdy postępek. Zobaczymy, Czytelniczko, czy książka zdoła nakreślić twój prawdziwy portret, począwszy od ramy, która odgrodzi cię z czterech stron, i pozwoli ustalić zarysy twojej postaci.

Po raz pierwszy ukazałaś się Czytelnikowi w księgarni, przybrałaś realne kształty odrywając się od ściany z półkami, tak jakby mnogość książek koniecznie domagała się obecności Czytelniczki. Twój dom, przestrzeń, gdzie czytasz, może nam powiedzieć, jakie miejsce zajmują książki w twoim życiu, czy są tarczą, którą się zasłaniasz, aby trzymać się z daleka od zewnętrznego świata, narkotycznym snem, w jaki zapadasz, czy też są pomostem przerzuconym na zewnątrz do świata, który interesuje cię tak bardzo, że dzięki książkom chciałabyś pomnożyć i rozszerzyć jego wymiary. Czytelnik wie, że aby to zrozumieć, musi przede wszystkim zwiedzić kuchnię.

Kuchnia jest tą częścią mieszkania, która może powiedzieć o tobie najwięcej: czy gotujesz, czy nie gotujesz (zdawałoby się, że tak, bo nawet jeśli nie codziennie, to dosyć regularnie), czy gotujesz tylko dla siebie, czy także dla innych (często dla siebie, lecz tak starannie, jakbyś gotowała także dla innych, czasem także dla innych, lecz tak niedbale, jakbyś robiła to tylko dla siebie), czy dbasz o niezbędne minimum, czy też o sztukę kulinarną (twoje zakupy i wyposażenie kuchni przywodzą na myśl przepisy wyszukane i oryginalne, przynajmniej w zamierzeniu, co nie znaczy, że jesteś łakoma, ale myśl o kolacji z dwóch sadzonych jajek mogłaby wprawić cię w przygnębienie), czy stanie przy garnkach jest dla ciebie tylko uciążliwym obowiązkiem, czy także przyjemnością (maleńka kuchnia jest praktycznie urządzona i rozplanowana tak, abyś mogła się swobodnie poruszać, zbyt długo w niej nie pozostawała, ale i przebywała tu bez niechęci). Sprzęty elektryczne stoją każdy na swoim miejscu, jak użyteczne zwierzęta, których zasług niepodobna przecenić, lecz nie trzeba ich otaczać specjalną troską. Naczynia kuchenne odznaczają się pewną dbałością o estetykę (dostrzegasz cały komplet noży do siekania jarzyn, zawieszonych według wielkości, chociaż wystarczyłby jeden), ale w zasadzie elementy dekoracyjne spełniają także rolę przedmiotów użytkowych, z niewielkim ustępstwem na rzecz estetyki. To raczej

twoje zapasy pozwolą nam powiedzieć o tobie coś więcej, widzimy zestaw aromatycznych przypraw, niektóre są często używane, inne zdają się tylko dopełniać kolekcję; to samo można powiedzieć o musztardach, lecz to przede wszystkim warkocze czosnku powieszzone w zasięgu ręki świadczą o twoim stosunku do potraw, bynajmniej nie powierzchownym ani nieuważnym. Rzut oka do lodówki może pomóc nam w zebraniu dalszych cennych danych: w pojemniku na jajka zostało tylko jedno, z cytryn tylko jedna zdrowa połówka, a druga wyschnięta, słowem jeśli chodzi o artykuły podstawowe, to zauważyć się daje pewna niedbałość; za to jest krem z kasztanów, czarne oliwki, słoik salsefii; to jasne, że przy robieniu zakupów dajesz się raczej skusić wystawionym towarom, zamiast pamiętać o tym, czego brakuje w domu.

Przyglądając się twojej kuchni można zatem wyobrazić sobie siebie jako kobietę otwartą i pogodną, zmysłową i staranną, która swój zmysł praktyczny oddaje na usługi wyobraźni. Czy można się w tobie zakochać po obejrzeniu twojej kuchni? Kto wie, może zakocha się Czytelnik, który i tak był już przychylnie usposobiony.

On, Czytelnik, nadal zwiedza dom, do którego dałaś mu klucze. Widać, że gromadzisz wokół siebie wiele rzeczy: wachlarze, pocztówki, flakony, zawieszane na ścianach korale. Lecz każdy z tych przedmiotów, ujrzany z bliska, okazuje się czymś wyjątkowym, w pewien sposób nieoczekiwanym. Do przedmiotów masz stosunek przyjazny i wybredny, tylko te rzeczy, które odczuwasz jako twoje, stają się twoimi. Kiedy na nie patrzysz albo ich dotykasz, pomiędzy tobą a przedmiotami wytwarza się poczucie fizycznej więzi, nie zaś więzi intelektualnej czy uczuciowej. Przedmioty, raz przez siebie przyswojone, naznaczone twoim posiadaniem, nie wydają się już przypadkowe, stają się znaczące niczym części zdania, niczym zapis złożony ze znaków i symboli. Czy jesteś zaborcza? Może zbyt mało jest jeszcze danych, aby to stwierdzić; na razie można powiedzieć, że jesteś zaborcza w stosunku do samej siebie, że przywiązujesz się do rzeczy, w których rozpoznajesz cząstkę samej siebie, i lękasz się utracić ją wraz z ich utratą.

Na ścianie w rogu wiszą fotografie w ramkach, jedna przy drugiej. Czyje to fotografie? Twoje w różnym wieku, a także wielu innych osób, mężczyzn i kobiet, w tym zdjęcia bardzo stare, jakby wycięte z rodzinnego albumu, lecz wszystkie razem tworzą raczej montaż nawarstwionych etapów życia, niż spełniają rolę pamiątek po różnych osobach. Każda ramka jest inna: secesyjne kształty, srebro, miedź, emalia, szylkret, skóra, rzeźbione drewno, może umyślnie wydobywają one z cienia pewne epizody życia, lecz równie dobrze mogą stanowić tylko kolekcję ramek wypełnionych fotografiami, tym bardziej że niektóre ramki zawierają portrety wycięte z gazet, w jednej tkwi stary nieczytelny list, inna jest pusta.

Na pozostałej powierzchni ściany nie wisi nic ani też nie przylega do niej żaden mebel. Tak

wygląda właściwie całe mieszkanie: tu nagie ściany, tam przepełnione, jakbyś odczuwała potrzebę zagęszczenia znaków, posłużenia się zwartym pismem po to, aby w otaczającej je pustce odzyskać oddech i znaleźć wytchnienie.

Także rozmieszczenie mebli i bibelotów nigdy nie jest symetryczne. Ład, który starasz się uzyskać (przestrzeń, jaką rozporządzasz, jest mała, lecz daje się zauważyć pewien wysiłek w takim jej rozplanowaniu, aby sprawiała wrażenie obszerniejszej), nie jest wynikiem przeszczepienia gotowych schematów, lecz skutkiem harmonijnego zestawienia przedmiotów.

A zatem, czy jesteś porządna, czy nieporządna? Na równie kategoryczne pytania twój dom nie odpowie zwyczajnym tak lub nie. Oczywiście, masz pewne wyobrażenie o ładzie, jesteś nawet wymagająca, lecz wyobrażenie to nie znajduje zastosowania w praktyce. Widać, że twoje zainteresowanie domem nie objawia się w sposób regularny, zależy od codziennych kłopotów, od dobrych i złych nastrojów.

Czy masz usposobienie depresyjne czy euforyczne? Odnosi się wrażenie, że mieszkanie przezornie wykorzystało chwile twojej euforii, aby przygotować się na udzielenie ci gościny w chwilach depresji.

Czy jesteś naprawdę gościnna, czy też wpuszczanie do domu znajomych jest oznaką twojej obojętności? Czytelnik szuka wygodnego miejsca, gdzie mógłby usiąść i oddać się lekturze, nie wdzierając się w strefę wyraźnie tylko dla ciebie przeznaczoną; nabiera oto przekonania, że gość może poczuć się dobrze u ciebie w domu, jeśli potrafi uszanować twoje reguły gry.

Co poza tym? Rośliny w doniczkach wydają się nie podlewane od wielu dni, chociaż może świadomie wybrałaś je spośród tych, które nie wymagają zbytnej troskliwości. Zresztą w tych pokojach nie ma śladu psów ani kotów czy ptaków: jesteś typem kobiety, która stara się nie przysparzać sobie obowiązków. Co może być zarówno oznaką egoizmu, jak i oznaką skupienia uwagi na innych, mniej błahych potrzebach, może też znaczyć, że nie szukasz symbolicznej namiastki, że naturalne bodźce skłaniają cię do zajmowania się innymi ludźmi, że chcesz uczestniczyć w ich losach, w ich życiu i książkach...

Przypatrzmy się książkom. Pierwszą rzeczą rzucającą się w oczy, przynajmniej kiedy patrzymy na te książki, które trzymasz na najbardziej widocznym miejscu, jest ich przeznaczenie, a są one przeznaczone do natychmiastowej lektury, nie zaś do studiów, konsultacji czy choćby umieszczenia w bibliotece ułożonej według pewnego porządku. Może nawet parokrotnie starałaś się nadać pozory ładu swoim półkom, lecz każdą próbę klasyfikacji błyskawicznie niweczyła różnorodność nowych dostaw. Podstawową zasadą ustawiania tomów, nie biorąc pod uwagę rozmiarów półek na książki najwyższe i

najniższe, pozostaje zasada chronologii, kolejność pojawiania się nowych egzemplarzy. W każdym razie ty zawsze umiesz się wśród nich rozeznąć, zwłaszcza że nie ma ich tu zbyt wiele (inne półki musiałyś pewnie zostawić w poprzednich mieszkaniach, w poprzednich fazach swojego życia), i być może nieczęsto zdarza ci się sięgnąć po książkę, którą już czytałaś.

Jednym słowem, nie wydajesz się typem Czytelniczki Która Czyta Powtórnie. Pamiętasz bardzo dokładnie wszystko, co przeczytałaś (to jedna z pierwszych rzeczy, jaką pozwoliłaś o sobie powiedzieć); być może każda książka kojarzy ci się z lekturą, którą odbyłaś w określonej chwili, raz na zawsze. I podobnie jak zachowujesz lektury w pamięci, lubisz przechowywać książki w charakterze przedmiotów, lubisz mieć je przy sobie.

Wśród twoich książek, tego zbioru, co nie tworzy biblioteki, można jednak wyróżnić część martwą czy też uśpioną, to znaczy stos tomów odłożonych, przeczytanych i rzadko czytanych powtórnie lub takich, których nie czytałaś i nie przeczytasz, a mimo to przechowujesz je (i odkurzasz), oraz część żywą, to znaczy książki, które czytasz lub masz zamiar przeczytać, lub od których jeszcze się nie oderwałaś, czy też lubisz je przeglądać, mieć je w zasięgu ręki. W odróżnieniu od zapasów kuchennych, tutaj właśnie część żywa, ta przeznaczona do natychmiastowej konsumpcji, potrafi powiedzieć o tobie więcej. Dokoła leżą rozrzucone tomy, niektóre są otwarte, inne mają naprędce sporządzone zakładki lub zagięte rogi. Widać, że masz zwyczaj czytać parę książek jednocześnie, wybierasz różne lektury na różne pory dnia, na różne zakątki twojego ciasnego przecież mieszkania, niektóre książki przeznaczone są na nocny stolik, miejsce innych jest przy fotelu, w kuchni, w łazience.

Stanowi to być może ważny dodatkowy rys do twojego portretu: twój umysł posiada wewnętrzne ścianki, pozwalają one rozgraniczyć różne fazy czasu, można w nich przystanąć lub pośpiesznie je przebiec, można włączyć się przemiennie na dwa kanały. Czy to nie wystarczy, aby stwierdzić, że chciałabyś przeżywać równocześnie więcej niż jedno życie? A może ty naprawdę tak żyjesz? Rozgraniczasz to, co łączy cię z daną osobą i otoczeniem, od tego, co łączy cię z innymi osobami i innym środowiskiem? Czy w każde doświadczenie wliczasz ryzyko rozczarowania, które wyrównuje dopiero suma wszystkich rozczarowań?

Nadstaw uszu. Czytelniku. Zasiano w twoim umyśle ziarno podejrzliwości, które podsyca w tobie niepokój właściwy człowiekowi zazdrosnemu, chociaż jeszcze tego nie dostrzegasz. Ludmiła czyta wiele książek naraz, bo nie chce narażać się na zawód, który może sprawić jej każda z tych opowieści, i stara się nie ograniczać do jednej historii...

(Nie sądz, że książka spuściła cię z oka, Czytelniku. Forma „ty”, zwrócona do Czytelniczki, może w najbliższym zdaniu zostać ponownie wymierzona w ciebie. Jesteś nadal jednym z możliwych „ty”.

Któż ośmieliłby się skazać cię na utratę owego „ty”; byłaby to katastrofa nie mniej straszliwa niż utrata „ja”. Aby wypowiedź utrzymana w drugiej osobie stała się powieścią, potrzebne są przynajmniej dwie formy „ty”, odrębne i współlistniejące, które odcinają się od masy przeróżnych „on” „ona”, „ono”.)

Mimo wszystko widok książek w mieszkaniu Ludmiły napawa cię otuchą. Czytanie jest samotnością, Ludmiła zdaje ci się bezpieczna w łupinie otwartej książki, niczym ostrzyga w muszli. Cień innego mężczyzny, prawdopodobny, a nawet pewny, zostaje jeśli nie wymazany, to zepchnięty na margines. Czyta się w pojedynkę, nawet jeśli jest się we dwoje. Ale w takim razie czego tutaj szukasz? Czy chciałbyś przeniknąć do jej skorupy, wkraść się na stronicie książek, które ona czyta? A może więź łącząca Czytelnika i Czytelniczkę jest więzią dwóch odrębnych muszli, które mogą porozumiewać się tylko poprzez częściową wymianę jednostkowych doświadczeń?

Masz ze sobą książkę, którą czytałeś w kawiarni, i nie możesz doczekać się chwili, kiedy podejmiesz dalszą lekturę, aby potem przekazać powieść Czytelniczce, aby porozumieć się z nią za pośrednictwem kanału wydrążonego cudzymi słowami, bo właśnie te słowa, wypowiedane cudzym głosem, głosem tej milczącej nieobecności, zaznaczonej farbą drukarską i spacją, mogą stać się wasze, waszym językiem, kodem, który pozwoli wam wysyłać i odbierać sygnały.

Rozlega się zgrzyt klucza w zamku. Nie odzywasz się, jakbyś chciał jej zrobić niespodziankę, udowodnić wam obojgu, że twoja obecność tutaj jest rzeczą naturalną. Ale to nie są jej kroki. Jakiś mężczyzna powoli porusza się w przedpokoju, spomiędzy zasłon dostrzegasz jego cień, skórzana kurtka, ruchy człowieka, który jest obeznany z miejscem, lecz nie śpieszy się, jakby czegoś szukał. Poznajesz go. To Irnerio.

Musisz natychmiast rozstrzygnąć, jaką przybrać postawę. Rozczarowanie ogarniające cię na widok mężczyzny, który wchodzi do jej domu jak do własnego, jest silniejsze od zakłopotania wywołanego tym, że znajdujesz się tutaj niemal w ukryciu. Zresztą wiedziałeś, że dom Ludmiły stoi otworem dla przyjaciół: klucz leży pod wycieraczką. Od chwili, kiedy tutaj wszedłeś, wydaje ci się, że odczuwasz muśnięcia cieni bez twarzy. Irnerio jest przynajmniej znajomą zjawą. Podobnie jak ty dla niego.

— Ach, to ty. — On sam dostrzega twoją obecność, ale nie okazuje zdziwienia. Ta swoboda w jego zachowaniu, swoboda, którą jeszcze przed chwilą sam chciałeś mu narzucić, teraz wcale cię nie cieszy.

— Ludmiły nie ma w domu — mówisz, aby podkreślić swoje pierwszeństwo w udzielaniu informacji czy też prawo pierwszeństwa do zajmowanego terytorium.

— Wiem — odpowiada obojętnie. Szpera dokoła, obmacuje książki.

— Czy mogę ci w czymś pomóc? — nie rezygnujesz, jakbyś chciał go sprowokować.

— Szukam książki — mówi Irnerio.

— Sądziłem, że nigdy nic nie czytujesz — wysuwasz zastrzeżenie.

— To nie do czytania. To do pracy. Robię z książek różne rzeczy. Przedmioty. Tak. różne prace, posążki, obrazy, czy jak tam je nazwiesz. Miałem nawet wystawę. Sklejam książki żywicznym klejem i trzymają się dobrze. Otwieram je lub zamykam, nadaję im różne kształty, rzeźbię, wywiercam otwory. To świetny surowiec do obróbki, można zrobić wiele rzeczy.

— I Ludmiła się na to godzi?

— Podobają jej się moje prace. Daje mi nawet różne rady. Krytycy mówią, że to, co ja robię, jest ważne. Teraz wszystkie moje dzieła umieszczają w książce. Skłonili mnie do rozmowy z doktorem Przewodnim. To będzie książka ze zdjęciami wszystkich moich książek. Kiedy zostanie wydrukowana, użyję jej do innego dzieła, do wielu innych dzieł. Potem umieszczą mi je w następnej książce, i tak dalej.

— Miałem na myśli co innego, czy Ludmiła zgadza się na to, że wynosisz jej książki...

— Ona ma ich tak dużo... Czasem sama daje mi książki właśnie do obróbki, książki, z których ona nic sobie nie robi. Ale to nie jest tak, że wystarcza mi byle jaka książka. Praca wychodzi mi dobrze tylko wtedy, jeśli ją czuję. Niektóre książki od razu nasuwają mi pomysł, co mógłbym z nimi zrobić, inne zupełnie nic mi nie mówią. Czasem mam pomysł, ale nic mi nie wychodzi, bo nie mogę znaleźć właściwej książki. — Przegląda tomy na jednej z półek, bierze do ręki jeden z nich, bada grzbiet i okładkę, odkłada go na miejsce. — Jedne książki budzą we mnie sympatię, innych nie mogę ścierpieć i właśnie takie ciągle wpadają mi w ręce.

Miałeś nadzieję, że Wielki Mur Książek utrzyma Ludmiłę z daleka od tego barbarzyńskiego najeźdźcy, a teraz okazuje się zabawką, którą on rozkłada z dziecinną łatwością. Śmiejesz się nieszczerze.

— Można by sądzić, że znasz bibliotekę Ludmiły na pamięć...

— No, przecież tak wiele się tutaj nie zmienia... Ale lubię patrzeć na te wszystkie książki. Bo ja kocham książki...

— Wytłumacz to jaśniej.

— Tak, lubię widok tyłu książek. Właśnie dlatego tak dobrze czuję się u Ludmiły. Nie sądzisz?

Żywopłot zapisanych stronic opasuje pokój, niczym ściana liści chroniąca gęsty las, a może raczej przywodzi na myśl warstwy skały, płytki łupkowe, fałdy wapieni; podobnie ty starasz się dostrzec w oczach Irneria tło, na którym powinna się pojawić żywa postać Ludmiły. Jeśli zdołasz pozyskać jego zaufanie, Irnerio wyjawci ci intrygującą cię zagadkę, istotę związku pomiędzy Nie-Czytelnikiem a Czytelniczką. Szybko, zapytaj go o coś, o cokolwiek. — Ale — to jest jedyne pytanie, które przychodzi ci

do głowy — co ty robisz, kiedy ona czyta?

— Lubię patrzeć, jak ona czyta — mówi Irnerio. — Poza tym ktoś powinien czytać książki, prawda? Przynajmniej jestem spokojny, że nie ja muszę je czytać.

Nie masz się z czego cieszyć, Czytelniku. Zagadka się wyjaśnia, ich zażyłość polega na dopełnieniu się dwóch różnych rytmów życia. Dla Irneria liczy się tylko życie chwilą, sztukę pojmuje on jako chwilowe wyzwolenie życiowej energii, nie zaś jako trwałe dzieło, nagromadzenie życiowych doświadczeń, to czego z kolei szuka w książkach Ludmiły. Lecz on także wyczuwa to nagromadzenie energii, chociaż nie odczuwa potrzeby czytania, czuje natomiast potrzebę ponownego włączenia tej energii w obieg, książki Ludmiły są zaś materia pomocniczą w stwarzaniu dzieł, które choć przez chwilę pozwalają mu na przekazanie własnej energii.

— Ten będzie dobry — mówi Irnerio i zamierza schować tom do kieszeni kurtki.

— Nie, zostaw. To książka, którą właśnie czytam. A poza tym nie należy do mnie, muszę ją zwrócić Przewodniemu. Wybierz sobie inną. Zobacz, ta tutaj wygląda podobnie...

Wziąłeś do ręki tom z czerwoną opaską: „Ostatni sukces Silasa Flannery'ego”, i już to wyjaśnia owo podobieństwo, bo seria powieści Flannery'ego ma ustaloną szatę graficzną. Ale nie chodzi tylko o szatę graficzną, na okładce widnieje tytuł: *W sieci... linii*. Dwa egzemplarze tej samej książki? Tego się nie spodziewałeś. — To naprawdę dziwne. Nigdy bym nie przypuszczał, że Ludmiła już ją ma...

Irnerio cofa ręce. — To nie należy do Ludmiły. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie sądziłem, że to się jeszcze tu płące.

— Dlaczego? A czyje to jest? Co chcesz przez to powiedzieć?

Irnerio bierze tom w dwa palce, podchodzi do niewielkich drzwi, otwiera je, wrzuca książkę do środka. Idziesz za nim, wsadzasz głowę do ciemnej komórki, dostrzegasz stół, a na nim maszynę do pisania, magnetofon, słowniki, opasłe dossier. Bierzesz do ręki kartę tytułową z dossier, zanosisz ją do światła, czytasz: Przekład Hermesa Marany.

Czujesz się jak rażony piorunem. Czytając listy Marany wciąż odnosiłeś wrażenie, że widzisz Ludmiłę... Bo nie potrafisz o niej nie myśleć, tak to sobie tłumaczyłeś jako dowód zakochania. Teraz, rozglądając się po domu Ludmiły, natrafiasz na ślady Marany. Czy prześladowuje cię jakaś obsesja? Nie, od samego początku miałaś przecucie, że coś ich ze sobą łączy... Zazdrość, która jeszcze do tej pory była czymś w rodzaju gry z samym sobą, opanowuje cię teraz bez reszty. A nawet coś więcej niż zazdrość, także podejrzliwość, brak zaufania, poczucie, że nie możesz być pewny nikogo ani niczego... Pościg za przerwana książką, który wprawiał cię w szczególne podniecenie, bo dzieliłeś go z Czytelniczką, okazuje się oto tożsamy z tropieniem jej, ona zaś wymyka ci się w natłoku tajemniczych okoliczności, podstępów,

kolejnych wcieleń...

– Ale... Co Marana ma z tym wspólnego? – pytasz. – Czy on tutaj mieszka?

Irnerio potrząsa głową. – Mieszkał tu. Jakiś czas temu. Chyba już nie wróci. Ale obecnie wszystkie jego opowieści są do tego stopnia przepojone fałszem, że cokolwiek się o nim powie, będzie fałszywe. Przynajmniej to mu się udało. Książki, które tutaj przyniósł, pozornie wyglądają tak samo jak pozostałe, ale ja rozpoznaję je natychmiast, z daleka. I pomyśleć, że jego rzeczy nie powinny się tu plątać, poza tym pokoikiem. A jednak co pewien czas rzuca się w oczy jakiś ślad po nim. Czasem podejrzewam, że on sam je tu zostawia, przychodzi, kiedy tu nikogo nie ma, i ukradkiem podmienia...

– Co podmienia?

– Sam nie wiem... Ludmiła mówi, że wszystko, czego dotyka, staje się fałszywe, nawet jeśli dotąd takie nie było. Ja wiem tylko, że gdybym spróbował wykonywać swoje prace z pozostawionych przez niego książek, to wyszłyby fałszywie, nawet jeśli pozornie wyglądałyby tak samo jak te, które zawsze robię...

– Ale dlaczego Ludmiła trzyma jego rzeczy w tej komórce? Czy oczekuje jego powrotu?

– Ludmiła była nieszczęśliwa, kiedy on tutaj mieszkał... Przestała nawet czytać... Potem uciekła...

To ona odeszła pierwsza... potem on wyjechał...

Cień się oddała. Oddychasz z ulgą. Przeszłość jest zamkniętym rozdziałem. – A gdyby on pojawił się znowu?

– Ona znowu by wyjechała...

– Dokąd?

– No... Może do Szwajcarii... Sam nie wiem...

– Czy ona ma kogoś w Szwajcarii? – Bezwiednie pomyślałeś o pisarzu z lunetą.

– Powiedzmy, że ma, ale to zupełnie inna historia... To ten starzec od kryminałów...

– Silas Flannery?

– Ona mówiła, że kiedy Marana ją przekonywał, iż różnica pomiędzy prawdą a fałszem jest wyłącznie sprawą naszego przesądu, odczuwała wówczas pokusę patrzenia na kogoś, kto pisze książki tak, jak nasienie dyni rodzi dynię, przynajmniej tak powiedziała...

Niespodziewanie otwierają się drzwi. Wchodzi Ludmiła, rzuca na fotel płaszcz i pakunki. – O, jak to miło. Tyłu przyjaciół! Przepraszam za spóźnienie!

Pijesz herbatę siedząc przy niej. Powinien tu być także Irnerio, ale jego fotel jest pusty. – Przecież był tutaj. Dokąd on poszedł?

– Och, pewnie wyszedł. On wchodzi i wychodzi bez słowa.

– To do ciebie tak się wchodzi i wychodzi?

– Dlaczego nie? A ty jak tu wszedłeś?

– Ja i wielu innych!

– Co to ma być? Scena zazdrości?

– A jakież miałbym do niej prawo?

– Czy sądzisz, że w pewnej chwili mógłbyś mieć do tego prawo? Skoro tak, to lepiej nawet nie zaczynać.

– Nie zaczynać czego?

Odstawiasz filiżankę na stolik. Przesiadasz się z fotela na kanapę, tuż obok niej.

(Zaczynać. Sama to powiedziałaś, Czytelniczko. Ale jak można dokładnie wyodrębnić chwilę, w której coś się zaczyna? Wszystko rozpoczęło się już wcześniej, pierwsza linijka pierwszej strony każdej powieści odsyła do czegoś, co wydarzyło się poza książką. Lub też prawdziwa opowieść zaczyna się po dziesięciu czy stu stronach, a wszystko to, co ją poprzedza, jest jedynie do niej prologiem. Poszczególne istnienia jednostek rodzaju ludzkiego tworzą nieprzerwany splot, każda zaś próba wydzielenia z niego cząstki doznań, które miałyby znaczenie w oderwaniu od całości – na przykład spotkanie dwojga osób, decydujące dla obojga – musi liczyć się z tym, że każde z nich holuje za sobą pasmo wydarzeń, miejsc, innych ludzi, a z ich spotkania wezmą początek inne historie, które oddzielią się od ich wspólnej historii.)

Czytelniku i Czytelniczko, leżycie oto razem w łóżku. A zatem nadszedł właściwy moment, abym zwrócił się do was w drugiej osobie liczby mnogiej, zabieg to zobowiązujący, równoznaczny z uznaniem was za wspólny podmiot. Mówię do was, gmatwanino ciał pod spletanym prześcieradłem. Być może potem każde z was podąży swoją drogą i opowieść będzie musiała zadać sobie trud, aby przerzucać biegi z „ty” rodzaju żeńskiego na „ty” rodzaju męskiego. Ale teraz, biorąc pod uwagę to, że wasze ciała, żadne doznań, w zespoleniu naskórków starają się wysyłać i odbierać wibracje, tętnić rytmem pełni i pustki, a wasze umysły również zmierzają do osiągnięcia przymierza, można wygłosić do was jedną mowę, zaadresowaną do jednej dwugłowej osoby. Przede wszystkim należy zakresić pole działania czy sposób bycia tej podwójnej istoty, jaką tworzycie. Dokąd zaprowadzi was to utożsamienie? Jaki jest motyw przewodni waszych wariacji i modulacji? Czy chodzi o napięcie obliczone na to, aby nie utracić nic z własnego potencjału, by przedłużyć swoją zdolność reagowania, wykorzystać wzrastające pożądanie drugiej osoby do spotęgowania siły własnego ładunku? A może chodzi o rozluźnienie, o całkowitą uległość, o badanie bezmiaru przestrzeni wrażliwych na przyjmowanie i oddawanie pieśczęt, o roztopienie własnego bytu w morzu niewyczerpalnej zmysłowości? W obu przypadkach wasze istnienia warunkują się wzajemnie, jednakże po to, aby wasze odrębne „ja” zdołały sprostać obu tym sytuacjom, nie tylko nie mogą się one

rozpłynąć, lecz muszą wypełnić bez reszty pustkę waszych umysłów, skupić się na sobie z najwyższym natężeniem lub też zatracić się ostatecznie. Jednym słowem, to, co robicie, jest bardzo piękne, ale z punktu widzenia gramatyki niczego nie zmienia. Im bardziej wyglądacie na zjednoczone „wy”, w tym większym stopniu jesteście dwojgiem pojedynczych „ty”, bardziej odrębnych niż przedtem.

(Tak dzieje się już teraz, kiedy każde z was pochłonięte jest całkowicie obecnością drugiego. A wyobraźmy sobie, co stanie się wkrótce, kiedy wasze umysły nawiedzać zaczną odmienne rojenia, towarzysząc zbliżeniom waszych ciał wypróbowanych przyzwyczajaniem.)

Czytamy teraz w tobie, Czytelniczko. — Twoje ciało jest poddawane systematycznej lekturze przefiltrowanej przez kanały dotyku, wzroku i węchu, nie bez uczestnictwa brodawek smakowych. Także zmysł słuchu ma w tym swój udział, wrażliwy na twój przyspieszony oddech i twoje trele. Nie tylko twoje ciało jest przedmiotem lektury, ciało liczy się wyłącznie jako zespół złożonych elementów, a nie wszystkie są widoczne i nie wszystkie są obecne, chociaż przejawiają się w procesach widocznych i natychmiastowych: twoje pociemniałe oczy, śmiech, wypowiedane słowa, sposób, w jaki związujesz i rozpuszczasz włosy, w jaki przejmujesz inicjatywę i wycofujesz się, oraz wszystkie sygnały wyznaczające granicę pomiędzy tobą a sferą obyczajów, pamięcią, prehistorią, modą, wszystkie te kody, te ubogie alfabety, za których pośrednictwem istota ludzka myśli w pewnych momentach, że czyta w innej ludzkiej istocie.

Również i ty jesteś przedmiotem lektury, o Czytelniku; Czytelniczka dokonuje oględzin twojego ciała, jakby przeglądała spis treści, to sprawdza konkretne miejsca zdjęta być może nagłą ciekawością, to wnikliwie bada całość, stawia pytania i czeka na niemą odpowiedź, tak jakby każda cząstkowa wizja lokalna interesowała tylko z punktu widzenia szerszego rozpoznania terenu. Raz uwagę jej zwracają błahe szczegóły, być może drobne potknięcia stylu, na przykład wydatne jabłko Adama, czy osób, w jaki zanurzasz twarz w zagłębienie przy jej szyi, i to pozwala jej wyznaczyć margines dystansu, krytycznej rezerwy lub żartobliwej poufałości; innym razem przypadkowo odkryty detal zostaje oceniony ponad miarę, na przykład kształt podbródka czy szczególny sposób, w jaki nagryzasz jej ramię: po takim zbiegu sama nabiera rozpędu, przemierza (razem — przemierzacie) całe stronice, od góry do dołu, nie opuszczając ani przecinka. Tymczasem, w zadowolenie, z jakim przyjmujesz jej sposób czytania w tobie, w jej dosłowne cytaty z twojej fizycznej przedmiotowości wkrada się podejrzliwość: może ona czyta nie w tobie, takim jaki jesteś, lecz posługuje się tobą, posługuje się fragmentami ciebie wyjętymi z kontekstu, aby stworzyć sobie obraz urojonego partnera, znajomego tylko jej samej, w półmroku na wpół uśpionej świadomości, to zaś, co odpytuje, zamienia się w rysy apokryficznego bywalca jej snów, nie w twoje rysy.

Od lektury zapisanych stronic, lektura, jakiej kochankowie poddają swoje ciała (owo swoiste

zespoleń umysłu i ciała, które pozwala im pójść razem do łóżka), różni się tym, że nie jest lekturą linearną. Lektura ta rozpoczyna się w jakimkolwiek punkcie, przeskakuje akapity, powtarza się, zawraca, jest natarczywa, podąża torami wielu różnych informacji, równoczesnych i rozbieżnych, powraca na zbiegające się tory, stawia czoło momentom drażliwym, przewraca stronę, odnajduje urwany wątek, gubi się. Można dopatrzeć się w niej określonego kierunku, bo ona podąża do celu, do osiągnięcia punktu kulminacyjnego, a mając na uwadze ten cel, rozkłada fazy rytmiczne, dobiera stopę metryczną, powtarza pewne motywy. Ale czy prawdziwym celem jest osiągnięcie klimaksu? A może bieg do tego celu zakłóca inny impuls, który płynie pod prąd, aby odzyskać minione chwile, zawrócić czas?

Jeśli zechcielibyśmy przedstawić graficzny wykres całości, każdy epizod ze swym punktem kulminacyjnym wymagałby odrębnego modelu w trzech, może w czterech wymiarach, bo każdy model i każde doświadczenie są niepowtarzalne. Podobieństwo pomiędzy uściskiem miłosnym a lekturą polega na tym, że ich struktura otwiera się na interwały czasu i przestrzeni odmienne od czasu i przestrzeni, które byłyby wymierne.

Już z tej niepewnej improwizacji pierwszego spotkania odczytać można zapowiedź ewentualnego współżycia. Dzisiaj jedno jest przedmiotem lektury drugiego, każde z was czyta w drugim swoją nie napisaną historię. Jutro, Czytelniku i Czytelniczko, jeśli pozostaniecie razem, jeśli położycie się do łóżka jako prawowita para, każde z was zapali przy głowie lampkę i pograży się w swojej książce, dwie równoległe lektury towarzyszyć będą nadchodzeniu snu; najpierw ty, a potem ty zgasicie światło, rozbitkowie oddzielnych światów, odnajdziecie się przelotnie w mroku, który tuszuje wszelkie oddalenie, zanim rozbieżne sny pociągną ciebie w jedną, a ciebie w drugą stronę. Ale nie ironizujcie na temat takiej perspektywy małżeńskiej harmonii: czyż możecie jej przeciwstawić obraz szczęśliwszego związku?

Opowiadasz Ludmile o powieści, którą czytałaś, czekając na nią. — To jedna z tych książek, które lubisz, wzbudza niepokój już od pierwszej strony...

W jej oczach zapala się pytający błysk. Ogarniają cię wątpliwości: może to zdanie o niepokoju słyszałaś nie od niej, może je gdzieś przeczytałaś... A może Ludmiła przestała już wierzyć, że niepokój jest warunkiem prawdy... Może ktoś jej dowiódł, że niepokój także jest pewnym mechanizmem, że nic tak bardzo nie poddaje się fałszerstwu jak podświadomość...

— Mnie podobają się te książki — mówi Ludmiła — w których wszystkie tajemnice i lęki przefiltrowane zostają przez umysł precyzyjny i chłodny, nie znający obaw, podobny umysłowi szachisty.

— W każdym razie jest to historia faceta, który staje się nerwowy, ilekroć słyszy dzwonek telefonu. Pewnego dnia idzie sobie pobiegać...

— Nie opowiadaj dalej. Daj mi przeczytać.

— Ja też nie posunąłem się dużo dalej. Zaraz ci przyniosę książkę.

Wstajesz z łóżka, idziesz po książkę do drugiego pokoju, tam gdzie nieoczekiwany zwrot w twoich stosunkach z Ludmiłą zakłócił zwykły bieg wydarzeń.

Nie znajdujesz jej.

(Odnajdziesz ją na wystawie w jakiejś galerii: ostatnia praca rzeźbiarza Irneria. Strona z zagiętym przez ciebie rogiem przywiera do jednej ze ścian prostopadłościanu, zwartego, sklejonego, pociągniętego bezbarwnym lakierem. Osmalony cień jakby płomienia, który wydobywa się z wnętrza książki, wygina powierzchnię strony i ukazuje kolejne warstwy niczym w zgrubieniu kory.)

— Nie mogę jej znaleźć, ale nic nie szkodzi — mówisz — bo widziałem, że masz jeszcze drugi egzemplarz. A nawet myślałem, że już ją czytałaś...

Nie spostrzegła, kiedy wszedłeś do komórki i odszukałeś książkę Flannery'ego z czerwoną opaską. — Oto on.

Ludmiła otwiera tom. W środku jest dedykacja: „Dla Ludmiły... Silas Flannery”. — Tak, to mój egzemplarz...

— A więc znasz Flannery'ego? — wykrzykujesz, jakbyś nic nie wiedział.

— Tak, podarował mi tę swoją książkę... Ale byłam przekonana, że mi ją ukradziono, zanim zdążyłam ją przeczytać...

— ...Irnerio ci ją ukradł?

— No...

Nadeszła chwila, żebyś odkrył karty.

— To nie był Irnerio i dobrze o tym wiesz. Irnerio, jak tylko ją zobaczył, wrzucił ją do tego ciemnego pokoju gdzie przechowujesz...

— A kto pozwolił ci tam szperać?

— Irnerio mówi, że ten facet, który podkradał książki, wraca teraz ukradkiem i podrzuca ci falsyfikaty...

— Irnerio nic nie wie.

— Ale ja wiem: Przewodni dał mi do przeczytania listy Marany.

— Wszystko, co opowiada Hermes, jest zawsze kłamstwem.

— Jedno jest prawdziwe, ten człowiek nie przestaje o tobie myśleć, wciąż widzi ciebie w swoich rojeniach, prześladuje go obraz twojej postaci pogrążonej w lekturze...

— Bo właśnie tego widoku nigdy nie mógł znieść.

Powoli przyczyny machinacji tłumacza stają się dla ciebie bardziej zrozumiałe; ukrytą sprężyną,

która wprawiła je w ruch, była zazdrość o niewidzialnego rywala, co nieustannie wkradał się pomiędzy niego a Ludmiłę, o milczący głos, który przemawiał do niej za pośrednictwem książek, o zjawę o tysiącu twarzy pozbawioną oblicza, tym bardziej nieuchwytną, że w wyobraźni Ludmiły autorzy nigdy nie przybierają postaci z krwi i kości, istnieją dla niej tylko na zadrukowanych stronach, żywi bądź umarli, są tam, zawsze gotowi się z nią porozumieć, zadziwić ją, oczarować, a Ludmiła zawsze gotowa jest za nimi podążać, pełna beztroskiej nieśmiałości, jaka cechuje nasze stosunki z osobami pozbawionymi cielesności. W jaki sposób można skompromitować nie samych pisarzy, lecz rolę pisarza, zbić owo przekonanie, że za każdą książką kryje się ktoś, kto poręczy za prawdziwość tego zmyślnego i urojonego świata, już choćby z uwagi na to, że wniósł weń swoją własną prawdę, że utożsamił siebie z tą słowną konstrukcją? Zawsze, bo jego upodobania i zdolności skłaniały go w tym kierunku, lecz bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy jego stosunki z Ludmiłą weszły w fazę kryzysu, Hermes Marana marzył o literaturze złożonej z apokryfów, z podróbek, imitacji i pastiszy. Gdyby zdołał narzucić światu tę myśl, gdyby niepewność co do tożsamości autora przeszkadzała czytelnikowi w poddawaniu się lekturze z ufnością — ufnością nie tyle w to, co mu się opowiada, ile w milczący głos opowiadającego — być może pozornie w gmachu literatury nic by się nie zmieniło... lecz pod spodem, u podstaw, tam gdzie rodzi się więź czytelnika z tekstem, coś na zawsze uległoby przemianie. Wówczas Hermes Marana nie czułby się już opuszczony przez Ludmiłę pogrążoną w lekturze: pomiędzy nią a książkę zawsze wkradałby się cień mistyfikacji, on zaś, Marana, utożsamiając się z każdą mistyfikacją, potwierdzałby w ten sposób swoją obecność.

Twoje spojrzenie pada na początek powieści. — Ależ to nie jest książka, którą czytałem... Tytuł ten sam, okładka też, wszystko takie samo... Ale to inna książka! Jedna z nich jest fałszywa.

— Oczywiście, że jest fałszywa — mówi cicho Ludmiła.

— Mówisz, że jest fałszywa, bo przeszła przez ręce Marany? Ale tę, którą czytałem, również przysłał Przewodniemu Marana! Czyżby obie były fałszywe?

— Tylko jedna osoba może powiedzieć nam prawdę, sam autor.

— Możesz go o to zapytać, skoro jesteś jego przyjaciółką...

— Byłam.

— To do niego jechałaś, kiedy uciekałaś od Marany?

— Jak ty dużo wiesz! — mówi ironicznym tonem, który irytuje cię bardziej niż cokolwiek innego.

Czytelniku, podjąłeś już decyzję: odszukasz pisarza. Tymczasem, odwróciwszy się plecami do Ludmiły, zaczynasz czytać nową książkę ukrytą pod identyczną okładką.

(Identyczną do pewnego stopnia. Opaska „Ostatni sukces Silasa Flannery'ego” zasłania dwa słowa tytułu. Wystarczy ją odchylić, a spostrzeżesz, że tytuł tego tomu nie brzmi *W sieci zbiegających się*

linii, lecz W sieci przecinających się linii.)

W sieci przecinających się linii

Spekulacje, refleksje: każdy proces myślowy odsyła mnie do luster. Według Plotyna dusza jest lustrem, które stwarza rzeczy materialne odbijające idee wyższego bytu. Być może dlatego potrzebne mi są lustra, kiedy rozmyślam; nie umiem się skupić bez obecności odbitych obrazów, zupełnie jakby moja dusza potrzebowała wzoru do naśladowania za każdym razem, gdy zamierza wykorzystać swoje zdolności spekulacyjne. (Użyte tu słowo odzwierciedla wszystkie zawarte w nim znaczenia, bo ja jestem człowiekiem myślącym, a zarazem jestem człowiekiem interesu, ponadto kolekcjonuję przyrządy optyczne.)

Zaledwie przykładam oko do kalejdoskopu, czuję, że mój umysł, śledząc, jak szkiełka różnych kształtów i barw łączą się i układają w regularne figury, natychmiast odnajduje w tym procesie model godny naśladowania; choć jest to tylko śmiało rysujący się a nietrwały obraz precyzyjnej budowli, która rozpada się przy najslabszym puknięciu paznokciem w ścianki rurki i ustępuje miejsca następnej konstrukcji, gdzie te same elementy tworzą inną całość.

Od czasu, kiedy jeszcze jako kilkunastoletni chłopiec spostrzegłem, że kontemplowanie emaliowanych ogrodów wirujących na dnie lustrzanej studni pobudza we mnie zdolność do podejmowania korzystnych decyzji i stawiania śmiałych prognoz, zacząłem kolekcjonować kalejdoskopy. Historia tego przedmiotu, stosunkowo niedługa (kalejdoskop został opatentowany w roku 1817 przez szkockiego fizyka, sir Davida Brewstera, autora między innymi *Treatise on New Philosophical Instruments*), wyznaczyła mojej kolekcji ciasne ramy chronologii. Lecz wkrótce zwróciłem się w kierunku znacznie świetniejszej i bardziej fascynującej dziedziny antykwarycznej: zainteresowały mnie przyrządy katoptryczne z siedemnastego stulecia, teatryki różnych kształtów, w których dany przedmiot zostaje zwielokrotniony za każdym razem, kiedy zmienia się kąt zestawienia luster. Moim zamiarem jest odtworzenie zbiorów, zgromadzonych przez jezuitę Athanasiusa Kirchera, autora *Ars magna lucis et umbrae* (1646) i wynalazcy „latarni magicznej”, sporej skrzynki, której wewnątrz wypełnia blisko sześćdziesiąt szkiełek, zdolnych przemienić jedną gałąź w cały las, ołowianego żołnierza w wojsko, skromną książeczkę w bibliotekę.

Ludzie interesu, którym przed naradą pokazuję moją kolekcję, spoglądają na te osobliwe instrumenty z umiarkowaną ciekawością. Nie wiedzą, że moje imperium finansowe zbudowałem na tej samej zasadzie, na jakiej skonstruowano kalejdoskopy i przyrządy katoptryczne, co, niby w grze luster, pozwala mi pomnażać spółki pozbawione kapitału, wyolbrzymiać kredyty, lokować katastrofalne pasywa

w martwych polach zwodniczych obrazów. Mój sekret, tajemnica nieprzerwanego pasma moich sukcesów finansowych w epoce, która była świadkiem tyłu kryzysów, krachów na giełdzie, przypadków bankructwa, polega zawsze na tym samym: nigdy nie myślałem bezpośrednio o pieniądzu, o interesach. o korzyściach, moje myśli zaprzętały natomiast kąty załamania, które powstają wskutek nachylenia lśniących powierzchni.

Moim celem jest zwielokrotnienie własnego odbicia, chociaż nie powoduje mną narcyzm ani megalomania, jak można by pochopnie sądzić, przeciwnie, powoduje mną chęć ukrycia, wśród tyłu zwodniczych obrazów własnej osoby, mojego prawdziwego „ja”, które wprawia w ruch moje pozostałe wcielenia. Dlatego też, gdybym się nie obawiał, że zostanę źle zrozumiany, nie miałbym nici przeciwko temu, aby odtworzyć we własnym domu komnatę według projektu Kirchera, komnatę wyłożoną lustrami, w której widziałbym siebie chodzącego po suficie głową w dół i ulatującego ku górze z głębin podłogi.

Także te strony, które piszę, powinny emanować zimną świetlistością gabinetu luster, gdzie ograniczona liczba figur ulega załamaniu, przewróceniu do góry nogami i zwielokrotnieniu. Odbicia mojej postaci rozchodzą się we wszystkich kierunkach i rozdwiają się na każdej krawędzi tylko po to, aby zniechęcić tych, którzy chcą mnie ścigać. Jestem człowiekiem, który ma wielu wrogów, i nieustannie muszę im umykać. Gdy sądzą, że już mnie dopadli, zderzają się wyłącznie z powierzchnią lustra, na której pojawia się i rozplywa jedno z moich wszechobecnych odbić. Jestem także człowiekiem, który prześladowuje swoich licznych wrogów, spada na nich zniecka, nieuchronnie posuwa się naprzód całym zastępem i odcina im drogę odwrotu. W owym katoptrycznym świecie moi wrogowie też mogą ulec złudzeniu, że okrążają mnie z każdej strony, ale tylko ja znam rozmieszczenie luster i potrafię stać się nieuchwytny, podczas gdy oni będą zderzać się ze sobą.

Chciałbym, aby moja opowieść zdołała to wszystko wyrazić, przytaczając szczegóły finansowych operacji, raptowne zwroty podczas zebrań rady nadzorczej, telefony spanikowanych maklerów giełdowych, fragmenty mapy miasta, usta Lorny, kiedy wyrzuciła z siebie to zdanie, spojrzenie Elfridy wyrażające jej nieubłagane postanowienie, nakładające się na siebie obrazy, plan miasta z rozpiętą siecią krzyżyków i strzałek, motocykle, które oddalają się i znikają na krawędziach lustra, motocykle, których trasa zbiega się z torem jazdy mojego mercedesa.

Od chwili, kiedy stało się jasne, że uprowadzenie mojej osoby byłoby posunięciem pożądanym nie tylko przez bandy zawodowych gangsterów, lecz także przez moich najpoważniejszych współników i rywali w świecie wielkiej finansjery, zrozumiałem, że tylko wtedy, gdy pomnożę siebie samego, gdy zwielokrotnię moją własną osobę, moją obecność, moje wyjazdy i powroty do domu, kiedy jednym

słowem zwielokrotnię sposobności zastawienia pułapki na samego siebie, tylko wówczas zdołam sprowadzić do minimum ryzyko wpadnięcia w ręce wrogów.

Zamówiłem zatem jedenaście jednakowych mercedesów, takich samych jak mój, które o każdej porze wyjeżdżają i wjeżdżają przez opancerzoną bramę mojej willi pod eskortą motocyklistów z mojej ochrony, wewnątrz każdego mercedesa siedzi zaś postać ubrana na czarno i okutana, pod którą mógłbym kryć się ja sam lub jeden z moich sobowtórów. Spółki, którymi zarządzam, oznaczone są tylko skrótami, ich siedziby mieszczą się w pustych, zmiennych lokalach, a zatem zebrania zarządu mogą odbywać się wciąż pod innym adresem, który dla większego bezpieczeństwa za każdym razem polecam zmieniać w ostatniej chwili. Problemy delikatniejszej natury stwarza mi pozamałżeński związek, który utrzymuję z pewną dwudziestodziewięcioletnią damą, rozwódką imieniem Lorna, poświęcając jej dwa, a niekiedy nawet trzy spotkania tygodniowo, po dwie godziny i trzy kwadransy każde. Aby osłonić Lornę, nie widziałem innego wyjścia, jak tylko zachować w tajemnicy jej adres, system zaś, do którego się odwołałem, polega na ostentacyjnym utrzymywaniu wielu miłosnych stosunków jednocześnie, tak aby nie sposób było odróżnić prawdziwej kochanki od kochanek fikcyjnych. Toteż każdego dnia ja sam oraz moje sobowtóry odwiedzamy o różnych porach rozmaite pied-a-terre rozsiane po całym mieście, w których mieszkają atrakcyjne kobiety. Ta sieć fałszywych kochanek pozwala mi utrzymywać w tajemnicy moje prawdziwe spotkania z Lorną także przed moją żoną Elfridą, której całą tę aranżację przedstawiłem jako wynik podjęcia koniecznych środków ostrożności. Jeśli chodzi o nią, o Elfridę, to moje rady, aby nadać jak największy rozgłos wszystkim jej wyjściom z domu i pokrzyżować tym samym ewentualne plany przestępców, nie spotykają się z jej strony z należytych zrozumieniem. Elfrida woli pozostawać w ukryciu, unika też luster z mojej kolekcji, jakby w obawie, że jej odbicie ulegnie rozpadowi i unicestwieniu. Wymykają mi się głębsze motywy takiej postawy i muszę przyznać, dosyć mnie ona irytuje. Chciałbym, aby wszystkie opisywane przeze mnie szczegóły stwarzały wrażenie działania precyzyjnego mechanizmu, chociaż chciałbym też, aby pozwalały one dostrzegać wymykające się refleksy światła, które odsyłają do czegoś, co pozostaje poza polem widzenia, do tego muszę dbać o to, aby co pewien czas w miejscu, gdzie akcja ulega zagęszczeniu, przytoczyć jakiś cytat z dawnych tekstów, jak na przykład fragment De *magia nawale* Giovanniego Battisty delia Porta, gdzie mowa jest o tym, że mag, czyli „minister Natury” (cytuję z włoskiego przekładu Pompea Sarnellego, 1577), musi znać „sposoby, co zwodzą oczy w odbiciach rzeczy widzianych pod wodą i lustrach różnych kształtów, które to odbicia przejmują lustra zawieszane w powietrzu, a także sposoby, co pozwolą wyraźnie postrzegać rzeczy odległe”.

Szybko pojąłem, że wrażenie niepewności wywołane przez jednakowe samochody, które krążą

tam i z powrotem, nie wystarczy, aby zażegnać niebezpieczeństwo zastawianych pułapek. Pomyślałem wtedy, aby powielające właściwości układów katoptrycznych wykorzystać przeciwko gangsterom, urządzać fikcyjne zasadzki i fikcyjne porwania jakiegoś fikcyjnego „mnie”, a potem odgrywać fikcyjne sceny uwolnienia oraz wypłaty fikcyjnych okupów. Dlatego też podjąłem się roli założyciela równoległej organizacji przestępczej, stopniowo zacieśniając tym samym więzy ze światem marginesu. W ten sposób udało mi się uzyskać sporo informacji o projektach prawdziwych porwań, dzięki czemu mogę wkraczać na scenę w odpowiedniej chwili po to, aby osłonić siebie, lub po to, aby wykorzystać nieszczęśliwe wypadki moich rywali w interesach.

W tym miejscu opowieści można by wspomnieć o tym, że jedną z zalet lustra, omawianą w dawnych księgach, jest jego zdolność ukazywania rzeczy dalekich i tajemnych. Arabscy geografowie czasów średniowiecza w opisie portu Aleksandrii wspominają o kolumnie wzniesionej na wyspie Faros, zwieńczonej zwierciadłem ze stali, w którym z ogromnej odległości widać statki płynące po wodach Cypru, Konstantynopola i wszystkich ziem należących do Rzymu. Dzięki zdolności skupiania promieni krzywe zwierciadła mogą złowić obrazy wszystkich rzeczy. „Sam Bóg, którego ciało i dusza są niewidzialne — pisze Porfiriusz — pozwala oglądać się w zwierciadle.” Chciałbym, aby procesowi odśrodkowego rozpraszania się promieni, co sprawia, że moje odbicie rozchodzi się we wszystkich kierunkach przestrzeni, towarzyszyło zrodzone na tych stronach wyobrażenie ruchu przeciwnego, dzięki czemu lustra przekazują mi obrazy rzeczy, których inaczej nie mógłbym objąć wzrokiem. Odbijając swe świetliste promienie z lustra do lustra, ogół rzeczy, cały wszechświat, mądrość boża — o czym zdarza mi się marzyć — zdołały oto ześrodkować swoje odbicie w jednym jedynym zwierciadle. A być może znajomość wszechrzeczy została pogrzebana w duszy, zatem system luster, który powieliłby mój obraz w nieskończoność, a jego istotę przekazał w jednym odbiciu, objawiłby mi ducha wszechrzeczy we mnie ukrytego.

Na tym właśnie, nie na czym innym polegałaby moc magicznych zwierciadeł, o której tyle mówią traktaty z zakresu nauk tajemnych oraz klątwy rzucane przez inkwizytorów, miałaby ona zmusić boga ciemności do tego, aby się ujawnił i zespolił swój obraz z obrazem odbitym w lustrze. Musiałem rozszerzyć moją kolekcję o nową dziedzinę: antykwariusze i właściciele sal licytacyjnych z całego świata zostali powiadomieni, aby natychmiast rezerwowali do mojej dyspozycji niesłychanie rzadkie egzemplarze zwierciadeł renesansowych, których kształt bądź pisemne świadectwo pozwoliłyby zaliczyć je do zwierciadeł magicznych.

Była to trudna rozgrywka, w której każdy błąd mógł mnie drogo kosztować. Moje pierwsze fałszywe posunięcie polegało na tym, że nakłoniłem swoich rywali do tego, aby założyli wraz ze mną

towarzystwo ubezpieczeniowe na wypadek uprowadzenia. Ufny w moją sieć informatorów w świecie przestępczym, sądziłem, że kontroluję każdą ewentualność. Wkrótce dowiedziałem się, że moi wspólnicy utrzymują z bandami porywaczy bliższe stosunki niż ja sam. Okupem za następne uprowadzenie miał się stać cały kapitał towarzystwa ubezpieczeniowego; zostałby on potem podzielony pomiędzy organizację przestępczą i ich wspólników, akcjonariuszy towarzystwa, wszystko oczywiście na koszt porwanego. Nie ulegało wątpliwości, kim miała być następna ofiara: miałem nią być ja sam.

Plan szykowanej na mnie zasadzki przewidywał, że pomiędzy trzy motocykle typu Honda z ochrony a mój opancerzony samochód mają wśliznąć się trzy motocykle Yamaha, prowadzone przez trzech fałszywych policjantów, którzy gwałtownie zahamują przed zakrętem. Natomiast zgodnie z moim planem, mojego mercedesa zablokują trzy motocykle Suzuki o pięćset metrów wcześniej, dokonując fałszywego porwania. Kiedy ujrzałem, że trzy motory Kawasaki osaczają mnie na skrzyżowaniu poprzedzającym tamte dwa, zrozumiałem, że moja kontrakcja dostała mata od innej kontr-kontrakcji zaplanowanej przez nie znanych mi zleceniodawców.

Hipotezy, które chciałem tu przytoczyć, załamują się i rozpraszają niczym w kalejdoskopie, podobnie jak wcześniej rozpadła się na moich oczach mapa miasta, którą podzieliłem na części, aby znaleźć skrzyżowanie ulic, gdzie, według moich informatorów, przyszykowano zasadzkę, i aby wyznaczyć miejsce, w którym mógłbym zyskać przewagę czasu nad moimi wrogami, co pozwoliłoby mi obrócić ich plan na moją korzyść. Czułem się zabezpieczony, magiczne zwierciadło skupiało wszystkie złe moce, oddając mi je w służbę. Nie liczyłem się z istnieniem trzeciego planu porwania, przygotowanym przez nieznaną sprawców. Przez kogo?

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu porywacze odwożą mnie nie do jakiejś kryjówki, lecz do mojego domu, zamykają w katoptrycznej komnacie, którą tak starannie zrekonstruowałem według rysunków Athanasiusa Kirchera. Lustrzane ściany odsyłają nieskończoną ilość moich odbić. Czyżbym został porwany przez siebie samego? Czy jedno z moich odbić wysłanych na zewnątrz zajęło moje miejsce i skazuje mnie teraz na odgrywanie roli odbitego obrazu? Przywoływałem Pana Ciemności, a on staje oto przede mną pod moją własną postacią?

Na lustrzanej podłodze spoczywa ciało związanej kobiety. To Lorna. Przy najmniejszym ruchu jej nagie ciało zwielokrotnia się, odbite we wszystkich zwierciadłach. Rzucam się na nią, chcę ją uwolnić z więzów i knebla, wziąć ją w ramiona, ale ona opiera się, rozwścieczona. — Sądzisz, że masz mnie w ręku? Jesteś w błędzie — i rozdrapuje mi paznokciami twarz. Czy jest tu uwięziona ze mną? Czy jest moim więźniem? Czy może to ona jest moim więzieniem?

Tymczasem otwierają się drzwi. Wchodzi Elfrida. — Wiedziałam, że grozi ci niebezpieczeństwo, i

zdołałam cię ocalić — mówi. — Może w sposób nieco brutalny, ale nie miałam wyboru. Teraz jednak nie mogę znaleźć wyjścia z tej lustrzanej klatki. Szybko, powiedz, jak mam się stąd wydostać?

Oko i brew Elfridy, noga w wysokim, przylegającym bucie, kącik ust o wąskich wargach i zbyt białych zębach, upierścieniona ręka ściska rewolwer — wszystkie te elementy powtarzają się, powiększone przez lustra, a pomiędzy te zniekształcone fragmenty jej postaci wplatają się skrawki skóry Lorny, tworząc jakby cielesne pejzaże. Nie potrafię już odróżnić tego, co należy do jednej, a co do drugiej z nich, gubię się, wydaje mi się, że zgubiłem samego siebie, nie dostrzegam własnego odbicia, widzę jedynie odbicie ich obu. W jednym z utworów Novalisa wtajemniczony bohater, który zdołał odkryć ukrytą siedzibę Izidy, unosi welon bogini... Teraz wydaje mi się, że wszystko, co mnie otacza, jest częścią mnie samego, że nareszcie zdołałem stać się wszystkim...

VIII

Z dziennika Silasa Flannery'ego

Na tarasie górskiego domku w głębi doliny siedzi na leżaku kobieta i czyta. Codziennie, zanim zabiorę się do pracy, dobrą chwilę obserwuję ją przez lunetę. W tym czystym i orzeźwiającym powietrzu zdaje mi się, że potrafię w jej nieruchomej postaci uchwycić ów niedostrzegalny ruch, jakim jest akt lektury, tę płynność spojrzenia i oddechu, a zwłaszcza sam proces przepływu słów przez świadomość drugiego człowieka — ich swobodny strumień i nagle zahamowania, rozpęd, opóźnienia i pauzy, koncentrację uwagi lub jej rozproszenie, powroty do przeczytanych fragmentów — jednym słowem, cały ten przepływ z pozoru równomierny, a zawsze tak zmienny i zróżnicowany.

Od ilu to już lat nie mogę pozwolić sobie na bezinteresowne czytanie? Od ilu lat nie potrafię poddać się lekturze książki napisanej przez innych, nie mającej żadnego związku z tym, co sam muszę napisać? Odwracam się i widzę biurko, które na mnie czeka, maszynę z wkręconą kartką papieru, kolejny rozdział do napisania. Odkąd stałem się galernikiem pióra, utraciłem przyjemność, jaką czerpałem z lektury. To, co robię, ma na celu osiągnięcie stanu ducha tej kobiety na leżaku, w zasięgu mojej lunety, a właśnie ten stan ducha jest mi wzbroniony.

Każdego dnia, zanim zabiorę się do pracy, obserwuję kobietę na leżaku; mówię sobie, że rezultatem nienaturalnego wysiłku, który narzucam sobie, by pisać, powinien być równy oddech tej czytelniczki, akt czytania bowiem stał się już procesem naturalnym. Zdania dają się porwać prądowi, by przesączone przez filtr jej skupienia, opóźnić na chwilę swój bieg, zanim zostaną wchłonięte przez obwody jej myśli, a następnie znikną przeobrażając się w jej własne wizje, w to, co jest w niej najbardziej intymne i niewyraźne.

Czasem ogarnia mnie absurdatne pragnienie, żeby zdanie, które mam napisać, było właśnie tym zdaniem, które czyta kobieta. Tak dalece ulegam tej sugestii, że przekonuję sam siebie, że to prawda; pośpiesznie piszę zdanie, podnoszę się, podchodzę do okna i ustawiam lunetę, by wrażenie, jakie wywarło moje zdanie, wychwycić z jej spojrzenia, z wygięcia warg, z zapalnego papierosa, z nowej pozycji na leżaku, z założenia lub wyprostowania nóg.

Czasem wydaje mi się, że dystans istniejący pomiędzy moim pisaniem a jej czytaniem jest nie do pokonania, że wszystko, co piszę, ma piętno sztuczności i bezsensu, i gdyby to, co w tej chwili przenoszę na papier, ukazało się na gładkiej powierzchni stronicy, którą ona czyta, rozległby się zgrzyt, jak po przesunięciu paznokciem po szkle, a ona ze zgrozą odrzuciłaby książkę daleko od siebie.

Czasem wmawiam sobie, że kobieta czyta moją prawdziwą książkę, tę, którą od dawna powinienem był napisać, lecz której nie zdołałem napisać nigdy. Przekonuję sam siebie, że ta książka jest właśnie tam, słowo po słowie, widzę ją w soczewkach lunety, ale nie mogę przeczytać tego, co tam napisano, nie zdołałem poznać tego, co napisało to „ja”, którym zostać nie zdołałem i nigdy nie zdołałem. To bez sensu, bym zasiadał ponownie przy biurku i usiłował odgadywać, przepisywać tę moją prawdziwą książkę, którą ona czyta; wszystko, co napiszę, będzie brzmiało fałszywie w zestawieniu z moją książką prawdziwą, której poza nią nigdy nikt nie przeczyta.

A gdyby tak, podobnie jak ja obserwuję ją, podczas gdy czyta, ona wycelowała lunetę we mnie, podczas gdy piszę? Siedzę przy biurku, odwrócony plecami do okna, i oto czuję na sobie spojrzenie wysysające strumień zdań, sprowadzające narrację na inne tory, którymi nie podąża już moja myśl. Czytelnicy są moimi wampirami. Czuję, jak tłumnie zaglądają mi przez ramię i przywłaszczają sobie słowa, które jedno po drugim pojawiają się na papierze. Nie potrafię pisać, gdy ktoś na mnie patrzy, czuję wtedy, że to, co piszę, nie należy już do mnie. Chciałbym zniknąć, pozostawić ich świdrującym oczom jedynie wkręconą kartkę papieru, co najwyżej moje palce uderzające w klawisze maszyny.

Jak dobrze potrafiłbym pisać, gdyby mnie nie było! Gdyby pomiędzy białą kartką papieru a wrzeniem słów i opowieści, które przybierają formę i ulatniają się, zanim ktoś zdoła przelać je na papier, nie istniała ta krępująca przesłona, jaką jest moja osoba! Styl, smak, własna filozofia, subiektywizm, kultura literacka, nabyte doświadczenie, psychologia, talent, triki zawodowe — wszystkie te czynniki, które sprawiają, że to, co piszę, jest rozpoznawalne jako moje, wydają mi się klatką ograniczającą możliwości. Gdybym był samą ręką, odciętą dłonią, która chwyta za pióro i pisze... Kto poruszałby tą ręką? Anonimowy tłum? Duch czasu? Zbiorowa podświadomość? Nie wiem. Nie po to chciałbym unicestwić sam siebie, by stać się rzecznikiem tego, co da się wyrazić. Chciałbym jedynie przekazać to, co da się przekazać i czeka, by ktoś to napisał, ujawnić to, co da się opowiedzieć, a czego nikt nie opowiada.

Być może kobieta, którą widzę przez lunetę, wie, co powinienem napisać, lub też tego nie wie, gdyż właśnie ode mnie oczekuje, że napiszę to, czego ona nie wie; lecz tym, o czym wie z pewnością, jest oczekiwanie, pustka, którą wypełnić powinny moje słowa.

Czasem myślę o treści tej nie napisanej książki jako o czymś, co już istnieje, to myśli już pomyślane, dialogi już wypowiedziane, wypadki dokonane, okoliczności i realia dobrze znane. Książka powinna być zatem jedynie ekwiwalentem świata nie napisanego, ale przekładalnego na słowo pisane. Innym razem natomiast wydaje mi się, że pomiędzy nie napisaną książką a rzeczami, które już istnieją, może być mowa jedynie o pewnym dopełnieniu: książka powinna być napisaną repliką w dialogu prowadzonym z nie napisanym światem. O treści powinno stanowić to, czego nie ma i czego być nie

może, a co mogłoby mieć formę napisanego tekstu; chociaż w tym, czego nie ma, to, co jest, niewyraźnie przeczuwa pustkę swej niezupełności.

Tak czy inaczej jedno jest pewne, zastanawiam się nad wzajemną zależnością pomiędzy światem nie napisanym i książką, którą powinienem napisać. Toteż pisanie wydaje mi się sprawą tak wielkiej wagi, że uginam się pod brzemieniem odpowiedzialności. Przykładam oko do lunety wycelowanej w czytelniczkę. Pomiędzy jej oczami a kartką papieru lata biały motyl. Niezależnie od tego, co czyta, uwagę jej przyciągnął teraz motyl. Świat nie napisany osiąga swój punkt kulminacyjny w obrazie motyla. Precyzja, umiar i lekkość są tym właśnie, do czego powinienem dążyć.

Obserwując kobietę na leżaku, odczułem niespodziewanie potrzebę pisania „z natury”, to znaczy pisania nie o czytelniczce, lecz o jej czytaniu, potrzebę napisania czegośkolwiek, pamiętając o tym, że musi to przejść przez jej lekturę.

Teraz, spoglądając na motyla, który przysiada na mojej książce, chciałbym pisać „z natury”, napomykając o jego obecności. Chciałbym na przykład opisać potworną zbrodnię, która w jakiś sposób „przypominałaby” motyla, była jak on lekka i delikatna...

Mógłbym także opisać motyla mając przed oczami potworną scenę zbrodni, tak by motyl stał się czymś przerażającym.

Zarys opowiadania. Dwaj pisarze, zamieszkujący dwa górskie domki położone na przeciwległych zboczach okalających dolinę, obserwują się na przemian. Jeden z nich ma zwyczaj pisania rano, drugi po południu. Tak zatem pisarz, który akurat nie pisze, wycelowuje lunetę w tego, który pisze.

Jeden z nich jest pisarzem płodnym, drugi pisarzem znerwicowanym. Pisarz znerwicowany patrzy, jak pisarz płodny wypełnia stronicę równymi linijkami pisma, jak rękopis rośnie w stos uporządkowanych kartek. Wkrótce książka zostanie ukończona, będzie to z pewnością jeszcze jeden bestseller — myśli pisarz znerwicowany z pewną wzdrganą, lecz także z niejaką zazdrością. Uważa on pisarza płodnego jedynie za zręcznego rzemieślnika, zdolnego produkować seryjne powieści, schlebające gustom czytelników. W uczuciu tym mieści się nie tylko zazdrość, jest w nim także podziw, tak, szczerzy podziw. W tym, że człowiek ten, nie stwarzając sobie problemów introwertycznych, całą swą energię poświęca pisaniu, zawiera się pewna wielkoduszność, wiara w zdolność komunikowania, w dawanie innym tego, czego od niego oczekują. Pisarz znerwicowany zapłaciłby każdą cenę, by upodobnić się do pisarza płodnego. Chciałby uznać go za wzór, gorąco pragnie stać się takim jak tamten.

Pisarz płodny widzi, jak pisarz znerwicowany siada przy biurku, gryzie paznokcie, drapie się, przedziera kartkę, wstaje, by pójść do kuchni i zaparzyć sobie kawę, potem herbatę, potem rumianek,

potem czyta wiersz Holderlina (choć to jasne, że Holderlin nie ma nic wspólnego z tym, co on pisze), przepisuje gotową stronę, a potem przekreśla ją linijka po linijce, dzwoni do pralni (choć wiadomo, że niebieskie spodnie będą gotowe nie wcześniej niż w czwartek), potem robi parę notatek, które być może przydadzą mu się później, potem sprawdza w encyklopedii hasło Tasmania (choć to jasne, że w tym, co pisze, nie ma żadnej wzmianki o Tasmanii), drze dwie kartki, nastawia płytę z Ravelem. Pisarz płodny nigdy nie lubił książek pisarza znerwicowanego, zawsze ulegał złudzeniu, że już-już uchwycił punkt kulminacyjny utworu, potem punkt ten umykał mu, a on sam czuł się niepewny. Teraz jednak, kiedy patrzy, jak tamten pisze, czuje, że człowiek ten walczy z czymś mrocznym, z jakimś zagmatwanym splotem, że próbuje przebić drogę, która nie wiadomo dokąd prowadzi. Czasami wydaje mu się, że tamten stąpa po linie rozpiętej nad otchłanią, i wtedy czuje, jak ogarnia go uczucie podziwu. Nie tylko podziwu, także zazdrości, gdyż czuje wówczas, jak bardzo ograniczona i powierzchowna jest jego praca w porównaniu z tym, czego poszukuje pisarz znerwicowany.

Na tarasie górskiego domku w głębi doliny opala się młoda kobieta i czyta książkę. Dwaj pisarze obserwują ją przez lunetę. „Jakże jest pochłonięta lekturą, czyta z zapartym tchem! Jak gorączkowo przewraca kartki! — myśli pisarz znerwicowany. — Pewnie czyta powieść sensacyjną w rodzaju tych, jakie pisze pisarz płodny!” „Jakże jest pochłonięta lekturą, stała się niemal uosobieniem medytacji, jakby uczestniczyła w objawieniu tajemnej prawdy! — myśli pisarz płodny. — Pewnie czyta książkę pełną podtekstów w rodzaju tych, jakie pisze pisarz znerwicowany.”

Największym pragnieniem pisarza znerwicowanego jest być czytany tak, jak czyta ta młoda kobieta. Zaczyna pisać powieść w taki sposób, w jaki według niego napisałby ją pisarz płodny. Także największym pragnieniem pisarza płodnego jest być czytany tak, jak czyta ta młoda kobieta. Zaczyna pisać powieść w taki sposób, w jaki według niego napisałby ją pisarz znerwicowany.

U młodej kobiety zjawia się najpierw jeden, potem drugi pisarz. Każdy z nich mówi, że chciałby, aby przeczytała powieść, którą właśnie ukończył.

Młoda kobieta przyjmuje oba rękopisy. Po paru dniach zaprasza autorów do siebie, obydwu razem ku ich wielkiemu zaskoczeniu. — Co to za żart? — mówi. — Daliście mi dwie kopie tej samej powieści!

Albo:

Młoda kobieta nieumyślnie zamienia oba rękopisy. Płodnemu oddaje powieść znerwicowanego napisaną w manierze płodnego, a znerwicowanemu powieść płodnego napisaną w manierze znerwicowanego. Wobec tego wzajemnego naśladownictwa obaj pisarze reagują gwałtownie i odnajdują własną wenę.

Albo:

Podmuch wiatru miesza oba rękopisy. Czytelniczka stara się je uporządkować. Wychodzi z tego jedna powieść tak świetna, że krytycy nie wiedzą, komu ją przypisać. To powieść, którą zarówno pisarz płodny, jak i pisarz znerwicowany zawsze pragnęli napisać.

Albo:

Młoda kobieta zawsze była namiętną czytelniczką pisarza płodnego i nie mogła znieść pisarza znerwicowanego. Czytając nową powieść pisarza płodnego uznaje ją za kiepską i dochodzi do wniosku, że wszystko, co napisał, było kiepskie. Przypomina sobie natomiast utwory pisarza znerwicowanego, uznaje je za świetne i z niecierpliwością rozpoczyna lekturę jego nowej powieści. Lecz znajduje oto coś zupełnie innego niż to, czego oczekiwała, i także jego posyła do stu diabłów.

Albo:

Idem, zastępując „płodnego” „znerwicowanym” i „znerwicowanego” „płodnym”.

Albo:

Młoda czytelniczka była itd., itd. czytelniczką pisarza płodnego i nie mogła znieść pisarza znerwicowanego. Czytając nową powieść pisarza płodnego nie dostrzega imitacji i książka podoba jej się, chociaż nie budzi entuzjazmu. Jeśli zaś chodzi o rękopis znerwicowanego, to uznaje go za mdły, tak jak pozostałe utwory tego autora. Odpowiada obu pisarzom samymi ogólnikami. Obaj przekonują się, że nie jest ona zbyt uważną czytelniczką, i przestają zwracać na nią uwagę.

Albo:

Idem, zastępując itd.

Przeczytałem w jakiejś książce, że obiektywizm myśli wyrazić można poprzez użycie czasownika „myśleć” w formie bezosobowej: nie powiedzieć „myślę”, lecz „myśli się”, tak jak się mówi „pada”. Myśl ma swoje miejsce we wszechświecie, za każdym razem powinniśmy wychodzić od tego stwierdzenia.

Czyż będę mógł powiedzieć kiedyś: „dzisiaj pisze się”, tak jak się mówi „dzisiaj pada” czy „dzisiaj wieje”? Tylko wówczas, gdy zdołam w sposób naturalny użyć czasownika „pisać” w formie bezosobowej, będę mógł mieć nadzieję, że przeze mnie samego wyraża się coś mniej ograniczonego niż odrębność jednostki.

A jak rzecz się ma z czasownikiem czytać? Czy można by powiedzieć „dzisiaj czyta się”, tak jak się mówi „dzisiaj pada”? Jeśli się dobrze zastanowić, lektura z konieczności jest aktem jednostkowym, znacznie bardziej niż pisanie. Zakładając, że pisanie zdoła wyjść poza osobę autora, będzie ono miało sens tylko wówczas, gdy to, co napisane, zostanie przez kogoś przeczytane i przedostanie się w obwód jego myśli. Jedynie możliwość jednostkowej lektury wykazuje, że to, co jest napisane, wywodzi się z siły słowa

pisanego, siły opartej na czymś, co wykracza poza jednostkę. Wszechświat będzie wyrażał siebie tak długo, aż ktoś wreszcie powie: „Ja czytam, zatem coś pisze.”

Stąd ta szczególna błogość, która maluje się na twarzy czytelniczki, błogość dla mnie nieosiągalna.

Na ścianie naprzeciw mojego biurka wisi plakat, który mi podarowano. Piesek Snoopy siedzi przed maszyną do pisania, a w dymku czytamy zdanie: „Była ciemna i burzliwa noc...” Za każdym razem, gdy tu siadam i czytam: „Była ciemna i burzliwa noc”, bezosobowość tego incipitu zdaje się przede mną otwierać przejście z jednego świata do drugiego, z czasu i przestrzeni tu i teraz w czas i przestrzeń napisanej strony. Urzeka mnie początek, który stwarza niewyczerpane, wielorakie możliwości dalszego poprowadzenia akcji, przekonuję się, że nie ma nic lepszego nad konwencjonalne rozpoczęcie utworu, nic lepszego od wstępu, po którym można spodziewać się wszystkiego i niczego. Zdaję sobie też sprawę, że ten pies mitoman nigdy nie zdoła dołączyć do pierwszych pięciu słów dalszych pięciu czy dziesięciu wyrazów nie rozwiewając czaru. Łatwość wkraczania w inny świat jest złudzeniem, z zapalem zabieramy się do pisania, wyprzedzając przyjemność, której dostarczy przyszła lektura, i oto na białej kartce otwiera się pustka.

Odkąd mam przed oczami ten plakat, nie mogę dokończyć nawet jednej strony. Muszę jak najszybciej zdjąć ze ściany tego przeklętego psa Snoopy. Nie potrafię się jednak na to zdobyć. Ta dziecinna kukielka stała się dla mnie symbolem mojego położenia, przestrogą, wyzwaniem.

Fascynacja, której ulegamy bez reszty przy pierwszych zdaniach pierwszego rozdziału bardzo wielu powieści, nieuchronnie rozwiewa się w toku dalszej lektury, urzeka nas sama obietnica czasu lektury, która dopuszcza wszelkie możliwe rozwiązania narracyjne. Chciałbym napisać książkę, która byłaby jedynie incipitem, która przez cały czas trwania narracji nie straciłaby nic z potencjalności początku, z bezprzedmiotowego oczekiwania. Lecz jaką konstrukcję powinna mieć podobna książka? Czy należałoby urwać narrację na początkowym akapicie? Czy też nieograniczenie przedłużać słowa wstępu? A może wbudować początek jednej powieści w drugą, jak dzieje się to w Księdze tysiąca i jednej nocy?

Dziś zacznę od przepisania pierwszych zdań słynnej powieści, aby sprawdzić, czy ładunek energii zawarty w tej czynności udzieli się mojej ręce, która po otrzymaniu takiego impulsu powinna podążać dalej własną drogą.

„W początku lipca pod wieczór niezwykle upalnego dnia pewien młodzieniec wyszedł na ulicę ze swej izdebki, którą podnajmował od lokatorów przy uliczce S., i powoli, jakby niezdecydowany, skierował się ku mostowi K..”

Przepiszę także drugi akapit, niezbędny, jeśli ma mnie ponieść tok narracji:

„Na schodach szczęśliwie uniknął spotkania ze swoją gospodynią. Jego izdebka mieściła się tuż pod dachem wysokiej, pięciopiętrowej kamienicy i bardziej przypominała szafę niż mieszkanie.” I dalej aż do: „Już dużo był winien gospodyni i obawiał się ją spotkać.”

W tym miejscu następne zdanie tak dalece mnie pociąga, że nie potrafię się powstrzymać od przepisania go: „Nie znaczy to, by był tak tchórzliwy i zahukany, wręcz przeciwnie, lecz od pewnego czasu był w stanie jakiegoś rozdrażnienia i napięcia podobnego do hipochondrii.” Skoro już zacząłem, to mógłbym przepisać cały akapit, a nawet parę stron, aż do momentu, kiedy bohater przedstawia się starej lichwiarce „— Raskolnikow, student. Byłem już u pani przed miesiącem — pośpieszył mruknąć młody człowiek z półukłonem, przypomniawszy sobie, że należy być grzeczniejszym.”

Przerywam, zanim ulegnę pokusie przepisania całej *Zbrodni i kary*. Przez chwilę wydaje mi się, że rozumiem, na czym polegał sens i urok powołania dziś niepojętego: powołania kopisty. Kopista żył równocześnie w dwóch wymiarach czasu, w wymiarze czasu lektury i czasu narracji, mógł pisać bez obawy przed pustką, która otwiera się na białej kartce papieru, i czytać bez lęku o to, że własna praca nie skonkretyzuje się w żadnym materialnym przedmiocie.

Zjawił się jakiś facet, który twierdzi, że jest moim tłumaczem, aby powiadomić mnie o pewnym nadużyciu godzącym zarówno w jego, jak i w moje interesy; chodzi o publikację nie autoryzowanych przekładów moich książek. Pokazał mi jakiś tom, który przekartkowałem bez większego pożytku, było to japońskie wydanie i alfabetem łańskim wydrukowano jedynie moje imię i nazwisko na karcie tytułowej.

— Nie potrafię nawet zrozumieć, o którą z moich książek tutaj chodzi — powiedziałem zwracając mu tom — niestety, nie znam japońskiego.

— Nawet gdyby znał pan język, nie rozpoznałby pan książki — odrzekł mój gość. — To książka, której pan nigdy nie napisał.

Wyjaśnił mi, że wielka zręczność Japończyków w fabrykowaniu doskonałych ekwiwalentów produktów zachodnich objęła także literaturę. Pewna firma w Osace potrafiła przyswoić sobie formułę powieści Silasa Flannery i produkuje nigdy dotąd nie ogłaszane drukiem pierwszorzędne imitacje, zdolne zalać światowe rynki. Po powtórnym przełożeniu ich na angielski (czy raczej po przełożeniu ich na angielski, z którego jakoby zostały przełożone) żaden krytyk nie potrafiłby odróżnić falsyfikatów od prawdziwych Silasów Flannery.

Wiadomość o tym szatańskim oszustwie wstrząsnęła mną. Nie jest to tylko zrozumiała złość z powodu poniesienia straty finansowej i moralnej. Odczuwam także lęklive zaciekawienie tymi falsyfikatami, tym przeszczepem mnie samego, wschodzącym na gruncie innej kultury. Wyobrażam sobie starego Japończyka w kimonie, właśnie przechodzi przez wygięty mostek: oto moje japońskie „ja”, które

układa jedną z moich opowieści i w wyniku duchowej wędrówki, mnie całkowicie nie znanej, dochodzi do utożsamienia się ze mną. Dlatego też fałszywe Silasy Flannery produkowane przez szalbierczą firmę z Osaki byłyby, co prawda, pospolitymi podróbkami, lecz jednocześnie zawierałyby wyrafinowaną i tajemną wiedzę, której prawdziwe Silasy są doszczętnie pozbawione.

Oczywiście, musiałem zataić przed tym nieznanym dwuznaczność moich reakcji i zainteresowałem się wyłącznie zgromadzeniem wszystkich danych, niezbędnych do wszczęcia procesu.

— Wytoczę sprawę fałszerzom i wszystkim, którzy rozpowszechniają podrobione książki — powiedziałem patrząc umyślnie tłumaczowi prosto w oczy, gdyż zrodziło się we mnie podejrzenie, że cała afera nie jest temu młodemu człowiekowi obca. Powiedział, że nazywa się Hermes Marana, nazwisko, którego nigdy przedtem nie słyszałem. Ma ruchliwą głowę o wyglądzie leżącego jaja, pod wypukłym czołem zdaje się wiele ukrywać.

Zapytałem go, gdzie mieszka.

— Chwilowo w Japonii — odparł.

Oświadcza, że jest oburzony tym, iż ktoś może nadużywać mojego nazwiska, i gotów mi dopomóc w położeniu kresu fałszerstwu, lecz zaraz dodaje, że w gruncie rzeczy nie ma się co unosić gniewem, gdyż według niego wartość literatury polega na możliwości mistyfikacji i w mistyfikacji właśnie tkwi prawda literatury. Falszyfikatem zatem, jako mistyfikacją mistyfikacji, równa się prawdzie do drugiej potęgi.

Wyłożył mi następnie swą teorię, w myśl której autor każdej książki jest postacią fikcyjną, a wymyśla tę postać autor istniejący, by powierzyć jej rolę autora swych opowieści. Czułem, że podzielał wiele jego spostrzeżeń, lecz daleki jestem od tego, by dać mu to poznać. Mówi, że interesuje się mną z dwóch powodów: po pierwsze, jestem autorem łatwym do podrobienia, po drugie, uważa, że mam wszelkie dane, by zostać wielkim fałszerzem i tworzyć apokryfy doskonałe. Mógłbym zatem stać się uosobieniem autora idealnego, to znaczy autora rozplywającego się we mgle fikcyjnych opowieści, która gęstą zasłoną pokrywa świat. A ponieważ szalbierstwo; jest według niego prawdziwą substancją wszystkiego, autor, który stworzyłby doskonały system zmyśleń, zdołałby utożsamić się ze wszystkim.

Nie potrafię uwolnić się od rozmyślań nad moją wczorajszą rozmową z tym Maraną. Ja także chciałbym wymazać siebie samego i dla każdej książki wynajdować inne „ja”, inny głos, inne imię, nieustannie odradzać się, lecz moim celem jest uchwycenie niezrozumiałego świata, świata pozbawionego centrum, pozbawionego jakiegось „ja”.

Prawdę mówiąc, pisarz totalny mógłby być kimś bardzo skromnym, kimś, kogo w Ameryce nazywają *ghost-writer*, pisarzem widmem — profesja to powszechnie uznana, chociaż nie cieszy się

zbytnim prestiżem — anonimowym redaktorem, który nadaje formę literacką temu, co mają do powiedzenia inne osoby, choć pisać nie potrafią bądź nie mają na to czasu, piszącą ręką, która udziela głosu istnieniom zbyt zajęтым, by zaistnieć. Być może właśnie to było moim powołaniem, z którym się minąłem. Mógłbym pomnażać własne „ja”, wcielać się w „ja” innych, wymyślać „ja” nawet najbardziej niepodobne do mnie, a różniące się pomiędzy sobą.

Lecz jeśli jedyną prawdą, którą może wyrazić książka, jest prawda jednostki, to warto, bym pogodził się z opisaniem własnej prawdy. Czy ma to być *Księga mojej pamięci*? Nie, pamięć jest prawdziwa dopóty, dopóki nie zechce się jej utwalić, nadać jej zamkniętej formy. A może *Księga moich marzeń*? Także i one są prawdziwe tylko wówczas, gdy ich siła działa niezależnie od mojej woli. Jedyną prawdą, jaką mogę opisać, jest prawda chwili, którą przeżywam. Może prawdziwą książką jest ten dziennik, w którym staram się uchwycić obraz kobiety na leżaku, w miarę jak ją obserwuję, o różnych porach, w zmiennym świetle dnia.

Dlaczego nie przyznać się od razu, że moje niezadowolenie zdradza wygórowaną ambicję, że objawia się w megalomańskim bredzeniu? Przed pisarzem, który chce unicestwić samego siebie, aby wyrazić to, co znajduje się poza nim, otwierają się dwie drogi: albo napisze on książkę, a będzie to książka jedyna i wyczerpująca wszystko, albo napisze wszystkie książki, tak by poprzez cząstkowe obrazy dążyć do uchwycenia obrazu całości. Książka jedyna, która zawierałaby wszystko, nie mogłaby być niczym innym jak *Pismem Świętym*, objawionym słowem totalnym. Nie sądzę jednak, by cała prawda dała się zawrzeć w języku. Problemem jest dla mnie to, co nie napisane, co napisać się nie da. Nie mam innego wyjścia, jak napisać wszystkie książki, napisać książki wszystkich możliwych autorów.

Gdy pomyślę, że muszę napisać książkę, wszystkie pytania o to, jaka ta książka być powinna, a jaka być nie może, obezwładniają mnie, udaremniają dalszą pracę. Jeśli natomiast pomyślę, że tworzę całą bibliotekę, odczuwam natychmiast ulgę, wiem, że cokolwiek napiszę, będzie uzupełnione, zaprzeczone, zrównoważone, rozwinięte, pogrzebane w setkach tomów, które pozostaną mi do napisania.

Świętą Księgą, o której powstawaniu wiemy stosunkowo najwięcej, jest *Koran*. Pośredników pomiędzy objawieniem a Księgą było co najmniej dwóch: Mahomet słuchał słów Allacha i dyktował je swoim pisarzom. Pewnego dnia — opowiadają biografowie Proroka — Mahomet, dyktując pisarzowi imieniem Abdullach, urwał zdanie w połowie. Pisarz bezwiednie podpowiedział mu zakończenie. Prorok uznał w roztargnieniu to, co powiedział Abdullach, za słowo Boże. Fakt ten tak wzburzył sekretarza, że opuścił on Proroka i utracił wiarę.

Abdullach nie miał racji. To on ponosił odpowiedzialność za ostateczną budowę zdania, to on powinien był dbać o wewnętrzną spójność tekstu, o gramatykę i składnię, by móc opanować płynność

myśli, która zawsze wybiega poza język, zanim stanie się słowem, i to słowem równie płynnym jak słowo Proroka. Współpraca pisarza stała się Allahowi niezbędną z chwilą, gdy zdecydował wypowiedzieć się poprzez słowo pisane. Mahomet wiedział o tym i pozostawiał pisarzowi przywilej kończenia zdań. Lecz Abdullach nie był świadom władzy, którą mu nadano. Stracił wiarę w Allacha, gdyż brakowało mu wiary w słowo pisane i wiary w siebie samego jako wyrobnika pióra.

Gdyby niewiernemu wolno było wymyślać warianty legend o Proroku, proponowałbym wariant następujący: Abdullach traci wiarę, gdyż w pisaniu pod dyktando popełnia drobny błąd, i chociaż Mahomet zauważa omyłkę, postanawia nie poprawiać pisarza, uznając błędne wyrażenie za trafniejsze. Także i w tym przypadku Abdullach nie powinien był się gorszyć. Słowo, choćby wypowiedziane w proroczym olśnieniu, nabiera definitywnego kształtu nie wcześniej niż na kartce papieru, kiedy staje się słowem pisany. Dopiero poprzez ułomności aktu pisania bezmiar tego, co nie napisane, staje się czytelny, to znaczy poprzez niepewną ortografię, przeoczenia, lapsusy, nie kontrolowane kaprysy słowa i pióra. W przeciwnym razie niech to, co jest poza zasięgiem naszego poznania, nie rości sobie prawa do komunikowania z pomocą słowa, niech inną drogą przekazuje nam swoje przesłanie.

Biały motyl przeleciał oto przez całą dolinę i z książki czytelniczki sfrunął na stronę, którą właśnie piszę.

Dziwni ludzie kręcą się po tej dolinie: pośrednicy, którzy w oczekiwaniu mojej nowej powieści podjęli zaliczki od wydawców z całego świata, agenci reklamowi, którzy chcą, aby moi bohaterowie nosili te, a nie inne ubrania i pili soki owocowe, programiści, którzy mają ochotę dokończyć na komputerze moje rozpoczęte powieści. Staram się wychodzić jak najmniej, unikam miasteczka; gdy chcę się przejść, wybieram górskie ścieżki.

Dzisiaj spotkałem grupę chłopców, którzy z prawdziwie harcerską mieszaniną podniecenia i skrupulatności rozkładali na łące płachty tworząc z nich geometryczne figury.

— Czy to oznakowanie dla samolotów? — zapytałem.

— Dla latających talerzy — odpowiedzieli. — Jesteśmy obserwatorami nie zidentyfikowanych obiektów. Tutaj jest punkt przelotowy, coś w rodzaju kanału powietrznego, ostatnio bardzo uczęszczany. Sądzimy, że to dlatego, iż w tych stronach mieszka pewien pisarz, a ci z innych planet chcą się nim posłużyć dla fabrykowania swoich komunikatów.

— Z czego o tym wnioskujecie?

— Z faktu, że od pewnego czasu ten pisarz przeżywa kryzys i nie jest zdolny do pisania. Prasa zastanawia się nad przyczynami. Według naszych obliczeń, w beczynności mogliby utrzymać pisarza mieszkańcy innych planet, aby uwolnić go od uwarunkowań ziemskich i uczynić dobrym przekąźnikiem.

– Ale dlaczego właśnie jego?

– Istoty pozaziemskie nie mogą przemówić bezpośrednio. Muszą posłużyć się metodą pośrednią, przenośnią, mogą na przykład wypowiedzieć się poprzez opowieści, które wywołują niezwykle emocje. Ten pisarz ma, jak się zdaje, dobrą technikę i pewną elastyczność myślenia.

– A czytaliście jego książki?

– To, co napisał do tej pory, nas nie interesuje. Dopiero książka, którą napisze po przezwycięzeniu kryzysu, mogłaby zawierać przesłanie z kosmosu.

– W jaki sposób miałyby ono zostać nadane?

– Drogą myśli. Nie powinien się nawet spostrzec. Sądziłby, że pisze spontanicznie. Tymczasem informacje z przestrzeni, wysyłane na falach odbieranych przez jego mózg, przeniknęłyby do tego, co pisze.

– I wy zdołalibyście tę informację odszyfrować?

Nie odpowiedzieli mi.

Gdy pomyślę, że zawiodę międzyplanetarne oczekiwania tych chłopców, doznaję uczucia pewnej przykrości. Mógłbym w gruncie rzeczy przemycić w swojej następnej książce coś, co oni uznaliby za objawienie kosmicznej prawdy. Nie wiem na razie, co takiego mógłbym wymyślić, ale gdy zabiorę się do pracy, z pewnością przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł.

A gdyby naprawdę było tak, jak oni mówią? Gdyby to, co uważałbym za zmyślenie, zostało mi faktycznie podyktowane przez istoty pozaziemskie?

Daremnie oczekuję objawienia z przestrzeni międzygwiazdnej, moja powieść nie posuwa się naprzód. Gdybym nieoczekiwanie zaczął zapisywać stronę po stronie, byłby to znak, że galaktyka przekazuje mi swe przesłanie.

Lecz jedyną rzeczą, jaką potrafię pisać, jest ten dziennik, powstały w wyniku wpatrywania się w młodą kobietę, która czyta nie znaną mi książkę. Czy dziennik mój zawiera pozaziemskie przesłanie? A może to jej książka je zawiera?

Odwiedziła mnie dziewczyna z pewnego bardzo poważnego wydziału uniwersyteckiego, która pisze pracę seminaryjną o moich powieściach. Widzę, że moje utwory znakomicie służą wykazaniu słuszności jej teorii, jest to z pewnością fakt pozytywny, nie wiem tylko, czy dla moich książek, czy dla jej teorii. Z jej szczegółowych wywodów wnioskuję, że bardzo poważnie traktuje swoją pracę, lecz moje powieści widziane jej oczami wydają mi się nierozpoznawalne. Nie wątpię, że ta Lotaria (tak się nazywa) przeczytała je sumiennie, lecz sądzę, że przeczytała tylko po to, by znaleźć w nich to, co chciała udowodnić jeszcze przed lekturą.

Próbowałem jej o tym powiedzieć. Zareplikowała nieco urażona:

— Doprawdy? Pan natomiast chciałby, żebym w pana książkach wyczytała tylko to, co pan chce udowodnić.

Odparłem:

— To niezupełnie tak. Oczekuję od czytelników, że odnajdą w moich książkach coś, o czym nie wiedziałem, lecz mogę tego oczekiwać tylko od tych, którzy spodziewają się znaleźć w lekturze coś, o czym sami nie wiedzieli.

(Na szczęście mogę patrzeć przez lunetę na tę drugą dziewczynę, która czyta, i przekonać się, że nie wszyscy czytelnicy są tacy jak Lotaria.)

— To, czego pan chce, jest lekturą bierną, jałową, wtórną — powiedziała Lotaria. — Tak czyta moja siostra. Właśnie widząc, jak pochłania powieści Silasa Flannery'ego jedną po drugiej i nie stawia sobie żadnego problemu, podjęłam decyzję, aby wziąć je za temat mojej pracy. Jeśli chce pan wiedzieć, to przeczytałam pana książki po to, aby pokazać siostrze, jak powinno się czytać. Nawet Silasa Flannery'ego.

— Dziękuję za to „nawet”. Ale dlaczego nie przyprowadziła pani siostry?

— Ludmiła uważa, że lepiej jest nie poznawać pisarzy osobiście, gdyż osoba autora nigdy nie odpowiada wyobrażeniom, jakie powstają w trakcie lektury jego książek.

Zdaje się, że ta Ludmiła mogłaby być moją czytelniczką idealną.

Wczoraj wieczorem, wchodząc do gabinetu, zobaczyłem cień nieznanego, który uciekał przez okno. Chciałem go ścigać, ale nie było już po nim śladu. Często wydaje mi się, że słyszę ludzi ukrytych w krzakach wokół domu, zwłaszcza w nocy.

Chociaż wychodzę z domu jak najrzadziej, mam wrażenie, że ktoś szpera w moich papierach. Niejeden już raz odkryłem, że z moich rękopisów znikają kartki. Po paru dniach znajduję je na swoim miejscu. Często jednak zdarza mi się nie rozpoznawać własnych rękopisów, zupełnie jakbym zapomniał o tym, co napisałem, lub jakbym z dnia na dzień zmieniał się do tego stopnia, że nie rozpoznaję się w moim wczorajszym „ja”.

Zapytałem Lotarię, czy przeczytała te kilka moich książek, które jej pożyczyłem. Odpowiedziała, że nie, gdyż nie ma tu do dyspozycji komputera. Wyjaśniła mi, że odpowiednio zaprogramowany komputer może „przeczytać” powieść w parę minut i sporządzić listę wszystkich wyrazów zawartych w tekście w porządku wyznaczonym przez częstotliwość występowania.

— W ten sposób mogę natychmiast rozporządzać ukończoną lekturą — mówi Lotaria — przy jakże cennej oszczędności czasu. Czymże innym jest bowiem lektura tekstu, jak nie odnotowaniem pewnych powracających motywów, powtarzających się form i znaczeń. Lektura elektroniczna dostarcza

mi listę frekwencji i wystarczy ją przejrzeć, bym mogła wyrobić sobie zdanie o problemach, które książka wnosi do mojej rozprawy krytycznej. Oczywiście, największą frekwencję posiadają rodzajniki, zaimki i partykuły, ale to nie na nich skupiam uwagę. Sięgam od razu po słowa nacechowane znaczeniem, które mogą mi dać dokładne wyobrażenie o książce.

Lotaria przyniosła parę powieści rozpisanych przez komputer w formie sekwencji wyrazów ułożonych według częstotliwości występowania. — W powieści zawierającej od pięćdziesięciu do stu tysięcy wyrazów — powiedziała — warto przyrzeć się słowom, które występują około dwudziestu razy. Proszę tu spojrzeć. To słowa, które pojawiają się dziewiętnaście razy:

dowódca, krew, mają, natychmiast, odpowiada, pająk, razem, robisz, strzelasz, twoja, warta, widział, zęby, życie...

A te pojawiają się osiemnaście razy:

chłopcy, ci, dopóki, dosyć, francuski; furazerka, idę, jeść, kartofle, marchew, mierzyć, nadchodzi, nowy, piękny, przechodzi, wieczór...

— Nie wie pan jeszcze, o czym mowa? — pyta Lotaria. — Nie ma wątpliwości: to powieść wojenna o rozbudowanej akcji, napisana suchym językiem i zawierająca pewną dozę okrucieństwa. Można by sądzić, że to książka pozbawiona głębi, lecz dla nabrania pewności zawsze lepiej zbadać wyrywkowo listę słów występujących tylko raz, a nie mniej przez to istotnych. Weźmy na przykład tę sekwencję:

podburzeni, poddasze, podkopana, podkopany, podkop, podłoże, podpinka, podręczny, podskórny, podszybie, podszewka, podziemne, podziemny...

— Nie, to nie jest tak jednoznaczna książka, jak mogło się wydawać. Musi kryć w sobie jakiś sekret; tym tropem należy prowadzić dalsze badania.

Lotaria pokazuje mi następną serię wyrazów.

— To zupełnie inna powieść. Wystarczy spojrzeć. Proszę zwrócić uwagę na słowa, które powracają około pięćdziesięciu razy:

mało, mąż, miała, Riccardo, swój (51), była, co, dworzec, ma, odparła, przed (48), jakiś, Mario, pokój, razy, wszyscy, zaledwie (47), którego, poszedł, ranek, wydawał (46), musiał (45), aż, miałby, ręka, słuchaj (43), Cecina, Delia, dziewczyna, kto, lat, ręce, siostra, wieczór (42), mogła, mężczyzna, okno, powrócił, prawie, sama (41), chciał, mnie (40), życie (39)...

— Co pan pan o tym sądzi? To opowiadanie konfesyjne: subtelne, ledwie zaznaczone uczucia, skromne środowisko, życie codzienne na prowincji. Dla sprawdzenia tej oceny weźmy próbkę słów, które występują tylko raz:

zacięty, zagubiona, zajadać, zajadał, zajadała, zaokrąglać, zaplatać, zaradzić, zarządca, zaś, zathuć, zatroskany, zazdrosny...

— W ten sposób znamy już atmosferę, nastroje, tło społeczne... Możemy sięgnąć po trzecią książkę:

Bóg, ciało, drugi, głównie, pieniądze, poszedł, rachunek, razy, włosy (39), być, deszcz, ktoś, mąka, racja, Vincenzo, wieczór, wino, zakupy (38), ciasto, jajka, nogi, swoje, śmierć, więc, zielony (36), ba, biały, czarne, dzieci, dzień, głowa, mielibyśmy, nawet, pierś, robią, samochód, stał, tkaniny, zostałem (35)...

— Powiedziałaabym, że mamy tu do czynienia z wartką, krwawą opowieścią, operującą konkretem. Styl nieco chropowaty, zmysłowość wyrażona wprost, bez wyrafinowania, erotyzm ludowy. Zerknijmy teraz na listę słów o jednorazowej frekwencji. Choćby w tym miejscu:

wsiowy, współprzeżywać, wstawić, wstyd, wstydząć, wstydzić, wstydzę, wstydzilibyśmy, wstydził, wstydziła, wstydziłby, wstydziłem, wstydz, wstydzisz, wszetecznic...

— Widzi pan? To się dopiero nazywa poczucie winy! Ta cenna poszlaka może się stać punktem wyjścia dla krytycznej analizy, pozwala już sformułować założenia robocze... Nie mówiłam? Czy nie jest to system szybki i skuteczny?

Myśl, że Lotaria w ten sposób czyta moje książki, wprawia mnie w zaniepokojenie. Widzę każde pisane przeze mnie słowo już odwirowane przez mózg elektronowy, zaszeregowane według frekwencji w sąsiedztwie innych wyrazów, których nie potrafię nawet przewidzieć, i zastanawiam się, ile razy użyłem tego słowa. Czuję, że ciężar odpowiedzialności za to, co piszę, spoczywa całkowicie na tych paru wyizolowanych sylabach, próbuję odgadnąć wnioski, jakie można wyciągnąć z faktu, że użyłem tego słowa raz czy pięćdziesiąt razy. Może lepiej je wykreślić... Ale żadne zastępcze słowo nie wytrzymuje tej próby... Może zamiast pisać książkę powinienem sporządzić wykazy słów ułożonych w porządku alfabetycznym, całą lawinę wyizolowanych słów, zdolnych przekazać tę nie znaną mi jeszcze prawdę, a programista, odwracając role, zdoła z nich ułożyć książkę, moją książkę.

Pojawiła się u mnie siostra tej Lotarii, która pisze o mnie pracę. Przyszła bez zapowiedzi, jakby przypadkiem. Powiedziała: — Nazywam się Ludmiła. Przeczytałam wszystkie pana książki.

Znając jej niechęć do osobistego poznawania autorów, zdziwiłem się tą wizytą. Powiedziała, że jej siostra tendencyjnie ocenia wszystkie zjawiska, i dlatego też po tym, jak Lotaria opowiedziała jej o naszych spotkaniach, sama chce zbadać sytuację, jakby dla poświadczenia realności mojej osoby, gdyż jestem dla niej wzorem pisarza idealnego.

Ten idealny wzór odpowiada wyobrażeniu pisarza, który — według jej własnych słów — pisze książki tak, jak nasienie dyni rodzi dynię. Posłużyła się także metaforami zaczerpniętymi z innych

procesów naturalnych, niezłomnie wypełniających własne przeznaczenie: metaforą wiatru, który rzeźbi góry, przypliwów morskich, które nioszą osady, słoików drzewa, które narastają z każdym rokiem. Lecz metafory te miały generalnie obrazować całą twórczość literacką, podczas gdy metafora dyni odnosiła się bezpośrednio do mnie.

— Toczy pani spór z siostrą? — spytałem wyczuwając w jej głosie polemiczną intonację kogoś, kto zazwyczaj wypowiada własne opinie w opozycji do innych.

— Nie, z kimś innym, kogo pan też zna — odparła. Bez większego wysiłku zdołałem wyjaśnić kulisy jej wizyty. Ludmiła jest, czy też była, przyjaciółką tego tłumacza, dla którego literatura ma wartość, jeśli posługuje się przemyślną konstrukcją, posiada mechanizm zazębiających się trybów, ucieka się do podstępów i zastawia pułapki.

— A ja, według pani, robię coś innego?

— Zawsze byłem zdania, że pan pisze tak, jak niektóre stworzenia ryją nory, budują mrowiska czy zakładają ule.

— Nie jestem pewien, czy to, co pani mówi, pochlebia mi — odparłem. — Mimo to mam nadzieję, że teraz, gdy mnie pani już poznała, nie spotkało pani rozczarowanie. Czy odpowiadam wyobrażeniu, jakie wyrobiła pani sobie o Silasie Flannerym?

— Nie rozczarował mnie pan, przeciwnie. Ale nie dlatego, że odpowiada pan jakiemuś mojemu wyobrażeniu, jest pan natomiast osobą całkowicie przeciętną, właśnie taką, jak sądziłam.

— Czy to moje powieści każą pani o mnie tak myśleć?

— Nie, widzi pan... Powieści Silasa Flannery'ego są czymś tak szczególnym... Wydaje się, że istniały wcześniej, niż je pan napisał, i to w najdrobniejszych szczegółach... odnoszę wrażenie, że one przepływają przez pana, że posługują się pana osobą, bo umie pan pisać, a przecież musi istnieć ktoś, kto je napisze... Chciałabym obserwować pana podczas pracy, żeby przekonać się, czy tak jest naprawdę...

Czuję bolesne ukłucie. Dla tej kobiety jestem niczym innym, jak bezosobową energią graficzną, zdolną wyrazić w piśmie nie wypowiedziany dotąd, urojony świat, który istnieje niezależnie ode mnie. Biedny byłbym, gdyby wiedziała, że nie pozostało mi już nic z tego, w co ona wierzy; ani energii wyrażania, ani nic, co dałoby się wyrazić.

— Co zdołałaby pani zobaczyć? Nie potrafię pisać gdy ktoś na mnie patrzy... — mówię.

Wydaje jej się — wyjaśnia — że zrozumiała, iż prawda literatury polega jedynie na fizycznym akcie pisania.

„Fizyczność aktu”, słowa te wirują mi w myśli, wywołują obrazy, które daremnie staram się oddalić.

— Fizyczność istnienia — jąkam się. — Otóż, widzi pani, jestem tutaj, istnieję, stoję w pani fizycznej obecności... — I nagle ogarnia mnie paląca zazdrość nie o innych, lecz o mnie samego, tego, który korzystając z atramentu, przecinków i kropek napisał powieści, jakich już nie napisze, zazdrość o autora nadal wkradającego się w intymność tej młodej kobiety, podczas gdy mnie, obecnego tu i teraz, mnie, w którym wzbiera energia fizyczna bardziej niezawodna niż zapał twórczy, oddziela od niej nieprzekraczalna bariera klawiatury i wkręcona w maszynę biała kartka papieru.

— Komunikować można na różnych płaszczyznach... — wyjaśniam zbliżając się do niej zbyt gwałtownie, lecz w mojej wyobraźni wirują wzrokowe i dotykowe wizje, które nakazują mi obalić wszelkie bariery i uniknąć jakiegokolwiek zwłoki.

Ludmiła szamocze się i uwalnia.

— Co pan robi. Mister Flannery? Nie o to mi chodzi! Myli się pan!

Z pewnością mogłem rozegrać tę partię w lepszym stylu, lecz jest już za późno, by naprawiać błędy. Nie mam innego wyjścia, jak postawić wszystko na jedną kartę. Ganiam ją zatem dokoła biurka wygłaszając zdania, których niedorzeczność w pełni sobie uświadamiam, w rodzaju: — Może myśli pani, że jestem za stary, ale ja...

— To nieporozumienie, Mister Flannery — mówi Ludmiła i przystaje, odgradzając się ode mnie tomem uniwersalnego słownika Webstera. — Z pewnością mogłabym się z panem kochać, jest pan człowiekiem dobrze wychowanym i o miłej powierzchowności. Ale nie wniosłoby to nic do rozwiązania problemu, o którym dyskutujemy... Nie miałyby to nic wspólnego z autorem Silasem Flannerym, którego powieści czytam... Jak już wyjaśniłam, jesteście dwiema różnymi osobami, które nie mogą mieć z sobą nic wspólnego. Nie wątpię, że jest pan konkretnie tą, a nie inną osobą, zanadto przypomina pan mężczyzn, których znałam. Interesuje mnie ten drugi Silas Flannery, który istnieje w książkach Silasa Flannery'ego, niezależnie od pana tutaj obecności.

Ocieram pot z czoła. Siadam. Coś się we mnie załamało: może moje „ja”, może treść mojego „ja”. Czyż nie tego chciałem? Czyż nie starałem się osiągnąć bezosobowości?

Może Marana i Ludmiła przyszli, by powiedzieć mi to samo. Nie wiem jednak, czy oznacza to wyzwolenie, czy wyrok skazujący. Dlaczego przyszli właśnie do mnie, i to w chwili gdy czuję się przykuty do samego siebie tak, jakbym znajdował się w więzieniu?

Natychmiast po wyjściu Ludmiły podbiegłem do lunety, aby znaleźć pocieszenie w widoku kobiety na leżaku. Nie było jej. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że to ona przyszła mnie odwiedzić. A może właśnie ona jest przyczyną wszystkich moich problemów? Może istnieje spisek ukartowany po to, by uniemożliwić mi pisanie, spisek, do którego należą zarówno Ludmiła, jak i jej siostra, i ten tłumacz.

— Najbardziej pociągają mnie te powieści — powiedziała Ludmiła — które stwarzają złudzenie przejrzystości w gmatwaniu stosunków międzyludzkich, przecież ponurych, okrutnych i przewrotnych.

Nie wiem, czy miała na myśli to, co ją w moich książkach pociąga, czy też to, czego w nich nie znajduje, a co chciałaby znaleźć.

Niezadowolenie jest, jak się zdaje, cechą charakterystyczną Ludmiły. Z dnia na dzień zmienia ona upodobania, dzisiaj na przykład dostraja je do swojego rozdrażnienia. (A przecież jej powtórne odwiedziny zdawały się wskazywać, że puszcza w niepamięć wszystko, co zdarzyło się wczoraj.)

— Dzięki tej lunecie mogę obserwować kobietę, która czyta na tarasie w głębi doliny — powiedziałem. — Próbuję odgadnąć, czy książki, które czyta, działają uspokajająco czy niepokojąco.

— Jakie wrażenie sprawia ta kobieta, spokojnej czy niespokojnej?

— Spokojnej.

— W takim razie czyta książki niepokojące.

Odpowiedziałem Ludmile, jak dziwaczne myśli nasuwają mi moje rękopisy: to znikają, to powracają i potem wydają mi się zmienione. Prosiła, bym uważał, istnieje spis autorów apokryfów, który wszędzie rozciąga swe macki. Spytałem, czy na czele spisku nie stoi czasem jej były przyjaciel.

— Konspiracja zawsze wymyka się z rąk przywódców — odparła wymijająco.

Apokryf (z greckiego apokryphos — ukryty, tajemny):

1) początkowo nazwa „tajemnych ksiąg” sekt religijnych, potem utworów nie uznanych za kanoniczne przez religie, które ustanowiły kanon pism objawionych,

2) pismo mylnie przypisywane jakiejś epoce bądź jakiemuś autorowi.

Tyle słowniki. Może moim prawdziwym powołaniem była kariera autora apokryfów, i to w każdym znaczeniu tego słowa, ponieważ pisanie zawsze oznacza maskowanie czegoś w ten sposób, aby zostało potem ujawnione, ponieważ prawda, która może wyjść spod mojego pióra, jest jak odłamek potężnej skały, odprysnięty wskutek silnego uderzenia i daleko odrzucony, ponieważ nie ma innej pewności prócz fałszerstwa.

Chciałbym odnaleźć Hermesa Maranę, zaproponować mu spółkę i zalać świat apokryfami. Lecz gdzie przebywa teraz Marana? Czy wrócił do Japonii? Kieruję rozmową tak, by dowiedzieć się czegoś konkretnego. Według Ludmiły, fałszerz, dla rozwinięcia swej działalności, musi się ukrywać tam, gdzie mieszka wielu płodnych powieściopisarzy, tak by mógł zakamuflować swe machinacje włączając je w bogatą produkcję oryginalnego surowca.

— A zatem powrócił do Japonii? — Lecz Ludmiła zdaje się nie wiedzieć o żadnych powiązaniach pomiędzy Japonią a tym człowiekiem. Ukrytą siedzibę wiarołomnego tłumacza umiejscawia zresztą w

zupełnie innej części globu. Według niej Hermes zatarł swe ślady w pobliżu Andów. Ludmile zależy tylko na jednym: żeby Marana pozostał jak najdalej. Schroniła się w tych górach, aby mu się wymknąć, teraz, skoro ma pewność, że go już nie spotka, może wrócić do domu.

— Chcesz powiedzieć, że wyjeżdżasz?

— Jutro rano — oznajmia.

Wiadomość ta napawa mnie wielkim smutkiem. Nieoczekiwanie czuję się bardzo samotny.

Rozmawiałem ponownie z obserwatorami latających talerzy. Tym razem to oni przyszli mnie odwiedzić, aby wy badać, czy nie napisałem przypadkiem książki podyktowanej przez istoty pozaziemskie.

— Nie, ale wiem, gdzie można tę książkę odnaleźć — powiedziałem zbliżając się do lunety. Już od pewnego czasu nasuwała mi się myśl, że międzyplanetarną książką mogłaby być ta, którą czyta kobieta na leżaku.

Kobiety nie było na tarasie. Rozczarowany lustrowałem dolinę przez lunetę, gdy oto na krawędzi skały ujrzałem siedzącego mężczyznę w miejskim ubraniu, który wyraźnie szykował się do rozpoczęcia lektury jakiejś książki. Przy tak doskonałym zbiegu okoliczności myśl o interwencji pozaziemskiej nie wydawała mi się niedorzeczna.

— Oto książka, której szukacie — powiedziałem tym chłopcom wskazując lunetę wymierzoną w nieznajomego. Jeden po drugim przytykali oko do wziernika, potem spojrzeli po sobie, podziękowali i wyszli.

Odwiedził mnie Czytelnik, aby przedstawić mi problem, który go nurtuje: znalazł dwa egzemplarze mojej książki *W sieci... linii*, które na pozór niczym się nie różnią, a faktycznie zawierają dwie różne powieści. Jedną z nich jest opowieść o profesorze, który nie może znieść dźwięku telefonu, drugą historia milionera, który kolekcjonuje kalejdoskopy. Niestety, Czytelnik nie mógł opowiedzieć mi dużo więcej ani pokazać książek, gdyż zanim zdołał ukończyć lekturę, skradziono mu oba egzemplarze — drugi o niecały kilometr stąd.

Był jeszcze wzburzony z powodu tego osobliwego wydarzenia. Powiedział, że przed pojawieniem się u mnie zamierzał się upewnić, czy jestem w domu, a ponadto przeczytać jak najwięcej, aby móc ze mną swobodnie rozmawiać. W pewnej chwili otoczyła go grupa pomyleńców, którzy rzucili się na jego książkę. Nad tym tomem obłąkańcy odprawili zaimprovizowany rytuał: jeden z nich uniósł powieść do góry, a pozostali przyglądali się jej z głębokim nabożeństwem. Nie zważając na protesty Czytelnika, zbiegli do lasu i zabrali z sobą książkę.

— W tych okolicach roi się od dziwnych typów — powiedziałem starając się go uspokoić. —

Proszę już nie myśleć o tej książce. Niewiele pan stracił, był to falsyfikat wyprodukowany w Japonii. Aby wyzyskać podstępnie sukces, jakim cieszą się w świecie moje powieści, pewna japońska firma bez żadnych skrupułów rozpowszechnia książki z moim nazwiskiem na okładce. W rzeczywistości są to plagiaty powieści mało znanych autorów japońskich, którym się nie poszczęściło, a książki ich trafiły na przemiał. Po długich dochodzeniach zdołałem zdemaskować to oszustwo, którego ofiarami padliśmy zarówno ja, jak i podrobieni autorzy.

— Powieść, którą czytałem, dosyć mi się podobała — wyznał Czytelnik — i żałuję, że nie mogę poznać jej zakończenia.

— Jeśli o to idzie, mogę podać panu źródło: chodzi o japońską powieść *Na dywan z liści w poświęcacie księżycy*, pobieżnie zaadaptowaną poprzez nadanie europejskiego brzmienia występującym w niej imionom i nazwom miejscowości. Książkę napisał Takakumi Ikoka, autor dość poważany. Dla wynagrodzenia poniesionej straty mogę panu ofiarować angielski przekład powieści.

Sięgnąłem na biurko po książkę, włożyłem ją do koperty i zakleiłem, aby Czytelnik nie uległ pokusie przekartkowania jej i nie zorientował się, że nie ma ona nic wspólnego z *Siecią przecinających się linii* ani z żadną inną moją powieścią, czy to prawdziwą, czy apokryficzną.

— Wiedziałem, że są w obiegu fałszywe Silasy Flannery — powiedział Czytelnik — i byłem przekonany, że przynajmniej jedna z tych dwóch powieści jest fałszywa. Ale co może mi pan jeszcze powiedzieć na ten temat?

Uznałem, że dalsze wtajemniczanie tego człowieka w moje problemy byłoby nieostrożnością, i spróbowałem wywinąć się żartem:

— Przyznaję się tylko do tych książek, które muszę jeszcze napisać.

Czytelnik pozwolił sobie jedynie na pobłażliwy uśmiezek, potem znowu spoważniał i powiedział:

— Mister Flannery, wiem, kto kryje się za tą historią, to nie Japończycy, ale niejaki Hermes Marana, wymyślił on to wszystko z zazdrości o dziewczynę, którą pan poznał, Ludmiłę Vipiteno.

— Dlaczego więc przyszedł pan do mnie? — odparłem. — Proszę iść do tego pana i zapytać, jak się rzeczy mają. — Zrodziło się we mnie podejrzenie, że Czytelnika i Ludmiłę łączy jakaś więź, i to wystarczyło, aby mój głos przybrał nieprzyjazny ton.

— Nie pozostaje mi nic innego — zgodził się ze mną Czytelnik. — Nadarza się właśnie okazja, bym wyruszył w sprawach zawodowych w strony, gdzie on przebywa, do Ameryki Południowej.

Nie zależało mi na tym, by go powiadomić, że o ile wiem, Hermes Marana pracuje dla Japończyków i ma w Japonii centralę rozpowszechniania apokryfów. Chodziło mi o to, by ten natręt

trzymał się jak najdalej od Ludmiły, toteż zachęcałem go do odbycia tej podróży i do wytrwałych poszukiwań, które naprowadzą go na trop widmowego tłumacza.

Czytelnika prześladowuje niewy tłumaczalny splot okoliczności. Powiedział mi, że od pewnego czasu z różnych powodów zmuszony jest przerywać lekturę po przeczytaniu paru początkowych stron.

— Może nudzą pana — odparłem z właściwą mi skłonnością do pesymizmu.

— Przeciwnie, jestem zmuszony przerywać czytanie w najbardziej pasjonującym momencie. Wprost nie mogę doczekać się podjęcia lektury, lecz kiedy zdaje mi się, że otwieram książkę, którą zacząłem uprzednio czytać, znajduję przed sobą zupełnie inną powieść.

— ...która okazuje się arcynudna... — podpowiadam mu.

— Przeciwnie, jest jeszcze bardziej pasjonująca. Ale nawet i tej książki nie mogę dokończyć. I tak dalej.

— Pana przypadek ożywia we mnie pewne nadzieje — powiedziałem. — Mnie bowiem coraz częściej zdarza się brać do ręki świeżo wydaną powieść i odkrywać, że czytam książkę, którą już sto razy czytałem.

Rozmyślałem nad moją ostatnią rozmową z tym Czytelnikiem. Może czyta on z takim natężeniem, że całą treść powieści wysysa na początku i nie pozostaje mu nic na dalszą lekturę. Mnie przydarza się to przy pisaniu: od pewnego czasu każda powieść, którą rozpoczynam, wyczerpuje się po paru stronach, jakbym powiedział już wszystko, co miałem do powiedzenia.

Przyszedł mi pomysł, by napisać powieść zbudowaną wyłącznie z początków powieści. Bohaterem mógłby być Czytelnik, któremu nieustannie coś przerywa lekturę. Czytelnik nabywa nową powieść X autora Y, lecz egzemplarz jest uszkodzony i Czytelnik może przeczytać tylko początek... Wraca do księgarni, aby wymienić tom...

Mógłbym napisać całą powieść w drugiej osobie: ty, Czytelniku... Mógłbym także wprowadzić postacie Czytelniczki, fałszywego tłumacza, starego pisarza, który pisze podobny do mojego dziennik...

Nie chciałbym jednak, aby w ucieczce przed Falszerzem Czytelniczka trafiła w ramiona Czytelnika. Postaram się, żeby Czytelnik wyruszył śladem Falszerza, który ukrywa się w jakimś dalekim kraju, tak by pisarz pozostał sam na sam z Czytelniczką.

Oczywiście podróż Czytelnika pozbawiona postaci kobiecej przestałaby być emocjonująca, trzeba, by na swej drodze spotkał on inną kobietę. Czytelniczka mogłaby mieć siostrę...

Czytelnik chyba naprawdę szykuje się do wyjazdu. Zabiera w podróż *Na dywan z liści w poświęcie księżycy* Takakumi Ikoki.

Na dywan z liści w poświęacie księżycy

Liście ginkgo opadały z gałęzi, niczym drobny deszcz zraszały łąkę żółtymi kroplami. Spacerowałem z panem Okeda po kamienistej, gładkiej ścieżce. Powiedziałem, że chciałbym oddzielić wrażenie, jakie sprawia każdy pojedynczy liść ginkgo, od wrażenia wywołanego przez wszystkie liście, lecz zastanawiam się, czy to jest możliwe. Pan Okeda powiedział, że to jest możliwe. Przesłanki, na których się oparłem, a pan Okeda uznał je za uzasadnione, były następujące. Jeśli z drzewa ginkgo spadnie jeden żółty liść i osiadzie na łące, to patrząc na niego, dostrzeżemy pojedynczy żółty listek. Jeśli dwa listki opadają z drzewa, oko śledzi wirujący ruch obu liści w powietrzu, podczas gdy one zbliżają się do siebie i oddalają niby dwa goniące się motyle, a wreszcie przysiadają na trawie, jeden tu, drugi tam. Podobnie rzecz się ma przy trzech, czterech, a nawet pięciu liściach. Przy dalszym zwiększeniu liczby wirujących w powietrzu liści wrażenie, które wywołuje każdy liść z osobna, sumuje się, ustępując wrażeniu całości, wrażeniu, jakie wywołuje na przykład bezgłośny deszcz, a jeśli lekki powiew wiatru osłabi ich lot, sprawiają wrażenie znieruchomiałych w powietrzu skrzydeł, a potem, kiedy zniżymy już wzrok i spojrzymy na łąkę, wyglądają na rozsiane świetliste punkciki. Natomiast ja nie chciałbym utracić nic z wrażenia całości, a zarazem chciałbym zachować poczucie odrębności każdego liścia, tak aby jego obraz nie stopił się z obrazem pozostałych liści, i w chwili gdy pojedynczy listek wchodzi w zasięg mojego pola widzenia, pragnąłbym patrzeć, jak on tańczy w powietrzu i jak przysiadła na źdźbłach trawy. Aprobata pana Okedy zachęcała mnie do rozwijania tego wątku. Być może — dodałem, przyglądając się kształtom liści ginkgo, żółtym wachlarzykom o fryzowanych brzegach — z wrażenia, które sprawia pojedynczy liść zdołałbym wyodrębnić wrażenie wywołane każdą unerwioną cząsteczką tego liścia. Na ten temat pan Okeda nie wypowiedział się, już nieraz jego milczenie służyło mi za przestrożę, abym nie dawał się ponieść pochopnym przypuszczeniom, przeskakując stopnie pośrednie, nie poddane jeszcze badaniu. Wzbogacony tą lekcją, zacząłem pracować nad tym, aby uchwycić najbardziej cząstkowe wrażenia, jeszcze w chwili ich powstawania, kiedy ich wyrazistości nie zakłóca wiązka rozproszonych doznań.

Makiko, najmłodsza córka pana Okedy, właśnie weszła, aby podać herbatę, harmonijna w ruchach, o dziecięcym jeszcze wdzięku. Kiedy się pochylała, na jej obnażonym karku, pod wysoko upiętymi włosami, dojrzałem wąskie pasemko czarnego meszku, które zdawało się ciągnąć wzdłuż linii grzbietu. Kiedy tak patrzyłem na nią w skupieniu, poczułem na sobie znieruchomiałą źrenicę pana Okedy, który mnie obserwował. Z pewnością zrozumiał, że ćwiczę moją zdolność wyodrębniania wrażeń

na karku jego córki. Ja nie odrywałem od niej wzroku, być może dlatego, że wrażenie tego delikatnego meszku na jasnej skórze zawładnęło mną niepodzielnie, a może dlatego, iż pan Okeda mógł odwrócić moją uwagę pierwszym lepszym zdaniem, ale tego nie uczynił. Zresztą Makiko szybko podała herbatę i podniosła się. Wpatrywałem się w pieprzyk nad jej wargą z lewej strony, odnajdując coś na kształt poprzedniego wrażenia, lecz w znacznie słabszym stopniu. Makiko spojrzała na mnie, zakłopotana, potem spuściła oczy.

Po południu przeżyłem chwilę, której szybko nie zapomnę, chociaż zdaję sobie sprawę, że w opowiadaniu wyda się rzeczą błahą. Spacerowaliśmy wzdłuż północnego brzegu niewielkiego jeziora z panią Miyagi i z Makiko. Pan Okeda szedł samotnie przodem, podpierając się długą laską z białego klonu. Pośrodku jeziora rozkwitły dwa mięsiste kwiaty jesiennej lilii wodnej i pani Miyagi wyraziła ochotę, aby je zerwać, jedną dla niej samej, drugą dla córki. Pani Miyagi miała swój zwykły wyraz twarzy, pochmurny i nieco zmęczony, chociaż w tle rysował się ten nieubłagany upór, który kazał mi podejrzewać, że w długich dziejach jej nieudanego związku z mężem, o czym tyle szeptano, przypadła jej rola być może nie tylko ofiary, i naprawdę nie wiem, co będzie w końcu górą, czy kamienna obojętność pana Okedy, czy jej zacięta stanowczość. Natomiast Makiko zawsze wyglądała na dziewczynę wesołą i beztroską, usposobienie typowe dla niektórych dzieci wyrosłych wśród ostrych rodzinnych konfliktów, cecha, która pozwala im się przeciwstawić domowej atmosferze. Makiko dorastając zachowała to usposobienie, aby teraz przeciwstawić je światu obcych i schronić się za tarczą cierpkiej i ulotnej wesołości.

Przykłęknąwszy na skale przy brzegu, wychyliłem się tak daleko, że udało mi się uchwycić najbliższą łodygę kołysanej wodą lilii, i pociągnąłem ją ostrożnie, starając się jej nie zerwać, tak aby roślina podплыnęła do brzegu. Pani Miyagi i jej córka także uklęknęły i wyciągnęły ręce w kierunku wody, gotowe złapać kwiaty, kiedy te znajdą się w dogodnej odległości. Brzeg jeziora był niski i pochyły, dla zachowania większej ostrożności obie kobiety trzymały się za moimi plecami, jedna wysunęła rękę z jednej, druga z drugiej strony. W pewnej chwili poczułem dotknięcie, wyraźnie umiejscowione pomiędzy ramieniem a plecami, na wysokości pierwszych żeber, a raczej poczułem dwa dotknięcia, z lewej i z prawej strony. Ze strony Makiko było to napięte i jakby pulsujące uklucie, ze strony pani Miyagi pieszczotliwy węzowy ucisk. Zrozumiałem, że rzadki i łaskawy przypadek losu sprawił, że zostałem muśnięty jednocześnie lewą sutką córki i prawą sutką matki, toteż powinienem zebrać wszystkie siły, aby nie utracić tego fortunnego kontaktu, ocenić te dwa równoczesne doznania, wyodrębnić je i porównać ich powaby.

— Odsuńcie liście — powiedział pan Okeda — a łodyga z kwiatami sama trafi do waszych rąk. —

Stał nad naszą trójką pochyloną nad liliami, w ręce trzymał długą łaskę, mógłby nią bez trudu przyciągnąć do brzegu tę wodną roślinę, tymczasem on, przeciwnie, nakłonił obie kobiety, aby trwały nadal w tej samej pozycji, nie zmniejszając naporu swych ciał na moje ciało.

Obie lilie niemal dotknęły rąk Miyagi i Makiko. Błyskawicznie obliczyłem, że w chwili gdy szarpnę po raz ostatni, to unosząc prawy łokieć i przytykając go natychmiast do boku, mógłbym ścisnąć pod pachą małą i jędrną pierś Makiko. Lecz zakończony sukcesem połów lilii zakłócił kolejność naszych ruchów, toteż moje prawe ramię objęło pustkę, a lewa ręka, która puściła łodygę i powracała na swoje miejsce, natrafiła na łono pani Miyagi, ono zaś zdawało się skłonne moją rękę ugościć, niemal zatrzymać, i zadrżało, pełne uległości, a to drżenie udzieliło się również mnie. W tamtej chwili rozegrało się coś, co okazało się nieobliczalne w skutkach, o czym dalej opowiem.

Przechodząc ponownie pod drzewem ginkgo, powiedziałem panu Okeda, że przy kontemplowaniu deszczu liści najważniejszy jest nie tyle proces postrzegania każdego liścia z osobna, ile postrzeganie odległości pomiędzy nimi, owej pustej przestrzeni, która je od siebie oddziela. Wydawało mi się, że zrozumiałem rzecz następującą: nieobecność wrażeń na długim odcinku pola widzenia jest warunkiem koniecznym do tego, abyśmy mogli skupić naszą wrażliwość na właściwym miejscu i o właściwym czasie, podobnie jak w muzyce niezbędna jest cisza na drugim planie, bo dopiero ona pozwala wyróżnić się dźwiękom.

Pan Okeda odrzekł, że jest to bez wątplenia prawdziwe w sferze wrażeń dotykowych. Jego odpowiedź zdumiała mnie, bo myśl, aby przekazać mu moje spostrzeżenie na temat liści, oładnęła mną właśnie wtedy, gdy ciała jego córki i żony stykały się z moim ciałem. Pan Okeda dalej mówił o wrażeniach dotykowych z całkowitą swobodą, tak jakby było zrozumiałe, że moja uwaga nie mogła dotyczyć niczego innego.

Aby sprowadzić rozmowę na inny grunt, pokusiłem się o porównanie do lektury powieści: spokojny rytm narracji, utrzymany w tonacji jednostajnej i przytłumionej, służy wydobyciu na plan pierwszy subtelnych i precyzyjnych wrażeń, na co pisarz chce zwrócić uwagę czytelnika. Chociaż w przypadku powieści trzeba liczyć się z tym, że zdania, następując po sobie, mogą przekazywać tylko jedno wrażenie na raz, nieważne — jednostkowe czy całościowe — podczas gdy rozległy obszar doznań wzrokowych i słuchowych pozwala postrzegać jednocześnie całość znacznie bardziej bogatą i złożoną. Zdolność czytelnika do odbierania wrażeń całościowych, które powieść stara się ze sobą przynosić, wydaje się bardzo ograniczona, w pierwszym rzędzie dlatego, że jego lektura, często pospieszna i nieuważna, nie potrafi wychwycić czy też pomija pewną ilość sygnałów i intencji zawartych w tekście, w drugim rzędzie dlatego, iż to, co jest istotne, pozostaje w dużej mierze poza napisanym zdaniem, czy

raczej rzeczy, o których powieść nie mówi, jest z konieczności więcej od tych, o których mówi, i tylko pewien szczególny odblask tego, co jest napisane, może stworzyć złudzenie, że czytamy także i to, co nie zostało napisane. Wobec tych moich rozważań pan Okeda trwał nadal w milczeniu, jak zawsze, kiedy zdarza mi się mówić zbyt wiele, i w rezultacie nie umiem sobie poradzić z własnym zagmatwanym rozumowaniem.

W następnych dniach często zdarzało mi się przebywać w jego domu wyłącznie w towarzystwie obu kobiet, ponieważ pan Okeda postanowił osobiście prowadzić dalsze poszukiwania w bibliotece, co dotychczas było moim głównym zadaniem, i wolał, abym ja pozostał w jego gabinecie i uporządkował olbrzymią kartotekę. Żywiłem uzasadnioną obawę, że pan Okeda słyszał o moich rozmowach z profesorem Kawasaki i wyczuł, że zamierzam porzucić jego szkołę, aby związać się z tymi kręgami akademickimi, które zdolają zapewnić mi perspektywy na przyszłość. Z pewnością zbyt długie pozostawanie pod intelektualną opieką pana Okedy było dla mnie niekorzystne: wyczuwałem to z sarkastycznych uwag rzucanych pod moim adresem przez asystentów profesora Kawasakiego, którzy podobnie jak moi koledzy pozostali odporni na wszelkie kontakty z innymi kierunkami. Nie ulegało wątpliwości, że pan Okeda trzyma mnie całymi dniami w domu po to, abym się nie ulotnił, a także po to, aby pohamować we mnie niezależność myśli, czego udało mu się dokonać z innymi uczniami, którzy już tylko pilnują się nawzajem i donoszą na siebie za każdą najmniejszą próbę sprzeniewierzenia się autorytetowi mistrza. Powinienem był jak najszybciej odejść od pana Okedy, decyzję tę odkładałem wciąż na później tylko z tego powodu, że poranki spędzane u niego w domu pod jego nieobecność wywoływały w moim umyśle stan błogiej egzaltacji, chociaż stan ten nie sprzyjał pracy.

Faktycznie, przy pracy często bywałem roztargniony; pod byle pretekstem wchodziłem do innych pokojów, gdzie mogłem spotkać Makiko, zaskoczyć ją w chwili, gdy nieskrępowana wykonywała różne domowe czynności. Chociaż częściej natrafiałem na panią Miyagi; i gawędziłem z nią, także dlatego, że sposobności do rozmowy — a także do śmiałych żartów, często zaprawionych nutą goryczy zdarzało się więcej niż z córką.

Wieczorem przy kolacji, kiedy zasiadaliśmy wokół wrzącej sukiyaki, pan Okeda badawczo przyglądał się naszym twarzom, jakby wyczytywał z nich wszystkie sekrety dnia, całą sieć pragnień wprawdzie odrębnych lecz powiązanych pomiędzy sobą, sieć, którą czułem się omotany, choć nie chciałem się z niej uwolnić bez uprzedniego zaspokojenia każdego z tych pragnień. Tak zatem z tygodnia na tydzień odkładałem decyzję, aby pożegnać się z nim i z tą pracą słabo wynagradzaną, a także pozbawioną perspektyw zrobienia kariery, i pojmowałem, że pojedyncze oka tej rozpiętej sieci, która nie dawała mi odejść, zaciska jedno po drugim on, pan Okeda.

Była pogodna jesień. Pewnego popołudnia, tuż przed nadchodzącą listopadową pełnią księżyca, tak się złożyło, że rozmawiałem z Makiko o miejscu, z którego najdogodniej można by było obserwować księżyc w obramowaniu gałęzi drzew. Utrzymałem, że na trawniku pod drzewem ginkgo światło padające na dywan z liści zamieniłoby księżycowy blask w rozproszoną poświatę. Prowadziłem tę rozmowę w jasno postawionym celu: zamierzałem zaproponować Makiko spotkanie nocą pod drzewem ginkgo. Dziewczyna odparła, że dogodniejsze byłoby jezioro, ponieważ przy zimnej i suchej pogodzie odbicie księżyca w lustrze wody widać wyraźniej niż latem, kiedy księżyc spowija aureola mgły.

— Dobrze — powiedziałem spiesznie — nie mogę się wprost doczekać chwili, kiedy znajdę się tam z tobą o wschodzie księżyca. Zwłaszcza dlatego — dodałem — że wspomnienie jeziora budzi we mnie miłe wzruszenie.

Być może w chwili, gdy wymawiałem to zdanie, zbyt żywo przypomniałem sobie dotknięcie piersi Makiko, bo w moim głosie dało się słyszeć wzburzenie, które wprawiło ją w popłoch. W każdym razie Makiko zmarszczyła brwi i przez chwilę milczała. Pragnąc rozproszyć tę atmosferę zakłopotania — nie chciałem, aby zakłóciła miłosne rojenia, którym się oddawałem — pozwoliłem, aby wymknął mi się nierozważny odruch: otworzyłem i zwarłem szczęki, tak jakbym zamierzał coś ugryźć. Makiko bezwiednie rzuciła się do tyłu z nagłym wyrazem bólu na twarzy, jakby naprawdę poczuła ukąszenie w jakimś czułym miejscu. Natychmiast opanowała się i wyszła z pokoju. Ruszyłem za nią.

W sąsiednim pokoju na macie siedziała pani Miyagi, zajęta układaniem w wazonie jesiennych kwiatów i gałęzi. Poruszałem się jak lunatyk, toteż niespodziewanie ujrzałem ją przykucniętą u moich stóp i zatrzymałem się w porę, aby na nią nie wpaść i nie przewrócić gałęzi. Gest Makiko wywołał we mnie nagłe pożądanie i ten mój stan nie umknął uwadze pani Miyagi, zwłaszcza że przez roztargnienie zderzyłem się z nią w ten sposób. W każdym razie pani Miyagi, nie podnosząc oczu, trzepnęła mnie kwiatem kamelii, który wkładała właśnie do wazonu, zupełnie jakby zamierzała mnie uderzyć czy też odepchnąć tę część mojego ciała, która nachylała się nad nią, a może chciała także ze mną poigrać, sprowokować mnie lub pobudzić tym pieśczołliwym smagnięciem. Wysunąłem rękę, starając się ocalić przed zniszczeniem tę kompozycję z kwiatów i liści, tymczasem ona również zręcznie przebierała palcami wśród gałęzi, pochylona do przodu, i doszło do tego, że moja ręka nieumyślnie wsunęła się pomiędzy kimono a nagie ciało pani Miyagi i niespodziewanie ścisnęła miękką i ciepłą pierś o podłużnym kształcie, w tej samej zaś chwili ręka pani wynurzyła się spomiędzy gałęzi keiaki (zwanego w Europie wiązem kaukaskim, przyp. tłum.), dotknęła mojego członka i ujęła go ruchem śmiałym i swobodnym wyłuskując go spomiędzy warstw ubrania, tak jakby dokonywała operacji usuwania z kwiatów zbędnych liści i gałęzi.

Tym, co w piersi pani Miyagi budziło moją ciekawość, był wianuszek wypukłych brodawek, drobno i gruboziarnistych, rozsianych na powierzchni dość znacznej otoczki sutkowej, bardziej zagęszczonych na brzegach, chociaż ich przednia straż dotarła do samego wierzchołka. Prawdopodobnie każda z tych brodawek wysyłała impulsy, które pani Miyagi odbierała raz jako silniejsze, raz jako słabsze, zjawisko to łatwo dawało się sprawdzić, lekko naciskałem brodawki mniej więcej w odstępie jednej sekundy i badałem bezpośrednią reakcję sutki, a zachowanie pani Miyagi informowało mnie o pośredniej reakcji całego ciała, jej reakcje zaś porównywałem z moimi doznaniem, bo pomiędzy jej wrażliwością a moją wytworzyła się już pewna więź. Prowadziłem owo delikatne rozpoznanie dotykowe nie tylko za pośrednictwem opuszek palców, lecz kierowałem też w sposób najbardziej korzystny moim członkiem, który lekko przytknięty do skóry, gładził jej piersi kolistym ruchem, pozycja bowiem, w jakiej oboje się znaleźliśmy, sprzyjała spotkaniu się tych naszych odmiennych miejsc erogennych, pani Miyagi zaś okazywała zadowolenie i towarzyszyła mi, władczo wyznaczając trasę tych przebiegów. Tak się składa, że również mój naskórek posiada wzdłuż linii członka, a zwłaszcza po wypuklejszej stronie jego wierzchołka, punkty i pasaże szczególnie wrażliwe, o skali rozpiętej od uczucia bezmiernej błogości, poprzez doznania przyjemne, do swędzenia, a wreszcie do bólu, na podobieństwo punktów i pasaży nie akcentowanych lub bezdźwięcznych. Owo przypadkowe czy też rozmyślne spotkanie tych naszych odmiennych i wrażliwych, a nawet nadwrażliwych koniuszków stwarzało gamę doznań rozmaicie zestrojonych, choć osiągnięcie rejestru końcowego wymagało od nas jeszcze niemało trudu.

Oddawaliśmy się właśnie tym ćwiczeniom, kiedy we wnęce, którą tworzyły przesuwane drzwi, pojawiła się sylwetka Makiko. Najwyraźniej dziewczyna oczekiwała mojego pościgu i teraz zjawiła się, żeby zobaczyć, co mnie powstrzymało. Zrozumiała od razu i zniknęła, lecz to wystarczyło, bym dostrzegł pewną zmianę w jej ubiorze: obcisły sweter zastąpiła jedwabna domowa suknia, luźna, jakby stworzona, aby ustąpić pod wewnętrznym naporem tego, co w dziewczynie rozkwitało, aby ześlizgnąć się z jej gładkiej skóry przy pierwszym natarciu pożądliwości, której ta gładka skóra nie mogła nie wywołać.

— Makiko! — krzyknąłem, chciałem jej wyjaśnić (choć naprawdę nie wiedziałbym, od czego mam zacząć), że pozycja, w której zastała mnie i swoją matkę, jest wyłącznie następstwem przypadkowego zbiegu okoliczności, co pchnęło na boczne tory moje pożądanie, wymierzone niedwuznacznie w nią, w Makiko. Na widok rozchylonej jedwabnej sukni moje pożądanie wzmagало się, stawało się coraz bardziej natarczywe, jawne w całej swej okazałości, toteż z obrazem Makiko w oczach i dotykiem pani Miyagi na skórze czułem, że za chwilę pokona mnie rozkosz.

Pani Miyagi musiała to zauważyć, bo uczepliwszy się moich ramion, pociągnęła mnie na matę i szybkimi węzowymi ruchami całego ciała wślizgnęła swoje wilgotne i chwytliwe łono pod mój członek,

który od razu został wchłonięty jak przez przyssawkę, podczas gdy jej chude nogi oplatały się wokół moich bioder. Pani Miyagi była niezwykle zręczna: stopy w białych bawełnianych skarpetkach skrzyżowała na mojej kości krzyżowej, unieruchamiając mnie niczym w uchwycie imadła.

Moje wezwanie do Makiko nie pozostało bez odpowiedzi. Za papierową ścianką przesuwanych drzwi zarysowała się sylwetka dziewczyny. Makiko uklękła na macie, wysunęła głowę, twarz miała ściągniętą jakby z braku tchu, usta rozchylone, oczy szeroko rozwarte, śledziła podrygi swojej matki i moje z zaciekawieniem i odrazą. Ale nie była sama: po drugiej stronie korytarza, we wnęce innych drzwi zastygła bez ruchu postać mężczyzny. Nie wiem od jak dawna pan Okeda stał tam. Patrzył uważnie nie na swoją żonę ani na mnie, lecz na córkę, która patrzyła na nas. W jego lodowatej źrenicy, w zaciśniętych wargach odbijał się refleks spazmatycznego skurczu pani Miyagi, odbitego w spojrzeniu jego córki.

Spostrzegł, że go widzę. Nie poruszył się. W tamtej chwili zrozumiałem, że nie zamierza mi przeszkodzić ani wypędzić mnie z domu, że nigdy nie napomknie o tej scenie ani o scenach następnych, jeśli miałyby się powtórzyć. Zrozumiałem też, że to milczące przyzwolenie nie da mi nad nim żadnej władzy ani nie osłabi mojej zależności. Tajemnica ta wiąże mnie z nim, lecz nie wiąże jego ze mną; nikomu nie mógłbym wyjawić tego, na co on patrzy, nie przyznając się do niechwalebego współudziału.

Cóż mogłem obecnie poradzić? Byłem skazany na to, aby brnąć coraz dalej w gmatwaninie nieporozumień, bo teraz Makiko niewątpliwie uznała mnie za jednego z kochanków swojej matki, Miyagi zaś wiedziała, że patrzę na nią mając w oczach wyłącznie obraz jej córki, i obie z pewnością każą mi to boleśnie odpokutować, w środowisku akademickim zaś plotki rozchodzą się szybko, podsycane złośliwością moich kolegów, gotowych i w ten sposób przysłużyć się rachubom mistrza, toteż rzucają oszczerczy cień na moją zażyłość z domem Okedów, zniesławią mnie w oczach wykładowców, a w nich właśnie pokładałem największe nadzieje na odmianę mojego losu.

Jakkolwiek trapiły mnie te okoliczności, zdołałem się skupić i oddzielić ogólne wrażenie, jakie obudził mój członek ściśnięty w łonie pani Miyagi od cząstkowych wrażeń wywoływanych przez moje posuwiste ruchy i jej gwałtowne skurcze. Dzięki takiemu natężeniu uwagi mogłem przedłużać ów stan rzeczy, niezbędny do poczynienia pewnych spostrzeżeń, toteż opóźniałem gwałtowne końcowe przesilenie, wyodrębniając chwile niewrażliwości bądź wrażliwości cząstkowej, które z kolei ponad miarę podnosiły wartość nagłych podniet zmysłowych, rozmieszczonych w sposób nieobliczalny w czasie i w przestrzeni. — Makiko! Makiko! — jęczałem do ucha pani Miyagi, stapiając w udreće te sekundy nadwrażliwości z obrazem jej córki i z gamą doznań nieporównanie odmiennych, które, jak sobie wyobrażałem, mogłaby ona we mnie obudzić. Aby nie utracić kontroli nad swoimi reakcjami, rozmyślałem, w jaki sposób jeszcze tego wieczoru opiszę je panu Okedzie. Otóż deszcz liści ginkgo

cehuje się tym, że w każdej chwili każdy opadający liść znajduje się na innej wysokości niż pozostałe, dlatego też w pustej i niewrażliwej przestrzeni kształtującej doznania wzrokowe można wyodrębnić różne szczeble, a na każdym z tych szczebli wiruje jeden i tylko jeden listek.

IX

Zapinasz pasy. Samolot podchodzi do lądowania. Lot jest przeciwieństwem podróży: przemierzasz lukę w przestrzeni, znikasz w próżni, godzisz się, aby nie przebywać w żadnym miejscu przez pewien okres, który także jest w pewnym sensie próżnią w czasie, potem ponownie pojawiaasz się w miejscu i w chwili pozbawionych jakiegokolwiek związku z tym, gdzie i kiedy zniknąłeś. Co robisz? Czym wypełniasz swoją nieobecność w świecie i nieobecność świata w tobie? Czytasz, nie odrywasz oczu od książki, czytasz na trasie od lotniska do lotniska, bo poza kartką papieru istnieje pustka, anonimowe lądowania, anonimowa macica z metalu, która cię wchłonęła i która cię żywi, anonimowy tłum pasażerów, wciąż innych i wciąż takich samych. Toteż lepiej już zająć się podczas lotu inną abstrakcją, która występuje pod postacią anonimowej monotonii czcionki drukarskiej; także i w tym przypadku wyłącznie zdolność przywoływania imion własnych przekonuje cię, że przelatujesz nad czymś, co istnieje, a nie nad pustką. Pojmujesz, że trzeba sporej dozy lekkomyślności, aby zaufać niepewnym mechanizmom niezbyt precyzyjnie kierowanym; być może dowodzi to niepoohamowanej skłonności do biernej postawy, do regresji, do dziecięcego uzależnienia. (Lecz czy te rozważania dotyczą podróży samolotem czy lektury?)

Maszyna ląduje, nie zdołałeś dokończyć powieści *Na dywan z liści w poświęcie księżycy* Takakumi Ikoki. Czytasz dalej, schodząc ze schodków, czytasz w autobusie jadącym przez płytę lotniska, w kolejce do kontroli paszportów i do odprawy celnej. Posuwasz się z otwartą książką przed oczami, a tu nagle ktoś wyjmuje ci ją z ręki i jak po podniesieniu kurtyny dostrzegasz przed sobą trzech policjantów ustawionych w szeregu; wszyscy trzej wygalowani w skórzane pasy, uzbrojeni w broń automatyczną, połyskują złotem orzełków i naramienników.

— Ależ to moja książka... — kwilisz, wyciągając ruchem dziecka bezbronną rękę w stronę tej władczej zapory z błyszczących guzików i wylotów luf.

— Skonfiskowana. Ta książka nie może wjechać do Ataguitanii. Jest tutaj zakazana.

— Ależ jak to możliwe?... Książka o jesiennych liściach? Ale jakim prawem?...

— Jest na liście książek podlegających konfiskacie. Takie jest nasze prawo. Czy pan chce nas pouczać? — W jednej chwili, od słowa do słowa, od jednej sylaby do drugiej, ton głosu z oschłego staje się szorstki, z szorstkiego zastraszaający, z zastraszaającego groźny.

— Ależ ja... właśnie ją kończyłem...

— Daj spokój — szepcze jakiś głos za tobą. — Nie zadawaj się z nimi. Nie przejmuj się książką, ja

też mam egzemplarz, pomówimy o tym później...

Ta podróżna wygląda na pewną siebie, taka tyczka w spodniach, w okularach, objuczona pakunkami, przechodzi przez kontrolę z miną stałego bywalca. Czy znasz ją? Nawet jeśli tak ci się wydaje, udawaj, że nic się nie stało, ona z pewnością nie chce, aby widziano, jak z tobą rozmawia. Dała ci znak, żebyś za nią poszedł, nie strać jej z oczu. Po wyjściu z lotniska wsiada do taksówki i daje ci znak, żebyś wziął następną. Jej taksówka zatrzymuje się w szczerym polu, ona wysiada z wszystkimi pakunkami i przesiada się do twojej. Gdyby nie króciutkie włosy i ogromne okulary, powiedziałbyś, że przypomina Lotarię.

Próbujesz powiedzieć: — Ale czy ty jesteś?...

— Corinna, mów do mnie Corinna.

Corinna szpera w swoich torbach, wyciąga jakąś książkę, podaje ci ją.

— Ależ to inna książka — mówisz, dostrzegając na okładce nieznaną tytuł, obce nazwisko autora; jest to *Wokół pustego grobu* Calixta Bandery. — Przecież oni zabrali mi książkę Ikoki!

— To właśnie ta, którą ci dałam. W Ataguitanii książki mogą krążyć wyłącznie w fałszywych okładkach.

Podczas gdy taksówka zapuszcza się z całą prędkością w zakurzone przedmieścia, nie możesz oprzeć się pokusie, otwierasz książkę i sprawdzasz, czy Corinna powiedziała prawdę. Ale gdzie tam. Tę książkę widzisz po raz pierwszy i wcale nie wygląda na japońską powieść: zaczyna się od tego, że jakiś jeździec pędzi przez płaskowyż, wśród agaw, i widzi krążące nad sobą drapieżne ptaki, zwane zopilotes.

— Skoro okładka została sfalszowana — odzywasz się — to tekst też będzie fałszywy

— A czego się spodziewałeś? — mówi Corinna. — Proces falsyfikacji, raz wprawiony w ruch, nie daje się już zatrzymać. W tym kraju wszystko, co można sfalszować, zostało już sfalszowane: obrazy muzealne, sztabki złota, bilety autobusowe. Kontrrewolucja i rewolucja walczą ze sobą przy pomocy kolejnych aktów fałszerstwa. W rezultacie nikt nie jest pewien tego, co jest prawdziwe, a co fałszywe, policja polityczna symuluje akcje rewolucyjne, rewolucjoniści zaś przebijają się za policjantów.

— I kto w końcu na tym zyskuje?

— Jest za wcześnie, aby to rozstrzygnąć. Trzeba zobaczyć, kto potrafi lepiej wykorzystać własne i cudze fałszerstwa, czy policja, czy nasza organizacja. Kierowca taksówki nadstawia uszu. Dajesz znak Corinnie, jakbyś chciał ją przestrzec, aby nie powiedziała nic nierozważnego.

Na to ona: Nie obawiaj się. To fałszywa taksówka. Natomiast niepokoi mnie to, że za nami jedzie druga taksówka.

— Fałszywa czy prawdziwa?

— Z pewnością fałszywa, nie wiem tylko, czy należy do policji, czy do nas.

Zerkasz do tyłu, na drogę. — Ależ — wykrzykujesz — za tą drugą jedzie trzecia...

— To mogą być nasi, którzy kontrolują ruchy policji, ale równie dobrze może to być policja na tropie naszych...

Druga taksówka wyprzedza was, zatrzymuje się, ze środka wyskakują uzbrojeni mężczyźni, każą wam wysiąść.

— Policja! Jesteście aresztowani! — Wszystkim trojgu zakładają kajdanki i każą przesiąść się do drugiej taksówki: tobie. Corinnie i waszemu kierowcy.

Corinna. spokojna i uśmiechnięta, pozdrawia funkcjonariuszy: — To ja, Gertruda. A to jeden z naszych, przyjaciel. Zawieźcie nas do dowództwa.

Otwierasz usta ze zdumienia. Corinna-Gertruda szepcze w twoim języku: — Nie bój się. To są fałszywi policjanci, tak naprawdę to są nasi.

Zaledwie ruszyliście, kiedy trzecia taksówka blokuje drogę drugiej. Wyskakują z niej inni uzbrojeni mężczyźni, twarze mają zakryte. Rozbrajają policjantów, zdejmują kajdanki tobie i Corinnie-Gertrudzie, zakuwają policjantów, pakują wszystkich do swojej taksówki.

Corinna-Gertruda wydaje się nieporuszona: — Dziękuję, przyjaciele mówi. — Jestem Ingrid, a to jest jeden z naszych. Czy wieciecie nas do kwatery głównej?

— Zamknij dziób! mówi ten, który wygląda na dowódcę. — Tylko nie próbujcie żadnych sztuczek! Teraz musimy zawiązać wam oczy. Jesteście naszymi zakładnikami.

Sam już nie wiesz, co o tym sądzić, tym bardziej że Corinna-Gertruda-Ingrid została uprowadzona przez tamtą taksówkę. Kiedy pozwalają ci odzyskać władzę nad własnymi kończynami i nad wzrokiem, znajdujesz się w komisariacie policji, czy też w biurze koszar. Podoficerowie w mundurach fotografują cię z przodu i z profilu, biorą odciski twoich palców. Jakiś oficer woła: — Alfonsina!

Wchodzi Gertruda-Ingrid-Corinna, także i ona w mundurze, kładzie przed oficerem teczkę z dokumentami do podpisania.

Ty tymczasem zostajesz poddany rutynowej procedurze, przechodzisz od biurka do biurka, jeden z funkcjonariuszy bierze w depozyt twoje dokumenty, drugi twoje pieniądze, trzeci ubranie, za które dostajesz więzienny kombinezon.

— Co to znowu za pułapka? — udaje ci się zapytać Ingrid-Gertrudę-Alfonsinę, która zbliża się w chwili, kiedy dyżurni odwracają się do ciebie plecami.

— Wśród rewolucjonistów znajdują się agenci kontrrewolucjonistów, to oni wciągnęli nas w

zasadzkę policji. Ale na szczęście w policji jest wielu agentów rewolucjonistów, a ci udawali, że rozpoznają we mnie funkcjonariuszkę tego komanda. Jeśli zaś chodzi o ciebie, wyślą cię do fałszywego więzienia, to znaczy do prawdziwego państwowego więzienia, nad którym jednakże nadzór sprawujemy my, a nie oni.

Na myśl nieodparcie przychodzi ci Marana. Któż inny mógłby wymyślić podobną machinację?

— Zdaje mi się, że rozpoznają styl waszego szefa — mówisz do Alfonsiny.

— To nieważne, kto jest szefem. Mógłby to być fałszywy szef, który udaje, że pracuje dla rewolucji, jego celem zaś byłoby popieranie kontrrewolucji, albo też taki, który udaje, że pracuje dla kontrrewolucji w przekonaniu, iż w ten sposób otworzy drogę rewolucji.

— A ty z kim współpracujesz?

— Mój przypadek jest inny. Ja jestem prawdziwą agentką rewolucji, która przeniknęła do obozu fałszywych rewolucjonistów. Aby mnie nie odkryto, muszę udawać kontrrewolucjonistkę, która przeniknęła w szeregi prawdziwych rewolucjonistów. I naprawdę nią jestem: wykonuję polecenia policji, ale nie tej prawdziwej, bo podlegam agentom rewolucji, którzy przeniknęli w szeregi agentów kontrrewolucji.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, tu wszyscy są agentami zarówno policji jak i rewolucji. Ale w jaki sposób udaje się wam nawzajem rozpoznawać?

— W przypadku każdej nowej osoby trzeba sprawdzić, kim są agenci, którzy pozwolili jej przeniknąć w szeregi agentów. A jeszcze przedtem trzeba się dowiedzieć, kto wprowadził tych agentów.

— I walczyte tak do ostatniej kropli krwi wiedząc, że żadne z was nie jest tym, za kogo się podaje?

— A co to ma do rzeczy? Każdy musi odgrywać swoją rolę aż do końca.

— A jaką rolę ja miałbym odegrać?

— Nie denerwuj się i czekaj. Czytaj dalej swoją książkę.

— Do diabła! Zgubiłem ją, kiedy mnie uwolnili, to znaczy aresztowali...

— To bez znaczenia. Więzienie, w którym cię zamkną, jest wzorowym więzieniem, z biblioteką wyposażoną w ostatnie nowości.

— Także w książki zakazane?

— A gdzie miałyby się znajdować książki zakazane, jeśli nie w więzieniu.

(Przybyłeś aż tutaj, do Ataguitanii, żeby złowić fałszerza powieści, a stałeś się więźniem systemu, w którym każdy fakt jest fałszywy. Albo inaczej: chciałeś zapuścić się w głąb puszczy, przemierzyć stopy,

przewędrować płaskowyże, sforsować górskie łańcuchy, podążając tropem wywiadowcy Marany, który zaginął szukając źródeł powieści — rzeki, tymczasem wciąż wpadasz na kraty więziennego systemu, które ogradzają całą planetę, zamykając twoją przygodę w ciasnych, zawsze jednakowych korytarzach... Czy to nadal jest twoja historia, Czytelniku? Wyprawa, którą podjąłeś z miłości do Ludmiły, zawiodła cię tak daleko od niej, że straciłeś ją z oczu. Skoro ona już tobą nie kieruje, nie pozostaje ci nic innego, jak zaufać jej lustrzanemu odbiciu, Lotarii...

Ale czy to naprawdę jest Lotaria? — Nie wiem o kogo ci chodzi. Podajesz imiona, których nie znam — odpowiada ci za każdym razem, kiedy usiłujesz odwołać się do minionych wydarzeń. Czy tego wymagają od niej reguły konspiracji? Prawdę mówiąc, nie jesteś pewien jej tożsamości... Czy jest to fałszywa Corinna, czy fałszywa Lotaria? Pewien jesteś tylko jednego: jej rola w twojej historii przypomina rolę Lotarii, a zatem imię Lotaria pasuje do niej i nie potrafiłbyś nazywać jej inaczej.

— Czy chcesz zaprzeczyć, że masz siostrę?

— Mam siostrę i nie widzę żadnego związku z naszą rozmową.

— Czy twoja siostra lubi powieści, których bohatera wie posiadają psychikę niepokojącą i skomplikowaną?

— Moja siostra zawsze mawia, że lubi powieści, w których wyczuwa siłę elementarną, pierwotną, sejsmiczną. Tak właśnie mówi: sejsmiczną.)

— Pan wniósł skargę na więzienną bibliotekę w sprawie niepełnego tomu powieści — mówi wysoki urzędnik zza wysokiego biurka.

Wydajesz westchnienie ulgi. Od chwili kiedy strażnik wywołał cię z celi i przemierzałeś korytarze, pokonywałeś schody i podziemne przejścia, piąłeś się po stopniach, mijałeś przedpokoje i pomieszczenia biurowe, nie opuszczał cię strach, chwytaly cię dreszcze, dręczyły napady gorączki. A tymczasem oni chcieli po prostu odpowiedzieć na twoją reklamację w sprawie powieści *Wokół pustego grobu* Calixta Bandery! Czujesz, jak lęk ustępuje miejsca rozczarowaniu, doznałeś go już wcześniej na widok rozklejonej okładki, która zawierała kilka wystrzępionych i zniszczonych arkuszy.

— Pewnie, że wniosłem skargę — odpowiadasz. — Tak się chwalicie waszą wzorową biblioteką we wzorowym więzieniu, a potem, kiedy zamawiam książkę figurującą jak należy w katalogu, otrzymuję zwitek przetartych kartek! Ciekaw jestem, w jaki sposób zamierzacie przeprowadzić reedukację więźniów stosując podobne metody!

Mężczyzna przy biurku powoli zdejmuje okulary. Potrząsa ze smutkiem głową. — Nie wnikiem w przedmiot pana zażalenia. Nie należy to do moich obowiązków. Nasza placówka utrzymuje wprawdzie ścisły kontakt zarówno z więzieniem, jak i z biblioteką, ale zajmuje się szerszą problematyką. Kazaliśmy

tu pana wezwać, bo wiemy, że jest pan Czytelnikiem powieści, a my potrzebujemy konsultacji. Siły porządkowe: wojsko, policja, sądownictwo, zawsze miały trudności z opiniowaniem książek, niezdecydowane, czy daną książkę należy zakazać, czy też można ją tolerować; to efekt braku czasu na rozległe lektury, niepewność kryteriów estetycznych i filozoficznych, służących za podstawę oceny... Nie, proszę się nie obawiać, nie chcemy pana zmusić do udzielenia nam pomocy w pracach cenzorskich. Współczesna technologia już wkrótce pozwoli nam wypełnić te zadania szybko i skutecznie. Posiadamy maszyny zdolne do czytania, przeprowadzania analizy i oceny każdego tekstu. Musimy natomiast poddawać kontroli wiarygodność samych przyrządów. Pan figuruje w naszych kartotekach jako czytelnik kategorii średniej i mamy informacje, że przeczytał pan, przynajmniej częściowo, *Wokół pustego grobu* Calixta Bandery. Uznaliśmy za właściwe skonfrontować pana wrażenia z lektury z wynikami czytającej maszyny.

Kieruje cię do sali z aparatur. — Przedstawiam panu naszą programistkę Sheilę.

Przed tobą, w białym fartuchu zapiętym pod szyję, stoi Corinna-Gertruda-Alfonsina i dogląda zestawu gładkich, metalowych sprzętów, podobnych do automatycznych zmywarek. — To są jednostki pamięci, które zakodowały cały tekst *Wokół pustego grobu*. Końcówka jest połączona z maszyną piszącą, zdolną, jak pan widzi, odtworzyć powieść słowo w słowo, od początku do końca — mówi urzędnik. Długi arkusz papieru rozwija się z czegoś w rodzaju maszyny do pisania, która z prędkością karabinu maszynowego pokrywa go bezdusznymi wersalikami.

— A więc, jeśli pan pozwoli, skorzystam z tego i przeczytam rozdziały, których brakuje mi do końca — mówisz, muskając z trwożliwą pieśczołą gęstą rzekę pisma, rozpoznajesz w niej prozę, która towarzyszyła ci w godzinach uwięzienia.

— Proszę się nie krępować — mówi urzędnik — zostawiam pana z Sheilą, ona podłączy właściwy program.

Czytelniku, odnalazłeś książkę, której szukałeś, teraz możesz podjąć przerwany wątek, uśmiech powraca na twoje wargi. Ale jak ci się zdaje, czy tak właśnie ma wyglądać dalszy ciąg tej historii? Nie, nie historii powieściowej, lecz twojej własnej historii. Jak długo będziesz biernie znosił koleje losu? Rzuciłeś się w wir akcji, pełen zapału, żądny przygód. A potem? Twoja rola prędko sprowadziła się do roli tego, kto przygląda się sytuacjom stworzonym przez innych, poddaje się cudzej woli, zostaje wplątany w wydarzenia, które wymykają się spod jego kontroli. A zatem do czego służy ci rola powieściowego bohatera? Jeśli nie wycofasz się z tej gry, będzie to oznaczało, że i ty uczestniczysz w ogólnej mistyfikacji.

Chwytasz dziewczynę za przegub ręki. — Dostyc tych przebieranek, Lotario! Jak długo jeszcze pozwolisz sobą manipulować w tym policyjnym systemie?

Tym razem Sheila-Ingrid-Corinna nie potrafi ukryć pewnego zmieszania. Uwalnia rękę z twojego uchwytu. — Nie rozumiem, kogo oskarżasz, nie wiem, o czym mówisz. Ja obrałam bardzo jasną strategię. Opozycja musi przedostać się w tryby mechanizmu władzy, aby tę władzę obalić.

— A potem powielić ją jota w jotę! Daremnie się maskujesz, Lotario! Jak rozepniesz guziki munduru, pod spodem ukaze się inny mundur!

Sheila patrzy na ciebie prowokująco: — Rozpiąć guziki?... Spróbuj...

Rzuciłeś już wyzwanie, nie możesz się wycofać. Drżącą ręką rozpinasz guziki białego fartucha programistki Sheili i odsłaniasz policyjny mundur Alfonsiny, odrywasz złote guziki Alfonsiny i obnażasz anorak Corinny, ciągniesz zamek błyskawiczny Corinny i dostrzegasz naszywki Ingrid...

Dalej ona sama zrywa z siebie pozostałą odzież: ukazują się dwie jędrne piersi o kształcie melonów, lekko wklęśta przepona, wciągnięty pępek, lekko wypukły brzuch, dwa pełne biodra osoby pozornie chudej, wyniosłe łono, dwa mocne i długie uda.

— A to? Czy to także jest mundur? — krzyczy Sheila. Zmieszaleś się trochę. — Nie, to nie... — mruyczysz.

— A właśnie że tak! — woła Sheila. — Ciało to jest mundur! Ciało to oddział zbrojny! Ciało to brutalna akcja! Ciało żąda władzy! Ciało wypowiada wojnę! Ciało umacnia swoją pozycję podmiotu! Ciało jest celem, a nie środkiem! Ciało coś znaczy! Komunikuje! Protestuje! Obala!

To mówiąc Sheila-Alfonsina-Gertruda rzuca się na ciebie, zrywa twoją więzienną odzież, wasze nagie członki splatają się pod szafami elektronicznych pamięci.

Czytelniku, co robisz? Nie opierasz się? Nie uciekasz? Ach, ty w tym uczestniczysz... Rzucasz się w to na osłep... Niezaprzeczalnie jesteś bohaterem tej książki, w porządku, ale czy naprawdę sądzisz, że to daje ci prawo do utrzymywania stosunków cielesnych z wszystkimi kobiecymi postaciami? Tak bez żadnego przygotowania... Czy nie wystarczy twoja historia z Ludmiłą, aby intryga nabrała ciepła i wdzięku miłosnej opowieści? Jaką masz potrzebę, aby zabawiać się także z jej siostrą (albo z kimś, kogo utożsamiasz z jej siostrą), z tą Lotarią-Corinną-Sheilą, do której tak naprawdę nigdy nie czuleś nawet sympatii?... To naturalne, że chcesz się odegrać, po tym jak przez całe stronicę śledziłeś wydarzenia z bierną rezygnacją, ale czy ten sposób wydaje ci się właściwy? A może powiesz, że i w tę sytuację wciągnięto cię wbrew twojej woli. Dobrze wiesz, że ta dziewczyna robi wszystko na zimno, całą swoją teorię doprowadza w praktyce aż do skrajności, nie zważając na nieobliczalne skutki... Chciała dać ci ideologiczną demonstrację, nic poza tym... Dlaczego tym razem dałeś się natychmiast przekonać jej argumentom? Miej się na baczności, Czytelniku, tutaj wszystko jest inne, niż ci się wydaje, wszystko jest dwuznaczne...

Błysk flesza i seria pstryknięć aparatu fotograficznego wchłania biel waszych konwulsyjnych i splątanych nagości.

— Kapitanie Aleksandro, znowu dajesz się zaskoczyć naga w ramionach więźnia! - strofuje ją niewidzialny fotograf. — Te migawki wzbogacą twoje osobiste dossier... - i głos oddala się, z szyderczym śmiechem.

Alfonsina-Sheila-Aleksandra wstaje, okrywa się ze znudzoną miną. — Nigdy nie dają mi chwili spokoju — prycha — praca dla dwóch zwalczających się tajnych służb ma ten minus, że obie służby nieustannie usiłują cię szantażować.

Ty także usiłujesz wstać i zaplątujesz się w arkusze wystukane przez piszącą maszynę: początek powieści rozciąga się na podłodze jak kot, który chce się bawić. Obecnie to historie, które przeżywasz, urywają się w punkcie kulminacyjnym, a zatem może przynajmniej teraz będzie ci dane prześledzić do końca powieści, które czytasz...

Aleksandra-Sheila-Corinna, zamyślona, powróciła do uderzania w klawisze. Ponownie przybrała minę osoby sumiennej, która daje z siebie wszystko. — Coś tu nie działa — mruczy — o tej porze powinno już być gotowe... Co tu nie gra?

Już to spostrzegłeś: Gertruda-Alfonsina jest dziś w nastroju nieco nerwowym, w pewnej chwili musiała nacisnąć niewłaściwy klawisz. Kolejność słów tekstu Calixta Bandery, strzeżona przez elektroniczną pamięć, gotową w każdej chwili wydobyć ją na światło dzienne, została wymazana przez błyskawiczne rozmagnetyzowanie obwodów. Wielobarwne przewody miały teraz drobiny rozsypanych wyrazów: on on on on, to to to to, do do do do, bo bo bo bo, zaszeregowane według odpowiedniej frekwencji. Książka stała się nie do odtworzenia, rozpadła się, rozproszyła niczym wydma piasku rozwiana przez wiatr.

Wokół pustego grobu

Kiedy sępy zrywają się do lotu, noc ma się ku końcowi, powiedział mi ojciec. Słyszałem trzepot ich mocnych skrzydeł, kiedy wzbijały się w mrok nieba, widziałem, jak ich cień przesłania zielone gwiazdy. To był męczący lot, ptaki z ociąganiem odrywały się od ziemi, od cienistych zarośli, jakby dopiero w locie ich pióra nabierały przekonania, że są piórami, nie zaś kolczastymi liśćmi. Kiedy zniknęły, ukazały się znowu gwiazdy, poszarzałe, niebo stawało się zielone. Świtało, a ja jechałem konno przez puste drogi w kierunku wioski Oquedal.

— Nacho — rzekł mi ojciec — jak tylko umrę, weź mojego konia, moją strzelbę, zapas żywności na trzy dni i jedź w górę wyschniętego strumienia szczytu San Ireneo, tak długo, aż ujrzysz dym wznoszący się znad tarasów Oquedal.

— Dlaczego do Oquedal? — spytałem. — Kto jest w Oquedal? Kogo mam szukać?

Głos mojego ojca coraz bardziej słabł i zamierał, jego twarz coraz bardziej siniała. — Muszę wyjawić ci pewną tajemnicę, której strzegłem tyle lat... To długa opowieść...

Ojciec trwoniał w tych słowach ostatnie tchnienia agonii, a znając jego skłonność do odbiegania od tematu, do przetykania każdej wypowiedzi różnymi wtrętami, nawiasami, wybieganiem wstecz, obawiałem się, że nigdy nie zdoła przekazać mi tego. co najważniejsze. — Prędko, ojczu, wymów imię osoby, o którą mam pytać w Oquedal...

— Twoja matka... Twoja matka, której nie znasz, mieszka w Oquedal... Twoja matka, która nie widziała cię od czasu, kiedy byłeś w pieluszkach...

Wiedziałem, że przed śmiercią opowie mi o matce. Był mi to winien, całe dzieciństwo i lata dorastania przeżyłem nie wiedząc, jak wygląda ani jakie imię nosi kobieta, która mnie urodziła, ani też dlaczego on oderwał mnie od jej piersi, kiedy jeszcze ssałem mleko, abym dzielił wraz z nim życie włóczęgi i wygnańca. — Kim jest moja matka? Powiedz jej imię! — O matce opowiadał mi dużo, w czasach kiedy jeszcze uporczywie o nią pytałem, ale były to zmyślane historie, pełne sprzeczności: raz była ubogą żebraczką, raz cudzoziemską damą, która podróżowała czerwonym automobilem, raz zakonną mniszką, raz cyrkową woltyżerką, to umarła wydając mnie na świat, to padła ofiarą trzęsienia ziemi. Któregoś dnia postanowiłem, że nie będę mu więcej stawiał żadnych pytań i zaczekam, aż sam mi o niej opowie. Właśnie niedawno ukończyłem szesnaście lat, kiedy mojego ojca, powaliła żółta febra.

— Pozwól, abym zaczął od początku — dyszał. Kiedy przybędziesz do Oquedal i powiesz: „Jestem Nacho, syn don Anastasia Zamory”, będziesz musiał wysłuchać o mnie wielu nieprawdziwych

opowieści, pomówień oszczerstw. Chcę, abyś wiedział...

— Imię, imię mojej matki, prędko!

— Poczekaj. Nadeszła chwila, abyś wiedział...

Nie, ta chwila nie nadeszła. Po wielu próżnych słowach wstępu, gadanina mojego ojca przeszła w rżenie i zgasła na zawsze. Młodzieniec, który piał się teraz konno w ciemnościach po stromych ścieżkach San Ireneo, nadal nie wiedział, ku czemu zmierza ani skąd się wywodzi.

Wybrałem drogę, która biegła wzdłuż koryta wyschniętego strumienia, górując z wysoka nad głębokim wąwozem. Świt, który zastygł nad wyrzeźbioną krawędzią lasu, zdawał się otwierać przede mną nie tyle nowy dzień, ile dzień, który poprzedził wszystkie następne dni, nowy w tym sensie, że należał do czasu, kiedy dni były jeszcze nowe, nowe jak nowy był pierwszy dzień, w którym ludzie zrozumieli, czym jest dzień.

A kiedy zrobiło się wystarczająco jasno, aby widoczny stał się drugi brzeg strumienia, spostrzegłem, że także tamtędy biegnie droga, i równoległe do mnie podąża nią człowiek na koniu, zmierzając w tym samym kierunku, ze strzelbą przewieszoną przez ramię.

— Hej tam! — krzyknąłem. — Czy daleko jeszcze do Oquedal?

Nawet się nie obejrzał, co gorsza na dźwięk mojego głosu odwrócił na chwilę głowę (w przeciwnym razie mógłbym go uznać za głuchego), lecz natychmiast potem ponownie skierował wzrok przed siebie i jechał dalej nie zaszczycając mnie odpowiedzią ani gestem pozdrowienia.

— Hej! Do ciebie mówię! Czy jesteś głuchy? A może niemy? — krzychałem, a on nie przestawał kołysać się w siodle w rytm kroku swego czarnego konia.

Kto wie, jak długo posuwaliśmy się naprzód, złączeni nocą, rozdzieleni urwistym wąwozem. To, co wydawało mi się dziwnym echem kopyt mojej klaczy, odbitym przez nierówną wapienną skałę po drugiej stronie, było w rzeczywistości stukotem podków towarzyszących mi kroków.

Dostrzegałem tylko linię pleców i karku młodzieńca, jego wystrzępiony słomkowy kapelusz. Obrażony jego gruboskórnym zachowaniem, spiąłem ostrogami klacz, aby zostawić go w tyle, aby nie mieć go przed oczami. Za ledwie go wyprzedziłem, coś mnie tknęło i odwróciłem głowę. On zsunął z ramienia strzelbę i podnosił ją, jakby zamierzał wycelować we mnie. Natychmiast sięgnąłem ręką po kolbę mojego karabinu, przytroczonego w futerale do siodła. On z powrotem zaczął przewieszać ramię przez ramię, jak gdyby nic się nie stało. Od tej chwili posuwaliśmy się równym krokiem, na dwóch przeciwległych krawędziach wąwozu, mając się na oku, bacząc, aby nie odwrócić się do siebie plecami. Moja klacz sama dostosowała krok do kroku czarnego konia, jakby wszystko zrozumiwała.

Opowieść sama dopasowuje krok do powolnego rytmu podkutych kopyt, co pną się po górskich

ścieżkach, zmierzając do miejsca, które posiada tajemnicę przeszłości i przyszłości, gdzie czas okręca się wokół własnej osi jak łąso zawieszono na łęku siodła. Wiem już, że długa droga prowadząca do Oquedal nie będzie równie długa jak ta, która pozostanie mi do przebycia, kiedy dotrę już do tej ostatniej wioski na krańcach zamieszkałego świata, na krańcach czasu mojego życia.

— Jestem Nacho, syn don Anastasia Zamory — powiedziałem do starego Indianina, który siedział w kucki, oparty o mur kościoła. — Gdzie jest mój dom?

„Może on wie”, pomyślałem.

Starzec uniósł powieki, czerwone i gruzłowate jak u indyka. Palec — wyschnięty jak chrust, którego używa się na podpałkę — wynurzył się spod poncha i wskazał pałac rodziny Alvarado, jedyny pałac w tej kupie zastygłego błota, jaką jest wioska Oquedal. Jego barokowa fasada sprawia wrażenie, jakby pojawiła się tu przez pomyłkę, przypomina fragment dekoracji opustoszałego teatru. Ktoś przed wiekami uwierzył, że jest to kraina złota, a kiedy spostrzegł swój błąd, pałac, zaledwie ukończony, zaczął powoli wypełniać przeznaczenie ruiny.

Podążając za służącym, który zaopiekował się moim koniem, mijam szereg pomieszczeń; powinny mnie one prowadzić coraz bardziej w głąb domu, tymczasem znajduję się wciąż coraz bardziej na zewnątrz, z jednego dziedzińca przechodzę do drugiego, zupełnie jakby w tym pałacu wszystkie drzwi służyły tylko do wychodzenia, nigdy zaś do wchodzenia. Opowieść powinna stworzyć poczucie obcości miejsc, które widzę po raz pierwszy, a także miejsc, które pozostawiły mi w pamięci nie wspomnienia, lecz pustkę. Teraz żywe obrazy usiłują wypełnić tę pustkę, lecz przybierają jedynie barwę snów zapomnianych w tej samej chwili, kiedy się pojawiają.

Na pierwszym z następujących po sobie dziedzińców rozwieszono dywany do trzepania (próbuję odszukać w pamięci wspomnienie kołyski ustawionej w okazałej siedzibie), drugi dziedziniec zarzucono workami ostnicy (staram się obudzić wspomnienie rolnego gospodarstwa z czasów wczesnego dzieciństwa), na trzecim dziedzińcu zaczynają się stajnie (czyżbym urodził się w jednym z boksów?). Powinno być już zupełnie widno, jednakże cień spowijający opowieść, nie zamierza ustąpić, nie przepuszcza informacji, które pozwoliłyby wyobraźni uzupełnić rysunek przedmiotów, nie przekazuje wypowiedzianych słów, przekazuje jedynie niewyraźne głosy, stłumione śpiewy.

Dopiero na trzecim dziedzińcu wrażenia zaczynają przybierać realne kształty. Najpierw są to zapachy, kuchenne aromaty, potem światło płomienia rozjaśnia pozbawione wieku twarze Indian zgromadzonych w obszernej kuchni Anaclety Higueras. Ich gładka skóra mogłaby należeć zarówno do starców, jak i do młodzieńców, może byli już starzy za czasów mojego ojca, a może są to synowie jego

rówieśników, którzy patrzą teraz na jego syna, tak jak ich ojcowie patrzyli na niego, cudzoziemca, kiedy pojawił się któregoś poranka na swoim koniu, ze strzelbą u boku.

Od tła szerniałego paleniska i płomieni odrywa się wysoka sylwetka kobiety okrytej kocem w pasy koloru ochry i różu. Anacleta Higuera szykuje mi talerz pikantnych pulpetów. — Jedz, synu, wędrowałeś szesnaście lat, aby odnaleźć drogę do domu — mówi, a ja zastanawiam się, czy „syn” jest słowem, którym kobieta w jej wieku zawsze zwraca się do młodego chłopca, czy może naprawdę znaczy to, co to słowo oznacza. Wargi palą mnie od ostrych przypraw, które Anacleta dodała do swojej potrawy, jakby ten smak miał zawierać w sobie wszystkie najbardziej esencjonalne smaki, nie potrafię ich rozróżnić ani nazwać, a one mieszają się teraz na moim podniebieniu niczym języki ognia. Przypominam sobie wszystkie smaki, jakich kiedykolwiek zakosztowałem, staram się rozpoznać ten złożony smak i osiągam wrażenie odmienne, choć może równoznaczne ze smakiem niemowlęcego mleka, owym pierwszym smakiem, który zawiera w sobie wszystkie inne smaki.

Patrzę na twarz Anaclety, na jej piękną indiańską twarz. Wiek zaledwie ją zaokrąglił, lecz nie wyrzył na niej ani jednej zmarszczki, patrzę na okazale ciało owinięte w koce i zastanawiam się, czy właśnie tej niegdyś wysokiej piersi, teraz opadniętej, chwyciłem się w dzieciństwie.

— A więc znałaś mojego ojca, Anacleto?

— Byłoby lepiej, gdybym go nie znała. Nacho. Dzień, w którym postawił tu stopę, nie był dobrym dniem dla Oquedal...

— Dlaczego, Anacleto?

— Indianie zaznali od niego tylko zła, a także i biali nie zaznali od niego dobra... Potem zniknął... Lecz dzień, w którym wyjechał z Oquedal, też nie był dobrym dniem...

Oczy wszystkich Indian utkwione są we mnie, podobne do oczu dzieci, spoglądają na wieczną terażniejszość bez pobłażania.

Amaranta jest córką Anaclety Higuera. Ma podłużne, skośne oczy, cienki, napięty nos, wąskie, wygięte usta. Ja mam takie same oczy, ten sam nos, jednakowe usta. — Prawda, że jesteśmy do siebie podobni, ja i Amaranta? — pytam Anaclebę.

— Wszyscy urodzeni w Oquedal są do siebie podobni. Można pomylić twarze Indian i białych. Nasza wioska leży na odludziu w górach, liczy sobie niewiele rodzin. Od wieków zenimy się tylko pomiędzy sobą.

— Mój ojciec nie pochodził stąd...

— Właśnie. Skoro nie lubimy obcych, to mamy swoje powody.

Usta Indian rozchylają się w powolnym westchnieniu, usta o rzadkich zębach pozbawionych dziąseł, zębach spróchniałych i nadgniłych jak u szkieletów.

Przechodząc przez drugi dziedziniec dostrzegłem pewien portret, oliwkową fotografię młodzieńca w otoczeniu girlandy kwiatów, oświetloną oliwną lampką. — Ten zmarły z portretu też wygląda na krewnego... — mówię do Anaclety.

— To Faustino Higuera, niech Bóg przyjmie go pomiędzy swoje archanioły! — mówi Anacleta, a wśród Indian rozlega się szmer modłów.

— Czy był twoim mężem, Anacleto?

— Był moim bratem, szpadą i tarczą naszego domu i naszej wioski, dopóki nieprzyjaciel nie przeciął mu drogi...

— Mamy takie same oczy — mówię do Amaranty, przedostając się do niej pomiędzy workami na drugim dziedzińcu.

— Nie, moje są większe — odpowiada.

— No to musimy je zmierzyć — przysuwam twarz do jej twarzy, tak że łuki brwi przylegają do siebie, potem przyciskam moją brew do jej brwi, tak aby nasze skronie, policzki i kości jarzmowe złączyły się ze sobą. — Widzisz, kąciaki naszych oczu stykają się w tym samym miejscu.

— Nic nie widzę — mówi Amaranta, lecz nie odsuwa twarzy.

— Także i nosy — przytykam mój nos do jej nosa, trochę ukośnie, starając się dopasować do siebie nasze profile — i wargi też... — mruczę z zamkniętymi ustami, bo teraz także nasze wargi przywierają do siebie, a ściślej mówiąc, połowa jej ust przywiera do połowy moich ust.

— To boli! — mówi Amaranta, gdy popycham ją całym ciałem na worki, i czuję pączki zakwitających piersi, czuję muśnięcie jej brzucha.

— Łajdak! Bydle! A więc po to zjawiłeś się w Oquedal! Wykapany ojciec! — głos Anaclety rozbrzmiewa mi w uszach, jej ręce chwytają mnie za włosy i ciskają o filary, podczas gdy Amaranta, uderzona na odlew, jęczy zwalona na worki. — Ty mojej córki nie dotkniesz ani teraz, ani nigdy!

— Dlaczego nigdy? Cóż mogłoby nam w tym przeszkodzić? — protestuję. — Ja jestem mężczyzną, a ona kobietą... Jeśli los zechciał, abyśmy się sobie spodobali, to nie dzisiaj, ale może pewnego dnia, kto wie, dlaczego nie miałbym poprosić o jej rękę?

— Bądź przeklęty! — wrzeszczy Anacleta. — Nie wolno ci! Nie wolno ci nawet o tym pomyśleć, rozumiesz?

„Więc może Amaranta jest moją siostrą? — zastanawiam się. — Na co ona czeka, dlaczego nie przyzna, że jest moją matką?”, i mówię: — Dlaczego tak krzyczysz, Anacleto? A może istnieje pomiędzy

nami więź krwi?

— Więź krwi? — Anacleta uspokaja się, podciąga połę koca aż na oczy. — Twój ojciec przybywał z daleka... Jakaż więź krwi mogłaby go z nami łączyć?

— Ale ja urodziłem się w Oquedal... z miejscowej kobiety...

— Swoich związków krwi szukaj sobie gdzie indziej, nie pośród nas, ubogich Indian... Ojciec ci tego nie powiedział?

— Nigdy nic mi nie powiedział, przysięgam ci, Anacleto. Nie wiem nawet, kto jest moją matką...

Anacleta wyciąga rękę w kierunku pierwszego dziedzica. — Dlaczego pani nie zechciała cię przyjąć? Dlaczego kazała umieścić cię tutaj, pomiędzy służbą? To do niej wysłał cię twój ojciec, nie do nas. Idź do doni Jasminy, przedstaw się: „Jestem Nacho Zamora y Alvarado, ojciec wysłał mnie, abym uklęknął u twoich stóp.” W tym miejscu opowieść powinna przedstawić stan mojego umysłu, czuję się wstrząśnięty jak po przejściu huraganu na wiadomość, że połowa nazwiska, którą przede mną skrywano, należy do panów Oquedal, i zarówno obszerne estancias, jak i ziemie są własnością mojej rodziny. Tymczasem było tak, jakby moja podróż w głąb minionego czasu sprawiała na mnie wrażenie, że wkręcam się w mroczny wir, w którym kolejne dziedzice pałacu Alvaradów zdają się wyrastać jeden z drugiego, każdy równie znajomy i każdy równie obcy mojej pustej pamięci. Oto pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, oznajmiam ją Anaclecie, chwytając za warkocz jej córki. — A więc jestem waszym panem, jestem panem twojej córki i wezmę ją, kiedy tylko zechcę!

— Nie! — krzyczy Anacleto. — Zanim dotkniesz Amaranty, zabiję was oboje! — Amaranta zaś cofa się z grymasem, który odsłania jej zęby, nie wiem tylko, czy w szlochu, czy w uśmiechu?

Oblepione wieloletnim woskiem świeczniki słabo oświetlają jadalnię Alvaradów, może umyślnie, aby w oczy nie rzucały się złuszczone stiuki ani wystrzępione koronki zasłon. Zostałem zaproszony na kolację przez właścicieli. Twarz doni Jasminy pokrywa warstwa pudru, która sprawia wrażenie, że lada chwila oderwie się i wpadnie do talerza. Także i ona jest Indianką, mimo farbowanych, miedzianych włosów, ułożonych na żelazko. Ciężkie bransolety połyskują przy każdym podniesieniu łyżki. Jej córka, Jacinta, wychowała się w college'u i nosi biały sweter do tenisa, ale jej spojrzenie i gesty są takie same jak u indiańskich dziewczyn.

— W tamtych czasach stały w tym salonie stoły do gry — opowiada dona Jasmina. — O tej porze rozpoczynały się rozgrywki i trwały nawet do rana. Byli i tacy, co potracili tu całe estancias. Don Anastasio Zamora osiedlił się tutaj właśnie dlatego, że pociągała go gra. Zawsze wygrywał, a wśród nas zaczęły krążyć pogłoski, że jest szulerem.

— Ale nigdy nie wygrał żadnej estancii — czuję się w obowiązku uściślić.

— Twój ojciec był człowiekiem, który tracił o świcie wszystko to, co wygrywał w nocy. Poza tym przy jego stałych tarapatach z kobietami, niewiele mu zostawało na włożenie do garnka.

— Czy miał jakieś przygody w tym domu, przygody z kobietami?... — ośmielam się zapytać.

— Tam chodził ich szukać, tam, na drugim dziedzińcu, nocą... — mówi dona Jasmina, wskazując w kierunku pomieszczeń dla Indian.

Jacinta wybucha śmiechem, zasłaniając sobie usta dłonią. W tej chwili odkrywam, że do złudzenia przypomina Amarantę, chociaż jest zupełnie inaczej ubrana i uczesana.

— Tu w Oquedal wszyscy są do siebie podobni mówię. Na drugim dziedzińcu widziałem portret, który mógłby być portretem każdego z was...

Patrzę na mnie, trochę zaniepokojone. Matka mówi: — To portret Faustina Higuera. ...był mieszane, w połowie indiańskiej krwi. a w połowie białej. Z ducha zaś był całkowicie Indianinem. Mieszkał z nimi, trzymał ich stronę... i tak skończył.

— Był biały ze strony ojca czy matki?

— Dużo chcesz wiedzieć...

— Czy w Oquedal wszystkie historie wyglądają tak samo? pytam. — Biali zadają się z Indianami... Indianie zadają się z białymi...

— Biali i Indianie z Oquedal są do siebie podobni. Ich krew jest zmieszana od czasów konkwisty. Ale panowie nie powinni zadawać się ze służbą. Możemy robić wszystko, co zechcemy, z każdym z nas, ale nigdy z nimi... don Anastasio urodził się w rodzinie posiadaczy, chociaż był bardziej goły od żebraka...

— Co wspólnego ma z tym wszystkim mój ojciec?

— Każ sobie wyjaśnić słowa piosenki, którą śpiewają Indianie:... Po przejściu Zamory... porachunki są wyrównane... w kołysce leży dziecko... a w grobie trup...

— Czy słyszałeś, co powiedziała twoja matka? mówię do Jacinty, kiedy tylko możemy rozmawiać na osobności. — Ty i ja możemy robić, co tylko zechcemy.

— Jeślibyśmy chcieli. Ale my nie chcemy.

— Ja bym coś chciał.

— Co takiego?

— Chciałbym cię ugryźć.

— Jeśli o to chodzi, to mogę ugryźć cię do kości — i pokazuje mi zęby.

W pokoju jest łóżko z białą pościelą i nie bardzo wiadomo, czy nie zostało jeszcze zasłane, czy też

przygotowano je właśnie na noc. Spowija je gęsta moskitiera, zwisająca z baldachimu. Popycham Jacintę między fałdy zasłony, i nie bardzo wiadomo, czy ona stawia mi opór, czy też pociąga mnie za sobą. Usiłuję zedrzeć z niej ubranie, ona broni się odrywając mi sprzączki i guziki.

— Och! Ty także masz tu znamię! W tym samym miejscu co ja! Popatrz!

W tej chwili grad pięści spada na moją głowę i na ramiona, to dona Jasmina naciera na nas z furją:

— Rozłączcie się! Nie wiecie, co robicie! Jesteś takim samym i łotrem jak twój ojciec!

Ogarniam się najlepiej, jak mogę. — Dlaczego, doño Jasmino? Co chce pani przez to powiedzieć? Z kim robił to mój ojciec? Z panią?

— Ty prostaku! Wynos się do służby! Zejdź nam z oczu! Idź ze służącymi, jak twój ojciec! Wracaj do swojej matki!

— Kto jest moją matką?

— Anacleta Higueras, chociaż nie chce się do tego przyznać, odkąd Faustino nie żyje.

Nocą domy w Oquedal przywierają ciasno do ziemi jakby czuły na sobie ciężar nisko zawieszono księżycy spowitego w niezdrowe opary mgły.

— Co to za piosenka, którą śpiewają o moim ojcu Anacleto? - pytam kobietę znieruchomiałą we wnętrzu drzwi niby posąg w kościelnej niszy. — Jest w niej mowa o trupie, o grobie...

Anacleta zdejmuje ze ściany latarnię. Idziemy razem przez pola kukurydzy.

— Na tym polu twój ojciec i Faustino Higueras wszczęli kłótnię — wyjaśnia Anacleto — i orzekli, że o jednego z nich jest za dużo na świecie, i wykopali razem grób. W chwili gdy postanowili walczyć na śmierć i życie, stało się tak, jakby nienawiść pomiędzy nimi wygasła, i w przykładowej zgodzie wykopali grób. Potem ustawili się jeden po jednej, drugi po drugiej stronie grobu, każdy z nożem w prawej dłoni i z lewą ręką owiniętą w poncho. Raz jeden, raz drugi przeskakiwał przez grób i atakował przeciwnika nożem, a ten bronił się przy pomocy poncha, i starał się zepchnąć wroga do grobu. Walczyli tak aż do świtu, a z ziemi wokół grobu nie unosił się nawet kurz, tak była nasycona krwią. Wszyscy Indianie z Oquedal stanęli wokół pustego grobu, wokół dyszących i zakrwawionych młodzieńców, i stali tak, nieruchomo i w milczeniu, aby nie zmacić sądu Bożego, od którego zależał los ich wszystkich, nie tylko los Faustina Higuerasa i Nacha Zamory.

— Ależ... to ja jestem Nacho Zamora...

— Na twojego ojca także mówiono wtedy Nacho.

— I kto zwyciężył, Anacleto?

— Jak możesz o to pytać, chłopcze? Zwyciężył Zamora: niezbadane są wyroki Pana. Faustino

został pochowany w tej samej ziemi. Lecz dla twojego ojca było to gorzkie zwycięstwo, tej samej nocy wyjechał i nie widziano go więcej w Oquedal.

— O czym ty mówisz. Anacleto? Ten grób jest pusty!

— W następnych dniach Indianie z bliskich i dalekich wiosek utworzyli procesję do grobu Faustina Higuera. Szli walczyć za rewolucję i prosili mnie o relikwie, które chcieli nieść w złotej szkatule, na czele oddziałów: kosmyk włosów, skrawek poncha, grudkę zakrzepłej krwi. Wtedy postanowiliśmy otworzyć grób i wydobyć trupa. Lecz Faustina Higuera tam nie było, grób był pusty. Od tego dnia zaczęły krążyć legendy, jedni mówią, że widzieli go nocą. jak galopuje po górskich ścieżkach na swoim czarnym koniu i czuwa nad snem Indian; inni mówią, że ujrzemy go ponownie w dniu, kiedy Indianie zjadą na nizinę, aby stanąć na czele oddziałów...

„A więc to był on! To jego widziałem! — chciałbym powiedzieć, ale jestem zbyt wzburzony, aby wymówić choćby słowo.

Indianie z pochodniami zbliżyli się w milczeniu i teraz ustawiają się wokół otwartego grobu.

Pomiędzy nimi toruje sobie drogę młodzieniec o długiej szyi, w wystrzępionym, słomianym kapeluszu, o rysach twarzy podobnych do twarzy ludzi z Oquedal, mam na myśli wykrój oczu, linię nosa, rysunek ust, które przypominają moje oczy, mój nos, moje usta.

— Jakim prawem, Nacho Zamora, dotknąłeś mojej siostry? — mówi, a w jego prawej ręce błyska ostrze. Lewe przedramię spowija poncho, którego poła opada na ziemię.

Z ust Indian wydobywa się dźwięk, który nie jest szeptem, jest raczej stłumionym westchnieniem.

— Kim jesteś? Jestem Faustino Higuera. Broń się.

Staję po drugiej stronie grobu, na lewe ramię zarzucam poncho, w dłoni ściskam nóż.

X

Pijesz herbatę z Arkadianem Porfiryczem, jednym z najbardziej wyrafinowanych mieszkańców Hyrkanii, który zasłużenie pełni funkcję dyrektora generalnego Państwowych Archiwów Policyjnych. To on jest pierwszą osobą, z którą polecono ci się skontaktować zaraz po przybyciu do Hyrkanii, w ramach misji powierzanej ci przez zwierzchnie władze Ataguitanii. Arkadian Porfirycz przyjął cię w przytulnych pokojach biblioteki w swoim urzędzie, biblioteki „na bieżąco uzupełnianej i najlepiej wyposażonej w całej Hyrkanii — o czym natychmiast cię powiadomił — gdzie skonfiskowane książki zostają poddane klasyfikacji, zakatalogowaniu, konserwacji oraz przeniesieniu na mikrofilmy, niezależnie od tego, czy są to dzieła wydrukowane, czy odbite na powielaczu, czy są to maszynopisy, czy rękopisy”.

Kiedy władze Ataguitanii, które cię uwięziły, obiecały ci wolność pod warunkiem, że podejmiesz się pewnej misji w dalekim kraju („misji dyplomatycznej o pewnych aspektach związanych z tajną służbą, a także tajnej misji o pewnych oficjalnych aspektach związanych ze służbą dyplomatyczną”), w pierwszej chwili odmówiłeś. Niewielkie zamiłowanie do wypełniania zadań rangi państwowej, brak zawodowego powołania do odegrania roli tajnego agenta, niejasny i pokrętny sposób, w jaki przedstawiono ci zakres obowiązków, którym musiałbyś podołać, były wystarczającym powodem, abyś wybrał celę we wzorowym więzieniu, a odrzucił trudy podróży w północne tundry Hyrkanii. Lecz myśl, że pozostając nadal w ich rękach, możesz spodziewać się wszystkiego co najgorsze, oraz ciekawość rozbudzona tym zadaniem „które, naszym zdaniem, może pana zainteresować jako czytelnika”, a także kalkulacja, że możesz udawać ich sprzymierzeńca, aby potem udaremnić ich plany, nakłoniły cię do wyrażenia zgody.

Dyrektor generalny, Arkadian Porfirycz, który wydaje się doskonale poinformowany o twojej sytuacji, także psychologicznej, zwraca się do ciebie tonem pouczającym i pełnym otuchy: — Po pierwsze, nigdy nie wolno nam zapominać o prawdzie podstawowej: policja jest potężną jednoczącą siłą w świecie, który pozbawiony tej siły, poddałby się rozpadowi. Jest rzeczą naturalną, że policje odmiennych, a nawet wrogich ustrojów potrafią w pewnym zakresie z sobą współpracować. W dziedzinie rozpowszechniania książek...

— Doprowadzi się wkrótce do ujednoczenia metod cenzury w różnych ustrojach?

— Nie do ujednoczenia, lecz do opracowania systemu, w którym te metody będą się uzupełniać i wzajemnie wspierać...

Dyrektor generalny zachęca cię, abyś spojrział na mapę świata, zawieszoną na ścianie. Różne kolory wyróżniają:

kraje, w których wszystkie książki podlegają systematycznej konfiskacie;

kraje, w których można rozpowszechniać tylko książki opublikowane i zatwierdzone przez Państwo;

kraje, w których cenzura jest prymitywna, o bliżej nieokreślonych kryteriach, nieobliczalna;

kraje, w których cenzura jest wyrafinowana, uczona, wyczulona na rozmaite powiązania i aluzje, sprawowana przez intelektualistów skrupulatnych i przewrotnych;

kraje, w których istnieje podwójna sieć obiegu: legalna i podziemna;

kraje, w których nie ma cenzury, bo nie ma i książek, za to jest wielu potencjalnych czytelników;

kraje, w których nie ma książek i nikt nie uskarża się na ich brak;

i wreszcie kraje, w których codziennie produkuje się książki zaspokajające wszelkie upodobania i wyrażające wszelkie poglądy, w atmosferze powszechnej obojętności.

— Nikt dzisiaj nie ceni wartości słowa pisanego równie wysoko, jak cenią ją państwa policyjne — mówi Arkadian Porfirycz. — Jakież inne dane pozwolą lepiej wyodrębnić te narody, w których literatura cieszy się prawdziwym poważaniem, jeśli nie sumy przeznaczane na jej kontrolowanie i zniewalanie? Tam gdzie literatura staje się przedmiotem takich względów, zyskuje niezwykle znaczenie, wprost niewyobrażalne w krajach, w których literaturze pozwala się wegetować w charakterze rozrywki nieszkodliwej i pozbawionej ryzyka. Oczywiście, aparat przymusu, przy pewnej nieobliczalności swoich wyroków, musi także pozwalać na chwile wytchnienia, przemykać co pewien czas oczy, przemiennie stosować akty nadużycia i akty łaski, bo w przeciwnym razie, jeśli nie znajdzie się już nic do zniewolenia, cały mechanizm pokryje się rdzą i zniszczy. Powiedzmy to sobie szczerze: każda władza, nawet najbardziej despotyczna, utrzymuje się przy rządach w warunkach chwiejnej równowagi, i dlatego nieustannie musi dowodzić konieczności istnienia własnego aparatu przemocy, a zatem musi mieć coś, co tę przemoc usprawiedliwi. Wola pisania rzeczy kłopotliwych dla ukonstytuowanej władzy jest jednym z elementów niezbędnych do utrzymania tej równowagi. Dlatego też, w wyniku tajnego porozumienia z krajami o wrogim nam ustroju społecznym, utworzyliśmy wspólną organizację, z którą pan rozsądnie zgodził się współpracować, organizację powołaną do eksportowania zakazanych książek tutaj i importowania zakazanych książek tam.

— Co oznaczałoby, że książki tutaj zakazane, są tam dozwolone, i na odwrót...

— Nic podobnego. Książki tutaj zakazane, tam są po dwakroć zakazane, a książki zakazane tam, są po trzykroć zakazane tutaj. Lecz z eksportowania własnych zakazanych książek do wrogiego ustroju i z importowania ich książek każdy z ustrojów czerpie przynajmniej dwie istotne korzyści: przekonuje opozycjonistów do zasad wrogiego ustroju oraz przynosi pożyteczną wymianę doświadczeń obu

służbom policyjnym.

— Zadanie, które mi powierzono — wyjaśniasz pośpiesznie — ogranicza się do nawiązania kontaktu z funkcjonariuszami policji hyrkańskiej, ponieważ tylko za waszym pośrednictwem pisma opozycji mogą trafić w nasze ręce. — (Mam się na bacności, aby mu nie powiedzieć, że w zakres mojej misji wchodzi także bezpośrednie kontakty z konspiracyjną siatką opozycji, i zależnie od okoliczności mogę rozegrać tę partię na korzyść jednych przeciwko drugim lub odwrotnie.)

— Nasze archiwum jest do pana dyspozycji — mówi dyrektor generalny. — Mógłbym panu pokazać bardzo rzadkie rękopisy, oryginalne wersje dzieł, które dotarły do rąk publiczności dopiero po przejściu przez filtry czterech lub pięciu komisji cenzorskich, i za każdym razem poddawane były cięciom, modyfikacjom, rozwodnieniu, a wreszcie publikowano je w wersji okaleczonej, zneutralizowanej, nie rozpoznawalnej. Aby czytać naprawdę, trzeba przyjść tutaj, drogi panie.

— A czy pan czyta?

— Chce pan zapytać, czy ja czytam nie tylko z zawodowego obowiązku? Tak, rzekłbym, że każdą książkę, każdy dokument, każdy dowód rzeczowy z tego archiwum czytuję dwukrotnie, i są to dwie całkowicie odmienne lektury. Pierwsza, pośpieszna, na użytek najwyższych władz, pozwala mi ustalić, w jakiej szafie mam przechowywać mikrofilm, pod jaką literą mam go zakatalogować. Potem, wieczorem (wieczory spędzam tutaj, po godzinach urzędowania; sam pan widzi, wewnątrz jest spokojne, można się odprężyć), wyciągam się na tej kanapie, wkładam do mikroczytnika taśmę jakiegoś wyjątkowego dzieła z podziemnej edycji i pozwalam sobie na luksus powolnego smakowania utworu, dla mojej wyłącznej przyjemności.

Arkadian Porfirycz zakłada nogę na nogę w dopasowanych oficerkach, przesuwa palcem w szczelinie pomiędzy szyją a kołnierzykiem obwieszonych orderami munduru. Dodaje: — Nie wiem, czy wierzy pan w Ducha Boja wierzę. Wierzę w dialog, który Duch nieprzerwani prowadzi z samym sobą. I czuję, że ów dialog toczy się w moim spojrzeniu, które śledzi te zakazane stronicie. Także Policja posiada Ducha, i Państwo, któremu służę, i Cenzura, podobnie jak teksty podlegające naszym wyrokom. Moc Ducha nie potrzebuje wielkiej publiczności, aby się objawić, rozkwita w cieniu, w mrocznej więzi, która łączy tajne sprzysiężenie z tajną Policją. Wyzwolić go może choćby moja lektura, bezinteresowna, lecz niezmiennie wyczulona na wszystkie dozwolone i niedozwolone niuanse, lektura, którą prowadzę w świetle tej lampy, w wielkim opustoszałym gmachu, kiedy tylko mogę rozpiąć kurtkę mojego służbowego munduru i pozwalam, aby nawiedziły mnie zakazane wizje, które w ciągu dnia niezłomnie muszę trzymać na uwięzi...

Musisz przyznać, że słowa dyrektora generalnego napawają cię pewną otuchą. Skoro tego

człowieka nadal pociąga i zaciekawia lektura, oznacza to, że nie wszystko spośród tekstów krążących w obiegu zostało spreparowane czy sfalszowane przez wszechmocne biurokracje, że poza tym gmachem istnieje jeszcze jakiś świat zewnętrzny.

— A czy jesteście już poinformowani - starasz się, aby twój głos zabrzmiał chłodno i oficjalnie — o spisku apokryfów?

— Oczywiście. Otrzymałem wiele raportów w tej sprawie. Przez pewien czas łudziliśmy się, że potrafimy nad wszystkim sprawować nadzór. Tajne służby największych mocarstw nie szczędziły wysiłków, aby rozpracować tę organizację, której macki zdawały się sięgać wszędzie... Lecz mózg spisku, ów Cagliostro falsyfikatów, zawsze nam się wymykał... Nie dlatego, że nie wiedzieliśmy, kim on jest: w naszych kartotekach figurowały wszystkie jego dane, jakiś czas temu rozpoznano go w osobie pewnego tłumacza, intryganta i oszusta, lecz prawdziwe powody jego działalności pozostawały niejasne. Wydawało się, że nic go już nie łączy z licznymi sektami, na które rozpadła się założona przez niego konspiracyjna organizacja, a jednak on pośrednio wywierał wpływ na ich knowania... A kiedy wreszcie zdołaliśmy położyć na nim rękę, spostrzegliśmy, że niełatwo jest go nagiąć do naszych celów... Motorem jego działania nie były pieniądze ani władza, ani ambicje. Jak się zdaje, robił to wszystko dla kobiety. Po to, aby ją odzyskać, a może tylko wziąć na niej odwet czy wygrać zakład. Powinniśmy byli zrozumieć tę kobietę, jeśli mieliśmy z powodzeniem śledzić dalsze posunięcia naszego Cagliostra. Ale nie udało nam się ustalić, kim ona jest. Zdołałem się o niej czegoś dowiedzieć wyłącznie drogą dedukcji, lecz tych informacji nie mogłbym zamieścić w żadnym oficjalnym raporcie — nasze naczelne organa ścigania nie są zdolne wyłowić pewnych subtelności...

— Dla tej kobiety — mówi dalej Arkadian Porfirycz widząc, jak uważnie chłonisz jego słowa — proces czytania zakłada wyzbycie się wszelkich z góry powziętych założeń, wszelkiej stronniczości, oznacza gotowość do wyłowienia głosu, który daje się słyszeć w chwili najmniej spodziewanej, głos ten dochodzi nie wiadomo skąd, gdzieś spoza książki, ponad świadomością autora, ponad konwencjami słowa pisanego; pochodzi on z tego, co nie zostało wypowiedziane, czego świat jeszcze o sobie nie powiedział, bo nie posiada słów, aby to wypowiedzieć. On natomiast chciał jej dowieść, że poza zapisaną kartką papieru jest pustka, świat istnieje tylko jako podstęp, oszustwo, pomyłka, kłamstwo. Jeśli tylko o to by chodziło, z łatwością mogliśmy mu podsunąć wszelkie środki, aby on dowiódł jej tego, czego dowieść zamierzał; mówię o nas, kolegach z różnych krajów i różnych ustrojów, bo wielu z nas ofiarowało mu współpracę. A on tej współpracy nie odrzucał, wprost przeciwnie... Nie mogliśmy tylko zrozumieć, czy to on przyjmuje reguły naszej gry, czy też my jesteśmy pionkami w jego rozgrywce... A jeśli mieliśmy do czynienia z wariatem? Tylko ja mogłem wyjaśnić jego tajemnicę; kazałem naszym agentom go porwać,

przewieźć tutaj, przez tydzień trzymać w izolatce, potem zaś przesłuchałem go osobiście. Nie był szaleńcem, może tylko desperatem. Zakład z tą kobietą był od dawna przegrany, to ona zwyciężyła, to jej lektura, podsycana nieustanną ciekawością, wiecznym nienasyceniem, potrafiła wyławiać rzeczy prawdziwe ukryte w grubo szytym fałszu, a także odkrywać niczym nie usprawiedliwiony fałsz w słowach, które miały być jak najbardziej wiarygodne. Cóż pozostawało naszemu iluzjonście? Nie chcąc zerwać ostatniej łączącej go z nią nici, nadal wprowadzał zamęt, mieszał tytuły, nazwiska autorów, pseudonimy, języki, przekłady, wydania, okładki, karty tytułowe, rozdziały, początki, zakończenia, po to, aby ona musiała rozpoznawać te oznaki jego obecności, przyjmować jego pozdrowienia, przesyłane bez nadziei na uzyskanie odpowiedzi. „Uświadomiłem sobie własne ograniczenia – powiedział mi. – W procesie lektury zachodzi coś, na co nie mam wpływu.” Mógłbym być mu odpowiedzieć, że tej granicy nie może przekroczyć nawet najbardziej wszechobecna policja świata. Możemy zabronić czytania, lecz w dekrete zabraniającym czytania dałoby się wyczytać coś z prawdy, której wolelibyśmy nigdy nie ujawniać...

– A co się z nim stało? – pytasz z gorliwością, którą dyktuje już nie rywalizacja, lecz solidarne zrozumienie.

– To był człowiek skończony. Mogliśmy z nim zrobić, cokolwiek byśmy zechcieli: wysłać go na ciężkie roboty albo przydzielić mu rutynową funkcję w naszych tajnych służbach. Tymczasem...

– Tymczasem...

– Pozwoliliśmy mu zbiec. Udana ucieczka, udany potajemny wyjazd z kraju, i zdołał ponownie zatrzeć za sobą ślady. Od czasu do czasu rozpoznaję, jak sądzę, jego rękę w materiałach, które do mnie trafiają... Jego jakość się poprawiła... Uprawia teraz mistyfikację dla mistyfikacji... Nie mamy już nad nim żadnej władzy. Na szczęście...

– Na szczęście?

– Musi pozostać coś, co nam się wymyka... Władza potrzebuje obiektu, na którym mogłaby wykazać własną siłę, potrzebuje przestrzeni, w której mogłaby wyciągnąć swoje długie ramię... Dopóki wiem, że jest na świecie ktoś, kto uprawia sztukę kuglarską wyłącznie z upodobania do kuglarstwa, dopóki wiem, że jest kobieta, która kocha lekturę dla samej lektury, upewniam się, że świat toczy się dalej. I każdego wieczora ja także oddaję się lekturze, podobnie jak ta daleka, nie znana mi czytelniczka...

Natychmiast usuwasz z wyobraźni niesprawiedliwie nałożone na siebie obrazy dyrektora generalnego i Ludmiły, cieszysz się idealizacją Czytelniczki, jej promiennym wizerunkiem, nakreślonym przez pozbawione złudzeń słowa Arkadiana Porfirycza, rozkoszujesz się przeświadczeniem, potwierdzonym przez wszechwiedzącego dyrektora, że pomiędzy nią a tobą nie istnieją już żadne

przeszkody ani tajemnice, że po twoim rywalu, Cagliostrze, pozostał tylko patetyczny cień, coraz bardziej niknący...

Jednakże nie możesz odczuwać pełnej satysfakcji, dopóki nie pryśnie urok rzucony na urywające się lektury. Próbujesz podjąć również i ten wątek z Arkadianem Porfiryczem: — Pragnąc wzbogacić wasze zbiory, zamierzaliśmy wam podarować jedną z najbardziej poszukiwanych w Ataguitanii zakazanych książek; jest nią *Wokół pustego grobu* Calixta Bandery, lecz wskutek nadgorliwości naszej policji cały nakład trafił na przemiał. Wiemy jednak, że w waszym kraju krąży z rąk do rąk hyrkański przekład powieści, w podziemnym wydaniu na powielaczu. Czy coś panu o tym wiadomo?

Arkadian Porfirycz podnosi się, sprawdza coś w katalogu. — Powiedział pan: Calixta Bandery? Otóż tak; akurat dzisiaj ta pozycja wydaje mi się nieosiągalna. Ale jeśli cierpliwie poczeka pan tydzień, no, góra dwa tygodnie, przygotuję panu wyborną niespodziankę. Jeden z naszych najpoważniejszych zakazanych autorów, Anatoli Anatolin, pracuje nad przeniesieniem powieści Bandery w warunki hyrkańskie. Z innych źródeł wiem, że Anatolin kończy inną powieść pod tytułem *Jaka opowieść tam w tle czeka na zakończenie?*, a my już zarządziliśmy policyjną akcją, aby książkę porwać, działając przez zaskoczenie, i tym samym nie dopuścić, by weszła do podziemnego obiegu. Kiedy tylko dostaniemy ją w nasze ręce, postaram się, aby niezwłocznie otrzymał pan kopię, i wtedy sam pan sprawdzi, czy chodzi o książkę, której pan szuka.

W jednej chwili obmyślasz plan działania. Masz sposobność nawiązania bezpośredniego kontaktu z Anatolim Anatolinem. Musisz uprzedzić agentów Arkadiana Porfirycza, wcześniej od nich zawładnąć rękopisem, uchronić go przed porwaniem, zabezpieczyć i wymknąć się zarówno policji hyrkańskiej, jak i policji ataguitańskiej...

Tej nocy masz senne widzenie. Jesteś w pociągu, długim pociągu przemierzającym Hyrkanie. Wszyscy podróżni czytają opasłe tomy w oprawie, co w krajach, gdzie gazety i czasopisma są mało atrakcyjne, zdarza się częściej niż gdzie indziej. Do głowy przychodzi ci myśl, że któryś z podróżnych, a może oni wszyscy czytają jedną z książek, których lekturę musiałeś przerwać, a nawet że wszystkie te powieści znajdują się tutaj, w tym przedziale, przełożone na ten nie znany ci język. Starasz się przeczytać napisy na grzbietach okładek, chociaż wiesz, że to daremne, bo jest to pismo dla ciebie nieczytelne.

Jeden z podróżnych wychodzi na korytarz i na swoim miejscu zostawia książkę z zakładką pomiędzy kartkami. Natychmiast po jego wyjściu ty wyciągasz rękę po tom, przeglądasz go, upewniasz się, że jest to właśnie książka, której szukasz. W tej samej chwili spostrzegasz, że pozostali podróżni obrócili się w twoją stronę i mierzą cię groźnym wzrokiem, z naganą za twoje nietaktowne zachowanie.

Aby ukryć własne zmieszanie, podnosisz się, stajesz przy oknie, wciąż nie wypuszczając książki z

ręki. Pociąg stoi między torami i słupami semaforów, może zatrzymał się na zwrotnicy przed jakąś zagubioną stacyjką. Za oknem jest śnieg i mgła, nic nie widać. Na sąsiednim torze zatrzymał się inny pociąg, jadący w przeciwnym kierunku, z zaparowanymi szybami. W oknie na wprost ciebie kolisty ruch dłoni w rękawiczce przywraca szybie nieco przejrzystości: pojawia się postać kobiety w futrzanym obłoku. — Ludmiło... — wołasz ją — Ludmiło, książka starasz się jej powiedzieć raczej gestami niż głosem — książka, której szukasz... znalazłem ją, jest tutaj... — i mocujesz się z oknem, żeby opuścić szybę i podać jej tom pomiędzy soplami lodu, które pokrywają pociąg grubą skorupą.

— Książka, której szukam — mówi zamglona postać, i także wyciąga tom podobny do twojego — stwarza poczucie trwania w świecie, który nastąpił po końcu świata, stwarza poczucie, że świat jest kresem wszystkiego, co na świecie istnieje, że jedyną rzeczą na świecie jest koniec świata.

— Tak nie jest — krzyczysz i szukasz w niezrozumiałej książce zdania, które mogłoby zaprzeczyć słowom Ludmiły. Lecz oto oba pociągi ruszają, oddalają się w przeciwnych kierunkach.

Lodowaty wiatr zamiata parki stolicy Hyrkanii. Siedzisz na ławce i czekasz na Anatolego Anatolina, który ma ci przekazać rękopis swojej nowej powieści *Jaka historia tam w tle czeka na zakończenie?* Młody człowiek o długiej jasnej brodzie, w długim czarnym palcie i czapce z ceraty siada obok ciebie. — Proszę zachowywać się naturalnie. Parki są zawsze szczególnie nadzorowane.

Żywopłot chroni was przed cudzym wzrokiem. Cienki plik kartek przechodzi z wewnętrznej kieszeni długiego płaszcza Anatolego do wewnętrznej kieszeni twojego krótkiego prochowca. Anatoli Anatolin wyjmuje następne kartki z wewnętrznej kieszeni marynarki. — Musiałem rozdzielić całość po różnych kieszeniach, aby ich wypukłość nie rzucała się w oczy — mówi, wyjmując zwój stronicy z wewnętrznej kieszeni kamizelki. Wiatr porywa mu pomiędzy palców jedną kartkę. Anatoli natychmiast ją podnosi. Zamierza właśnie wyjąć następny rulon arkuszy z tylnej kieszeni spodni, kiedy zza żywopłotu wyskakują dwaj cywile i go aresztują.

Jaka historia tam w tle czeka na zakończenie?

Idę Wielkim Prospektem naszego miasta i wymazuję w myśli te elementy, których postanowiłem nie brać pod uwagę. Przechodzę obok gmachu jakiegoś ministerstwa o przeładowanej fasadzie, dostrzegam kariatydy, kolumny, balustrady, plinty, gzymsy, metopy i odczuwam potrzebę, aby sprowadzić tę fasadę do gładkiej, pionowej powierzchni, do szklanej, matowej płyty, do przegrody, która ograniczy przestrzeń, sama nie rzucając się w oczy. Lecz gmach ten, nawet tak uproszczony, nadal mnie przytłacza, pozbawia mnie tchu. Postanawiam usunąć go całkowicie. Na jego miejscu z nagiej ziemi wyrasta mleczne niebo. W ten sam sposób wymazuję pięć innych ministerstw, trzy banki i dwa wieżowce wielkich spółek handlowych. Świat jest tak skomplikowany, że po to, aby się w nim rozeznać, trzeba przzerzedzać, wciąż przzerzedzać.

W nieustającym ruchu pieszych na Prospeckie stale spotykam osoby, których widok z rozmaitych przyczyn jest mi niemiły: moi przełożeni przypominają mi o mojej pozycji podwładnego, moi podwładni sprawiają, że czuję odrazę do sprawowania władzy, która wydaje mi się niegodna, tak jak niegodne są zazdrość, służalczość i niechęć, jaką władza wzbudza. Wymazuję jednych i drugich bez wahania. Kątem oka widzę, jak oni maleją i roztapiają się w cienkiej pajęczynie mgły.

Podczas tej operacji muszę uważać, aby oszczędzić innych przechodniów, tych obcych, nieznanym, którzy nigdy mi nie dokuczyli; przyznam nawet, że niektóre twarze, kiedy tak obserwuję je zupełnie bezstronnie, wydają mi się godne szczerego zainteresowania. Lecz gdy z otaczającego mnie świata pozostaje tylko tłum nieznanym, natychmiast przenika mnie uczucie samotności i wyobcowania, a zatem lepiej będzie wymazać ich także, wszystkich razem, i nie myśleć o tym więcej.

W uproszczonym świecie mam większe szanse spotkania tych paru osób, które lubię spotykać, jak na przykład lubię spotykać Franciszkę. Kiedy zdarza mi się spotkać Franciszkę, odczuwam wielką radość. Opowiadamy sobie różne dowcipne rzeczy, śmiejemy się, mówimy o błahostkach, o których być może nie rozmawialibyśmy z nikim innym, natomiast wspólne rozprawianie o nich okazuje się interesujące dla nas obojga, i przed rozstaniem obiecujemy sobie, że koniecznie musimy się jak najszybciej znowu zobaczyć. Potem mijają miesiące, zanim uda nam się spotkać raz jeszcze, przypadkiem, na ulicy, następują radosne okrzyki, śmiechy, obietnice ponownego spotkania, lecz ani ja, ani ona nigdy nie robimy nic, aby doprowadzić do spotkania, być może dlatego, że nie byłoby ono już tym samym. Teraz zaś, w uproszczonym i uszczuplonym świecie, pole działania oczyszczone zostało z tych wszystkich z góry ustalonych sytuacji, kiedy to sam fakt, że ja i Franciszka widzimy się częściej, zakładałby wytworzenie

się pomiędzy nami pewnej więzi, którą starano by się nazwać, być może w oczekiwaniu małżeństwa, a w każdym razie uznano by nas za parę, spodziewano by się, że nasz związek rozszerzy się na obie rodziny, obejmie pokrewieństwa w linii zstępującej i wstępującej, obejmie braterstwa i kuzynostwa, a także doprowadzi do przeniknięcia się obu środowisk, ukształtuje wzajemne stosunki i powiązania w sferze dochodów i stanu posiadania — otóż kiedy znikną wszystkie te uwarunkowania, których brzemie milcząco ciąży nad naszymi rozmowami, ograniczając je do paru minut, spotkanie z Franciszką powinno być jeszcze bardziej udane i radosne. Jest zatem rzeczą naturalną, że staram się stworzyć warunki sprzyjające przecięciu się naszych dróg — usuwam wszystkie młode kobiety w jasnych futrach, takich jak to, które ona miała na sobie ostatnim razem, toteż kiedy zobaczę ją z bliska, będę miał pewność, że to ona, nie narażę się na nieporozumienia i rozczarowanie; usuwam także wszystkich młodzieńców, którzy mogliby przyjaźnić się z Franciszką, a nawet nie jest wykluczone, że zamierzają spotkać ją umyślnie i zabawiać wesołą rozmową w chwili, kiedy to ja powinienem ją spotkać zupełnie przypadkiem.

Wdałem się w szczegóły natury osobistej, lecz nie powinno się sądzić, że w akcie wymazywania kierowałem się głównie własnymi doraźnymi korzyściami, podczas gdy ja staram się działać w interesie ogółu (a zatem także w swoim własnym interesie, choć w sposób nie bezpośredni). Skoro na początku spowodowałem zniknięcie wszystkich publicznych urzędów, które znalazły się w moim zasięgu, i unicestwiłem nie tylko budynki, schody, hole pod filarami, korytarze, przedpokoje, kartoteki, okólniki i dossier, lecz unicestwiłem także kierowników wydziałów, dyrektorów generalnych, wiceinspektorów, zastępców naczelników, urzędników etatowych i półetatowych — to postąpiłem tak, bo sądzę, że ich istnienie jest szkodliwe i zbyteczne dla odczuwania ogólnej harmonii.

Wybiła godzina, kiedy tłum urzędników opuszcza przegrzane biura, zapina palta o kołnierzach ze sztucznego futra, tłoczy się w autobusach. Jedno zmruczenie powiek, i wszyscy znikają — tylko nieliczni przechodnie wyróżniają się z daleka na wyludnionych ulicach, z których postarałem się już usunąć samochody, ciężarówki, autobusy. Podoba mi się widok nawierzchni czystej i gładkiej niczym tor bowlingowy.

Potem usuwam koszary, wartowników, komisariaty; wszyscy mężczyźni w mundurach ulatniają się, jak gdyby nigdy nie istnieli. Być może coś wymknęło mi się spod kontroli, bo spostrzegam, że ten sam los podzielają strażacy, listonosze, zamiatacze ulic oraz inne kategorie pracowników, którzy zasłużenie mogliby liczyć na odmienne traktowanie. Ale co się stało, to się już nie odstanie, nie można wciąż bawić się w takie subtelnosci. Aby uniknąć przykrych skutków, pospiesznie usuwam pożary, śmieci, a także pocztę, która tak naprawdę przysparza tylko kłopotów.

Pilnuję, żeby zniknęły szpitale, kliniki, przytułki; wymazanie lekarzy, pielęgniarzy i chorych

wydaje mi się jedyną możliwą gwarancją zdrowia. Potem unicestwiam sądy z gronem sędziów, adwokatów, oskarżonych, stron poszkodowanych: następnie więzienia z więźniami i strażnikami. Potem wymazuję uniwersytet z całym ciałem profesorskim, akademie nauk ścisłych, humanistycznych, sztuk pięknych, muzea, biblioteki, zabytki oraz ich nadzorców, teatry, kina, telewizję, gazety. Jeśli sądzą, że zdoła mnie powstrzymać szacunek dla sztuki, to się mylą.

Potem przychodzi kolej na struktury gospodarcze, które już od nazbyt dawna w sposób niepoahamowany roszczą sobie prawo do zniewalania naszego życia. Za co one się mają? Zmiotam sklepy, jeden po drugim, poczynając od produktów pierwszej potrzeby, kończąc na artykułach luksusowych i zbytecznych: najpierw opróżniam z towaru wystawy, potem wymazuję lady, półki, ekspedientki, kasjerki, kierowników działów. Tłum klientów stoi przez chwilę zagubiony, z rękami wyciągniętymi w pustkę, mając przed oczami ulatujące wózki, potem on także zostaje wchłonięty przez próżnię. Po usunięciu dóbr konsumpcyjnych sięgam do produkcji: niszczę przemysł lekki i ciężki, unicestwiam surowce i źródła energii. A co z rolnictwem? Precz z rolnictwem! Poza tym, aby nie mówiono, że zamierzam wskrzesić społeczeństwa prymitywne, wykluczam również polowania i rybołówstwo.

Natura... Ha, ha, nie myślcie sobie, że nie zrozumiałem: natura to także niezłe oszustwo — niechaj ginie! Wystarczy, jeśli pod stopami pozostanie mi dostatecznie mocna warstwa skorupy ziemskiej, a z każdej innej strony otoczy mnie pustka.

Wędruję nadal po Prospekcie, który teraz niczym nie wyróżnia się z bezkresnej niziny, opustoszałej i zamrożonej. Jak okiem sięgnąć, nie ma już murów, nie ma nawet gór ani wzniesień, ani jednej rzeki, jeziora czy morza, dokoła rozciąga się obszar płaski i szary, pokryty lodem niczym zwartym bazaltem. Rezygnacja ze świata rzeczy nie jest tak trudna, jak się wydaje, wszystko zaczyna się od początku. Skoro raz zdołałeś wyrzec się czegoś, co uważałeś za niezbędne, spostrzegasz, że możesz pozbawić się także następnej rzeczy, a potem wielu innych. Tak więc przemierzasz oto tę pustą powierzchnię, którą stał się świat. Tuż nad ziemią podmuchy wiatru unoszą w śnieżnej zamieci resztki po zaginionym świecie: kiść dojrzałych winogron, która wygląda na zerwaną z jednorocznego pędu, wehniały niemowlęcy bucik, dobrze naoliwiony przegub Cardana, kartkę jakby wyrwaną z hiszpańskiej powieści z imieniem kobiety: Amaranta. Czy wszystko przestało istnieć zaledwie parę sekund temu, czy przed wiekami? Straciłem już poczucie czasu.

Tam, w głębi tego pasa pustej przestrzeni, który nadal nazywam Prospektem, widzę wysmukłą sylwetkę w jasnej futrzanej kurtce: to Franciszka! Rozpoznaję jej sprężysty krok w wysokich butach, jej sposób trzymania rąk w mufce, długi pasiasty szalik, który powiewa na wietrze. Mroźne powietrze i opróżniony teren zapewniają dobrą widoczność, aleja daremnie wymachuję rękami, ona nie może mnie

rozpoznać, zbyt wielka dzieli nas odległość. Posuwam się naprzód wielkimi krokami, a przynajmniej tak mi się wydaje, brakuje mi jednak punktów odniesienia. Nagle, w linii prostej pomiędzy mną a Franciszką, wyrastają jakieś cienie: to mężczyźni, mężczyźni w płaszczach i w kapeluszach. Czekają na mnie. Kim oni mogą być?

Kiedy podchodzę bliżej, rozpoznaję ich: to ci z Wydziału D. Ale w jaki sposób ocalili? Co oni tutaj robią? Sądziłem, że ich także usunąłem, kiedy wymazywałem personel wszystkich urzędów. Dlaczego ustawiają się pomiędzy mną a Franciszką? „Zaraz i ich wymażę!”, myślę i koncentruję się. Ale gdzie tam, oni wciąż tkwią w tym samym miejscu.

— Jesteś wreszcie — pozdrawiają mnie. — Czy ty też jesteś jednym z naszych? Brawo! Pomogłeś nam jak się patrzy i teraz wszystko jest czyste.

— Jak to? — krzyczę. — To wy także wymazywaliście? Teraz wreszcie rozumiem, skąd brało się to poczucie, że posuwam się za daleko w procesie usuwania otaczającego mnie świata.

— Ale słuchajcie, czy to nie wy mówiliście zawsze o rozwoju, wzroście, przyspieszeniu...

— I co z tego? Nie ma w tym żadnej sprzeczności... Wszystko mieści się w prawach logiki jutra... Rozwój znowu zaczyna się w punkcie zerowym... Ty też zrozumiałeś, że sytuacja doszła do martwego punktu, pogarszała się... Należało tylko przyspieszyć ten proces... Zgodnie z planem, to co może wydać się na krótką metę negatywem, potem, na dłuższą metę, może przekształcić się w bodziec ekonomiczny...

— Ale ja miałem zupełnie inne zamiary niż wy... Mój cel był inny... Ja wymazuję w inny sposób... — protestuję i myślę: „Jeśli sądzą, że uda im się wciągnąć mnie w swoje plany, to się mylą!”

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy włączę wsteczny bieg, kiedy przywrócę do istnienia rzeczy tego świata, każdą po kolei lub wszystkie razem, kiedy zwarty mur różnorodnej i namacalnej materii przeciwstawię ich projektom powszechnego unicestwienia. Zamykam oczy i je otwieram, pewien, że ponownie znajdę się na Prospekcie, rojnym od przechodniów, gdzie o tej porze zapalają się latarnie, a na ladach kiosków pojawia się ostatnie wydanie gazet. Tymczasem nic z tego, pustka wokół mnie pogłębia się, na horyzoncie sylwetka Franciszki porusza się tak powoli, jakby miała pokonać krzywiznę globu ziemskiego. Czy tylko my zdołaliśmy ocalić? Z rosnącym przerażeniem zaczynam pojmować prawdę: świat, który postanowiłem wymazać w myśli, sądząc, że w każdej chwili mogę przywrócić go do istnienia, otóż ten świat skończył się naprawdę.

— Trzeba być realistą — mówią funkcjonariusze Wydziału D. — Wystarczy rozejrzeć się dokoła. Cały wszechświat się... powiedzmy, że jest w fazie przemiany... — i wskazują na niebo, gdzie konstelacje stają się już nie do rozpoznania, tu zakrzepłe, tam rozrzedzone, mapą niebieską wstrząsają wybuchy gwiazd, jeden po drugim, niektóre gwiazdy rozbłyskują po raz ostatni i gasną. — Teraz, kiedy pojawią się

nowi, rzeczą najważniejszą jest, aby zastali Wydział D w pełnej gotowości, z odpowiednimi kadrami personalnymi, z efektywną strukturą operacyjną...

— A kim oni są, ci „nowi”? Co robią? Czego chcą? — pytam, a na zamrożonej powierzchni, która dzieli mnie od Franciszki, dostrzegam wąską szczelinę, która rozszerza się niczym ukryta pułapka.

— Jest za wcześnie, żeby o tym mówić. Żeby mówić o tym w naszym ujęciu. Jak dotąd nie zdołaliśmy ich nawet zobaczyć. To, że oni są, jest pewne, a zresztą już przedtem poinformowano nas, że mają przybyć... Ale my też tu jesteśmy, i oni nie mogą o tym nie wiedzieć, a my reprezentujemy sobą to, co stanowi jedyne możliwe przedłużenie tego, co było do tej pory... Potrzebują nas, nie mogą się do nas nie zwrócić, nie powierzyć nam praktycznego nadzoru nad tym, co pozostało... Świat zacznie toczyć się od nowa tak, jak my tego chcemy...

Nie, myślę, świat, który miałyby zaistnieć ponownie wokół mnie i Franciszki, nie może być waszym światem. Staram się skupić, aby w najdrobniejszych szczegółach odtworzyć w myśli to miejsce, to otoczenie, gdzie chciałbym się znaleźć w tej chwili z Franciszką, może to być na przykład kawiarnia wyłożona lustrami, w których odbijają się kryształowe żyrandole, w sali orkiestra gra walca, a dźwięki skrzypiec rozbrzmiewają nad marmurowymi stolikami, muskają dymiące filiżanki i ciastka z kremem. Na zewnątrz zaś, po drugiej stronie zamglonych szyb, dawałby odczuć swoją obecność świat pełen osób i rzeczy, świat przyjazny i wrogi, rzeczy radosne i takie, z którymi trzeba by walczyć... Myślę o tym z najwyższym napięciem, lecz już wiem, że to nie wystarczy, aby przywrócić świat do istnienia: pustka jest ode mnie potężniejsza i opanowała całą ziemię.

— Nie będzie łatwo nawiązać z nimi kontakt — mówią dalej ci z Wydziału D — i trzeba uważać, aby nie popełnić błędów i nie dać wyłączyć się z gry. Pomyśleliśmy o tobie, ty pomożesz nam zdobyć zaufanie nowych. Dowiodłeś, że potrafisz działać w fazie likwidacji, poza tym jesteś najmniej powiązany z dawnym kierownictwem. To ty będziesz musiał im się przedstawić, wyjaśnić, czym jest Wydział, jak może być przez nich wykorzystany do zadań niezbywalnie nagłych... No sam zobaczysz, jak można najkorzystniej ułożyć całą sytuację...

— No to idę, idę ich poszukać — mówię pospiesznie, bo czuję, że jeśli nie ucieknę teraz, jeśli nie dotrę do Franciszki, aby ją ocalić, za chwilę będzie zbyt późno, pułapka się zatrzaśnie. Oddalam się biegiem, zanim ci z Wydziału D zdołają mnie powstrzymać, zasypać pytaniami, wydać polecenia. Posuwam się po zamrożonej skorupie, idę Franciszce naprzeciw. Świat został ograniczony do kartki papieru, gdzie udaje się zapisać tylko słowa abstrakcyjne, tak jakby wszystkie konkretne wyrazy uległy wyczerpaniu. Powinno wystarczyć napisanie słowa „słów”, aby można było także napisać słowa „rondel”, „gulasz”, „wyciąg kuchenny”, lecz obrona kategoria stylu na to nie pozwala.

Widzę, jak na gruncie dzielącym mnie od Franciszki powstają rysy, bruzdy, pęknięcia, w każdej chwili moja stopa może wpaść w pułapkę. Powstałe szczeliny rozsuwają się, wkrótce pomiędzy mną a Franciszką otworzy się przepaść, rozewrze się otchłań! Skaczę z jednej krawędzi na drugą, pod sobą nie widzę żadnego dna, dostrzegam tylko pustkę, która prowadzi w dół, w nieskończoność. Biegnę po cząsteczkach świata rozproszonych w próżni. Świat się rozpada... Ci z Wydziału D wołają mnie, rozpaczliwie machają rękami, abym zawrócił, abym nie brnął dalej... Franciszko! Oto ostatni skok i jestem przy tobie!

Jest tutaj, stoi naprzeciw mnie, uśmiechnięta, ze złotą iskierką w oczach, z drobną twarzą zaróżowioną od mrozu. — Ach, to ty! Za każdym razem, kiedy przechodzę Prospektem, spotykam właśnie ciebie! Nie powiesz mi chyba, że spędzasz dni na spacerach! Słuchaj, znam pewną kawiarnię, tuż za rogiem, całą wyłożoną lustrami, z orkiestrą, która gra walca. Czy nie zaprosiłbyś mnie.

XI

Czytelniku, pora już, aby twój kapryśny żeglarski statek zawinął wreszcie do przystani. Jaki port może dać ci pewniejsze schronienie niż obszerna biblioteka? Z pewnością taka biblioteka znajdzie się w mieście, z którego wyruszyłeś i dokąd powróciłeś po odbyciu podróży dokoła świata, w pogoni od jednej książki do drugiej. Pozostaje ci jeszcze nadzieja, że dziesięć powieści, które ulotniły ci się z rąk, zaledwie rozpocząłeś ich lekturę, odnajdzie się w tej bibliotece.

Nareszcie zapowiada się wolny i spokojny dzień. Idziesz do biblioteki, zaglądasz do katalogu i z trudem powstrzymujesz okrzyk radości, a raczej dziesięć okrzyków radości: otóż wszyscy autorzy i wszystkie tytuły, których poszukujesz, znajdują się w katalogu, starannie zapisani.

Wypełniasz rewery i oddajesz go. Informują cię, że do katalogu musiał wkraść się błąd i książki nie sposób odnaleźć, niemniej jednak będą jej szukać. Prosisz o następną — okazuje się, że jest w czytaniu, lecz nie wiadomo, kto ją zamówił ani kiedy. Trzecia, o którą prosisz, jest w intrologatorni, wróci za miesiąc. Czwarta znajduje się w skrzydle biblioteki zamkniętym z powodu remontu. Wypełniasz następne rewery, ale z takiego czy innego powodu żadna z poszukiwanych przez ciebie książek nie jest dostępna.

W czasie kiedy personel prowadzi poszukiwania, ty cierpliwie czekasz przy stole w towarzystwie innych czytelników, którzy mieli więcej szczęścia i teraz siedzą pogrążeni w lekturze swoich tomów. Wyciągasz szyję, patrzysz raz w prawo, raz w lewo, aby zerknąć w cudze książki. Kto wie, czy któryś z nich nie czyta jednej z zamówionych przez ciebie książek.

Spojrzenie czytelnika z naprzeciwka, zamiast spoczywać na otwartej książce, błądzi dokoła. Nie są to jednak rozbiegane oczy, w ruchu niebieskich tęczy maluje się wyraźne skupienie. Co pewien czas wasze spojrzenia się spotykają. W pewnej chwili on zwraca się do ciebie, czy też raczej mówi jakby w próżnię, chociaż z pewnością zwraca się do ciebie:

— Proszę się nie dziwić, że tak nieustannie błądzę wzrokiem. W istocie taki mam sposób czytania i tylko taka lektura wydaje mi się owocna. Jeśli jakaś książka naprawdę mnie zainteresuje, potrafię prześledzić zaledwie parę linijek, a skoro tylko wyłowię jakąś myśl poddaną przez tekst, jakieś wrażenie, pytanie czy obraz, już wpadam na boczny tor, biegnę wzdłuż linii stycznej, przeskakuję od jednej myśli do drugiej, od obrazu do obrazu, podążam meandrycznym tokiem własnego rozumowania i fantazji, aż do całkowitego ich wyczerpania, a przy tym oddalam się od książki tak bardzo, że tracę ją z oczu. Niezbędny jest mi do tego bodziec lektury, i to mądrej lektury, nawet jeśli udaje mi się przeczytać

zaledwie parę stron. Ale już te parę stron zawiera dla mnie taką mnogość światów, że nie potrafią ich zgłębić.

— Dobrze pana rozumiem — zabiera głos inny czytelnik, unosząc znad kartek swojego tomu woskową twarz o zaczerwienionych oczach — lektura jest procesem nieciągłym i fragmentarycznym. Albo lepiej: przedmiotem lektury jest materia złożona z punktów i z mgławicy pyłu. W rozległej przestrzeni utworu literackiego uważny czytelnik rozróżnia najdrobniejsze człony, zestawienia wyrazów, przenośnie, związki składniowe, kroki logiczne, osobliwości leksykalne, które odznaczają się wyjątkowo stężonym ładunkiem myśli. Są to jakby cząstki elementarne tworzące jądro dzieła, wokół którego obraca się cała reszta. Lub też jest to jakby próżnia wytworzona przez wir, który wsysa i wchłania prądy. Przez te właśnie szczeliny, w zaledwie dostrzegalnych przebłyskach, ujawnia się prawda, którą być może książka zawiera, ujawnia się to, co stanowi w niej istotę rzeczy. Mity i tajemnice utworzone są z ziarenek równie nieuchwytnych jak pyłek na łapkach motyli: tylko ten, kto to pojął, może oczekiwać i objawienia i olśnienia. Dlatego też nie mogę, przeciwnie niż pan, oderwać uwagi od zapisanych linijek nawet na chwilę. Nie mogę się rozpraszać, jeśli nie chcę przeoczyć jakiejś cennej wskazówki. Za każdym razem, kiedy natrafiam na jeden z takich znaczących okrucichów, muszę nieustępliwie drążyć dokoła, aby przekonać się, czy znaleziona bryłka nie okaże się zapowiedzią żyły. Dlatego też moja lektura nigdy nie dobiega końca: czytam i wciąż odczytuję ponownie, szukając potwierdzenia każdego nowego odkrycia pomiędzy wierszami.

— Ja również odczuwam potrzebę ponownego przeczytania książek, które już czytałem — mówi trzeci czytelnik — lecz za każdym razem wydaje mi się, że czytam zupełnie nową książkę. Czy to ja podlegam nieustannej przemianie i widzę rzeczy, których przedtem nie dostrzegałem? Czy też lektura jest konstrukcją, której kształt ostateczny zależy od zestawienia wielkiej liczby zmiennych elementów i nie może powtórzyć się dwukrotnie według tego samego schematu? Za każdym razem, kiedy próbuję raz jeszcze odtworzyć emocje poprzedniej lektury, wydobywam wrażenia odmienne i nieoczekiwane, nie odnajduję zaś wrażeń wcześniejszych. Chwilami wydaje mi się, że w kolejnych lekturach dostrzec można pewien postęp, w tym sensie, że w większym stopniu udaje się zgłębić istotę tekstu czy też zwiększyć krytyczny dystans. Innym razem odnoszę wrażenie, że zachowane w pamięci lektury tej samej książki nie przystają do siebie, są entuzjastyczne lub obojętne czy nawet wrogie, rozrzucone w czasie, pozbawione wspólnej perspektywy, pozbawione spajającej więzi. Doszedłem właśnie do wniosku, że lektura jest procesem bezprzedmiotowym albo że prawdziwym jej przedmiotem jest ona sama. Książka jest zaledwie wspierającym filarem czy też jest zwykłym pretekstem.

Odzywa się czwarty czytelnik: — Jeśli chcecie się upierać przy lekturze subiektywnej, mogę się z

wami zgodzić, ale rzecz ujmując inaczej, nie na zasadzie działania siły odśrodkowej, jak to jej przypisujecie. Każda nowa książka, jaką czytam, staje się częścią tej pełnej i scalonej księgi, którą tworzy suma moich lektur. Nie przychodzi mi to bez trudu: aby ułożyć tę podstawową księgę, każda z cząstkowych książek musi ulec przetworzeniu, musi wejść w związek z książkami, które przeczytałem wcześniej, stać się ich uzupełnieniem lub rozwinięciem, zaprzeczeniem lub glossą czy punktem odniesienia. Od lat korzystam z tej biblioteki, studiuję tom za tomem, przeglądam półkę za półką, lecz mógłbym wam wykazać, że przez cały czas kontynuowałem lekturę jednej, jedynej księgi.

— Także i mnie wszystkie książki, które czytam, prowadzą do jedynej księgi — mówi piąty czytelnik, wychylając się zza stosu oprawionych tomów — lecz ta księga należy do minionego czasu i zaledwie majaczy w moich wspomnieniach. Dla mnie ta opowieść poprzedza wszystkie inne opowieści, toteż wszystkie opowieści, które czytam, wydają mi się jej dalekim echem, natychmiast ginącym. W moich lekturach nieustannie poszukuję tej księgi przeczytanej w dzieciństwie, lecz pamiętam ją zbyt słabo, aby móc ją odnaleźć.

Szósty czytelnik, który na stojąco przeglądał półki z książkami, z głową zadartą do góry, podchodzi teraz do stołu. — Dla mnie najbardziej liczy się chwila poprzedzająca lekturę. Czasami sam tytuł wystarcza, abym rozpałił w sobie pragnienie przeczytania książki, która być może nie istnieje. Czasami wystarcza mi początek książki, pierwsze zdanie... Jednym słowem, jeśli wam potrzeba niewiele do uruchomienia wyobraźni, to mnie potrzeba jeszcze mniej, wystarcza mi sama obietnica lektury.

— Dla mnie natomiast liczy się zakończenie — mówi siódmy — lecz to prawdziwe, jedynie istotne, ukryte w mroku, ów punkt docelowy, do którego książka zamierza cię doprowadzić. Ja także poszukuję szczelin — mówi, zwracając się do mężczyzny o zaczerwienionych oczach — lecz mój wzrok drąży miejsca pomiędzy słowami, starając się dostrzec to, co wyłania się z oddali, z przestrzeni, która rozciąga się ponad słowem „koniec”.

Nadeszła chwila, abyś także i ty wypowiedział swoje zdanie. — Panowie, muszę zacząć od tego, że lubię czytać w książkach tylko to, co jest w nich napisane, lubię dopatrywać się związku szczegółów z całością i niektóre lektury uważam za ostatecznie zakończone. Lubię też czytać książki niezależne jedna od drugiej, każdą za to, co ją odróżnia od pozostałych, i za to, co sama wnosi nowego; a przede wszystkim lubię czytać książki od początku do końca. Ale od pewnego czasu nic mi się nie udaje, mam wrażenie, że na świecie istnieją tylko książki, które trwają w zawieszeniu i gubią się po drodze.

Odpowiada ci piąty czytelnik: — Ja też dobrze pamiętam początek tej opowieści, o której wam wspomniałem, ale zupełnie nie pamiętam jej dalszego ciągu. Powinno to być opowiadanie z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Porównuję różne wydania, tłumaczenia we wszystkich językach. Istnieje wiele podobnych

opowieści, wiele różnych wersji, ale żadna z nich nie jest tą właściwą. A może ją sobie tylko wyśniłem? Mimo to wiem, że nie odzyskam spokoju, dopóki jej nie odnajdę i nie poznam zakończenia.

— Kalif Harun ar-Raszid — tak zaczyna się ta historia, bo czytelnik, widząc twoją ciekawość, zgadza się ją opowiedzieć — pewnej nocy, cierpiąc na bezsenność, przebiera się za kupca i wychodzi na ulice Bagdadu. Prąd rzeki Tygrys unosi jego łódkę aż do bramy jakiegoś ogrodu. Na krawędzi sadzawki siedzi kobieta piękna jak księżyc i śpiewa, przygrywając sobie na lutni. Harun wprowadza do pałacu niewolnica i ubiera go w płaszcz koloru szafranu. Kobieta, która śpiewała w ogrodzie, spoczywa w srebrnym fotelu. Na poduszkach dokoła niej siedzi siedmiu mężczyzn owiniętych w płaszcze koloru szafranu. „Brakowało tylko ciebie — mówi kobieta — spóźniłeś się”, i prosi, abyś usiadł na poduszce u jej boku. „Szlachetni panowie, złożyliście mi przysięgę ślepego posłuszeństwa, a teraz nadeszła chwila poddania was próbie”, i kobieta zdejmuje z szyi sznur pereł. „Ten naszyjnik ma siedem białych pereł i jedną czarną. Teraz rozerwę ten sznur i wysypię perły do kielicha z onyksu. Ten, kto wyciągnie czarną perłę, zabije kalifa Haruna ar-Raszida i przyniesie mi jego głowę. W nagrodę oddam mu siebie. Lecz jeśli odmówi zabicia kalifa, zostanie zabity przez pozostałych siedmiu, którzy ponownie będą losować czarną perłę.” Przejęty dreszczem, Harun ar-Raszid otwiera dłoń, widzi czarną perłę, zwraca się do kobiety: „Usłucham twoich rozkazów i głosu przeznaczenia, jeśli powiesz mi, jaka to zniewaga kalifa wywołała w tobie taką nienawiść”, pyta, ciekawy dalszego ciągu opowieści.

Także to echo dziecięcej lektury powinno widnieć w twoim wykazie przerwanych książek. Lecz jaki jest tytuł tej opowieści?

— Nawet jeśli miała jakiś tytuł, to też go nie pamiętam. Niech pan sam coś wymyśli.

Słowa, na których opowieść się urywa, wydają ci się dobrze oddawać ducha *Księgi tysiąca i jednej nocy* Wpisujesz zatem *Pyta, ciekawy dalszego ciągu opowieści* na listę tytułów, które daremnie zamówiłeś w bibliotece.

— Czy może mi pan to pokazać? — pyta szósty czytelnik, bierze do ręki wykaz tytułów, zdejmuje okulary krótkowidza, wkłada je do futerału, otwiera inny futerał, zakłada okulary dalekowidza i czyta na głos:

„Jeśli zimową nocą podróżny, poza osadą Malbork, wychylając się nad brzegiem urwiska, nie lękając się wichury ani zawrotu głowy, patrząc w dół, gdzie zagęszczają się cienie, w sieci zbiegających się linii, w sieci przecinających się linii, na dywan z liści w poświęcacie księżycy, wokół pustego grobu... — jakaż historia tam w tle czeka na zakończenie? — pyta, ciekawy dalszego ciągu opowieści.”

Przesuwa okulary na czoło. — Tak, powieść, która tak się zaczyna — mówi — mógłbym przysiąc, że już ją czytałem... Pan ma tylko początek i chciałby pan znaleźć dalszy ciąg, nieprawda? Kłopot w tym,

że kiedyś wszystkie opowieści zaczynały się tak samo. Ktoś przechodził pustą drogą i dostrzegał coś, co przykuwało jego uwagę, co zdawało się skrywać jakąś tajemnicę lub zawierać przestrożę. Wówczas on pytał o wyjaśnienie i opowiadano mu długą historię...

— Ależ, proszę pana, to nieporozumienie — starsz mu się wyjaśnić — to nie jest tekst opowieści... to są tylko tytuły... *Podróżny*...

— Och, podróżny pojawił się tylko na pierwszych stronach, a potem nie było już o nim mowy, jego rola była skończona... Powieść nie przytaczała jego historii...

— Ależ nie chodzi mi o zakończenie tej historii...

Przerywa ci siódmy czytelnik: — A pan sądzi, że każda powieść powinna mieć początek i zakończenie? Dawniej istniały tylko dwa warianty zakończenia: po przejściu wszystkich prób bohater i bohaterka pobierali się lub umierali. Ostateczne przesłanie wszystkich tych opowieści jest dwojaki: z jednej strony trwanie życia, z drugiej nieuchronność śmierci.

Przez chwilę rozmyślasz nad tymi słowami. Potem bez wahania postanawiasz ożenić się z Ludmiłą.

XII

Jesteście oto mężem i żoną, Czytelniku i Czytelniczko. Wielkie małżeńskie łoże przygarnia wasze równoległe lektury.

Ludmiła zamyka swoją książkę, gasi lampkę, opuszcza głowę na poduszkę, mówi: — Zgaś także. Czy nie zmęczyło cię jeszcze czytanie?

Na co ty: — Jeszcze chwileczkę. Właśnie kończę *Jeśli zimową nocą podróżny* Italo Calvina.

Od tłumacza

Jeśli zimową nocą podróżny, powieść uznawana za sumę literackich dokonań Calvina, nasycona ogromnym ładunkiem intelektualnym, pełna odniesień do literatury, filozofii, historii, nauk ścisłych, jest książką przewrotną z samego założenia. Napisał ją Calvino podejmując wyzwanie, jakie eksperymentalna Grupa Oulipo rzuciła tradycyjnym strukturom literackim. Ambicją pisarzy i matematyków zebranych w Ouvroir de la Litterature Potentielle (do Grupy należeli m.in. Raymond Queneau i Georges Perec) było stworzenie nowego modelu literatury, całkowicie sztucznej, powstałej w wyniku wprowadzenia pewnych dobrowolnych ograniczeń, modelu, który zarazem potrafiłby wydać dzieła pełnowartościowe. A zatem z jednej strony abstrakcyjna gra literacka, wywiedziona z teoretycznych założeń, z drugiej troska o to, aby literatura pojmowana jako system kombinatoryjny, jako labirynt, nie stała się czystym *exercice de style*.

Z takiego laboratorium wywodzi się *Podróżny* Calvina, powieść skonstruowana z matematyczną precyzją, poddająca się wielorakim interpretacjom. „Miej się na baczności. Czytelniku, tutaj wszystko jest inne, niż ci się wydaje, wszystko jest dwuznaczne” (s.220). Ową przestrożę, wyjętą z kontekstu, można uznać za pierwsze przykazanie dla czytelnika tej książki napisanej przez maestra dwuznaczności.

Calvino opowiada historię pewnej literackiej mistyfikacji. Para bohaterów, Czytelnik i Czytelniczka — ironiczna replika tradycyjnej pary bohaterów — tropi nie dokończone sensacyjne powieści, które urywają się w punkcie kulminacyjnym. Autor mnoży przypuszczenia, gromadzi poszlaki, zaciera ślady. Dzieje się tak być może za przyczyną działań szalbierczego tłumacza, Hermesa Marany, hochsztaplera i mistyfikatora, który zazdrosny o niemal intymną więź Czytelniczki z tekstami czytanych przez nią powieści, zarzuca światowy rynek serią plagiatów i imitacji. Równie prawdopodobna wydaje się druga hipoteza: cała książka jest tworem pisarza Silasa Flannery, autora popularnych powieści sensacyjnych. Flannery przeżywa duchowy kryzys, chciałby stworzyć powieść, która wypowie całą prawdę o świecie, bez mediacji osoby autora, chciałby napisać książkę, „która byłaby jedynie incipitem, tak jak dzieje się to w *Księdze tysiąca i jednej nocy*”. Istotnie ramy kompozycyjne *Podróżnego* przywodzą na myśl konstrukcję szkatułkową *Księgi*, choć jest to konstrukcja potraktowana a rebours, przewrotnie. Bo o ile w baśniach Szecherezada opowiada dosyć niesamowite historie i urywa je w najciekawszym punkcie, aby podsyć ciekawość sułtana, to w dalszym toku jej opowieści urwane wątki znajdują dopełnienie, zaspokajają oczekiwania słuchacza. U Calvina zaś, przeciwnie, raz urwana opowieść nie ma dalszego ciągu, wywołując w czytelniku uczucie stałego nienasycenia i zawodu. Zresztą podobnego uczucia może czytelnik doznawać już w trakcie lektury. Każda z dziesięciu wtrąconych opowieści — a składają się na

nie pastisze i parodie rozmaitych odmian powieściowych — wykpiwa oczekiwania łatwej lektury, zza ramienia narratora coraz to wychyla się „autor”, aby przypomnieć czytelnikowi, że ma on do czynienia z literacką fikcją, aby odebrać mu złudzenie istnienia powieściowego świata choćby na papierze. Każda z dziesięciu opowieści, z pozoru imitacja taniej rozrywki, przekazuje pewną wizję świata, świata, o którym nie można powiedzieć nic pewnego ponad to, że stwarza on nieustanne zagrożenie. Każdy z powieściowych bohaterów znajduje się w położeniu człowieka pogrążonego w sennym koszmarze, w roli ofiary, która daremnie próbuje ominąć zarzucone sieci i wcześniej czy później wpada w pułapkę własnej lub cudzej mistyfikacji. Zawodzi rozumowanie oparte na jasnych i logicznych przesłankach, wynikłych z drobiazgowej analizy sytuacji, bo owe jasne i logiczne przesłanki odnoszą się zaledwie do powierzchni rzeczy, niczego ostatecznie nie wyjaśniają, prowadzą do odmiennych i wykluczających się interpretacji. Nie można jednoznacznie ocenić żadnej sytuacji, zapobiec żadnej katastrofie. Wszystko jest grą pozorów i złudzeń, nieuchwytnie, płynne, niepoznawalne. Rzeczywistość jest ułudą i kłamstwem, a zatem jedynym sposobem uchwycenia rzeczywistości jest jej deformacja. „... wartość literatury polega na możliwości mistyfikacji i w mistyfikacji właśnie tkwi prawda literatury. Falsyfikat zatem, jako mistyfikacja mistyfikacji, równa się prawdzie do drugiej potęgi” (s. 179). Calvino stwarza taką podwójną mistyfikację. Zmystyfikowane przez tłumacza powieści czyta para bohaterów żyjąca w zmystyfikowanej przez autora rzeczywistości, w pewnym fikcyjnym świecie, który do złudzenia jednak przypomina nasz świat. Inaczej tylko rozłożono akcenty, poszczególne elementy tego świata ułożono w innym porządku, lecz same w sobie pozostają one prawdziwe. I tak na przykład wszystkie te tajemnicze cywilizacje, z którymi stykają się powieściowe postacie, wszystkie krainy, do których wyruszają, istnieją naprawdę. Wystarczy zajrzeć do encyklopedii czy do podręczników historii, aby odnaleźć owych Cymbrów, Kimerów, Herulów czy owe Hyrkanie, nazwy historycznych plemion lub cywilizacji dawno wygasłych.

Calvino lubi sięgać po fachowe terminy z różnych dziedzin, fizyki jądrowej, medycyny, botaniki, filozofii, gastronomii, lubi nazywać rzeczy po imieniu, posługiwać się logiką i zimną kalkulacją po to, aby paradoksalnie stworzony obraz stawał się tym bardziej nieuchwytny i dwuznaczny. Giorgio Manganelli, wybitny włoski pisarz, teoretyk literatury i krytyk, zauważył, iż idealnym wyobrażeniem pisarskiej metody Calvina jest lustro: powierzchnia pozornie gładka i spoista, zdolna pomieścić wiele obrazów, przejrzystych i jednoznacznych, obrazów, które poddają się nazwaniu, lecz umykają przed dotykiem. Calvino przyswoił sobie przewrotne przykazanie Hofmannsthala: „Głębia pozostaje ukryta. Gdzie? Na powierzchni rzeczy.”

Anna Wasilewska

